

GWIAZDY ★ ROMANSU

# Żona z wyższych sfer

MIRA NR 5 10/08 INDEKS 324531 CENA 11,99 ZŁ W TYM 0% VAT

**Ginna Gray**

Ginna Gray

# **Żona z wyższych sfer**

## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

Tylko cud mógł ją jeszcze ocalić. Szybki cud.

Elizabeth Stanton zastygła za masywnym mahoniowym biurkiem stojącym w gabinecie rodowej rezydencji. Potężny dom z szarego kamienia, ocieniony roslými dębami i sosnami, mieścił się w najlepszej dzielnicy Houston. Mieszkali tu ludzie, których rodziny już dawno dorobiły się olbrzymich majątków.

Za tym wielkim biurkiem, od prawie dwustu lat służącym kolejnym generacjom Stantonów, Elizabeth zdawała się jeszcze drobniejsza. Niemal tonęła w głębokim, obitym skórą, wiekowym fotelu.

I tak właśnie się czuła - zagubiona, bezbronna, wydana na łaskę losu.

Ponownie przeniosła wzrok na leżące przed nią papiery. Raport opracowany przez jej bankiera nie pozostawiał żadnych złudzeń.

Od godziny wpatrywała się w widniejące na dokumencie cyfry, jakby łudząc się, że to cokolwiek zmieni. Że zdarzy się cud.

Westchnęła głęboko, ukryła głowę w dłoniach. Sprawa jest beznadziejna. Nie ma się co oszukiwać. Jest zrujnowana. W każdym razie na dobrej drodze do bankructwa. I co, na Boga, ma teraz począć?

- A niech cię szlag trafi, Edwardzie! - wycodziła przez zaciśnięte zęby. Nie mogła zapanować nad kłębiącymi się w niej emocjami. Poderwała się tak gwałtownie, że fotel uderzył o mahoniowy kredens. W innym momencie to by ją otrzeźwiło, lecz teraz była zbyt pochłonięta swymi problemami, by martwić się o rodzinny antyk.

Nerwowo krążyła po wykładanym boazerią gabinecie; kosztowny perski dywan tłumił odgłos kroków. Zatrzymała się przed szerokimi drzwiami wychodzącymi na taras. Stała nieruchomo, ze skrzyżowanymi ramionami, bezwiednie rozcierając łokcie skryte pod niebieskozieloną satynową bluzką. W milczeniu patrzyła na rozciągający się przed jej oczami ogród.

O tej porze roku niewiele w nim było do podziwiania. Jeszcze kilka tygodni temu, pod koniec października, powietrze było gorące i duszne. Zimny teksański wiatr zaatakował niespodziewanie i temperatura obniżyła się nagle i dramatycznie, niemal do zera. Od tamtej pory wciąż przechodziły zimne fronty.

Gwałtowne porywy wiatru szarpały gałęziami, strącane liście wirowały w powietrzu i wraz z sosnowymi igłami opadały na pożółkły trawnik. Różaneczniki na wymyślnych rabatach też już przeszły w okres spoczynku. Ich nagie gałęzki wyglądały smętnie; otaczający rezydencję żywopłot z mirtów i oleandrów również stracił swój blask.

Na dzisiejszą noc zapowiadano kolejne ochłodzenie; to dlatego Dooley Baines, domowy ogrodnik i złota rączka, nie zważając na przenikliwy wiatr, starannie okrywał co wrażliwsze rośliny, by zabezpieczyć je przed przymrozkiem.

Dooley i jego żona Gladys, gospodyni i kucharka w jednej osobie, pracowali w rezydencji od zawsze, jak daleko Elizabeth sięgała pamięcią. Zaraz po ślubie zamieszkali w wygodnym mieszkaniu nad garażem, dochowali się dwójki dzieci i z pomocą ojca Elizabeth zadbali o ich wykształcenie. Na pewno nawet przez myśl im nie przeszło, że w ich życiu mogłoby się coś zmienić. Spodziewali się dożyć tu w spokoju swych dni.

Patrzyła na zgarbione plecy pochylonego nad klombem Dooleya. Uwielbiał ten ogród, z radością go uprawiał. Na szczęście nie zdawał sobie sprawy, że jego dobrodziejka i jego bezpieczna egzystencja są na krawędzi katastrofy.

W tej luksusowej okolicy większość posiadłości była usytuowana na rozległych, liczących nawet po kilka hektarów działkach. Ponad żywopłotem, zza nagich gałęzi, lśnił łupkowy dach domu Whittingtonów.

Mimi Whittington była najlepszą przyjaciółką Elizabeth, jedną z niewielu osób, na które zawsze, niezależnie od okoliczności, mogła liczyć. Nawet w najtrudniejszych chwilach.

I taki moment właśnie nastąpił.

Chyba ściągnęła ją tymi myślami, bo w dali zamigotała sylwetka Mmii. Przeszła przez wąskie przejście w żywopłocie rozdzielającym ich ogrody i szła w stronę tarasu.

W ogrodzie wychuchanym przez Dooleya to przejście stanowiło jedyną ryse. Rzez całe lata Elizabeth i Mimi skracaly sobie droge, przedzierajac sie przez żywopłot. Z czasem powstała w nim dziura, a na trawniku wydeptana ścieżka. Ogrodnik próbował z tym walczyć, lecz w końcu musiał się poddać. Ostatecznie pozostawił przejście w formie wąskiej arkady, ścieżkę wyłożył kamieniami.

Uśmiechnęła się mimowolnie, patrząc na zbliżającą się przyjaciółkę. Cała Mimi: w pantofelkach na szpilkach i długim sobolowym futrze, którego poły przyciskała do piersi, chroniąc się przed zimnem. Strój w sam raz na popołudniową wizytę.

Wiatr uderzył znowu, poderwał brzeg futra. Mimi miała na sobie obcisłe czarne legginsy i luźną wzorzystą bluzkę. Na czarnym tle jaskrawo wybijały się plamy złota i fioletu. Pasma jasnych włosów fruwały wokół jej głowy.

Mimi pomachała do Dooleya, zwróciła się w stronę domu. Na widok stojącej w drzwiach tarasu przyjaciółki, uśmiechnęła się i szybko poruszała palcami.

Elizabeth otworzyła drzwi i Mimi wpadła do środka, wnosząc ze sobą przenikliwie zimne powietrze i zapach perfum Chanel.

- Ojej, ale dziś przymroziło! - zawołała z charakterystycznym śpiewnym akcentem, wstrząsając się z zimna. - Już prawie zamarzłam na kość! Boże, naprawdę tu robi się Syberia!

Strząsnęła z siebie futro i niedbale rzuciła je na fotel. Obiema rękami poprawiła potargane włosy; przy tym ruchu zadzwoniły jej złote bransoletki.

- To wietrzysko zniszczyło mi fryzurę, a dopiero co wróciłam od fryzjera. Byłam u Andre zaraz po porannych tańcach. Biedaczek chyba by się załamał, gdyby mnie teraz zobaczył!

Elizabeth zdusiła uśmiech. Akurat by się połapał! Mimi ostatnio uwielbiała artystyczny nieład. Jej włosy sterczały we wszystkie strony bez ładu i składu. Zresztą jeśli chodzi o fryzurę czy aktualny kolor, to za nią nigdy nie można było nadażyć. Bezustannie coś zmieniała.

- A właśnie, przy okazji. Wiem, że byłaś zajęta, ale nie myśl sobie, że daruję ci dzisiejsze tańce. Jutro dam ci porządny wycisk.

- Mogłam się tego domyślić. - Elizabeth przewróciła oczami. - Nie masz krzty litości - dodała.

Miała dziewięć lat, gdy Mimi zaczęła udzielać jej lekcji tańca. Od dwudziestu trzech lat codziennie spotykały się u Mimi i ćwiczyły w studiu na poddaszu okazałej rezydencji, którą dla Mimi wybudował jej nieżyjący już mąż. Mimi znajdowała przyjemność w uchodzeniu za osobę rozlazłą i rozpieszczoną; większość ludzi tak właśnie ją postrzegała. Niewiele osób wiedziało o tych codziennych treningach, którym obie zawdzięczały doskonałą kondycję fizyczną.

- Trzeba dbać o ciało, a taniec jest o niebo fajniejszy od gimnastyki - powtarzała Mimi.

Teraz stała przed kominkiem, ogrzewając zmarznięte dłonie. Długie akrylowe paznokcie lśniły ciemnoczerwonym lakierem, na każdym palcu, łącznie z kciukami, pobłyskiwały pierścionki. Przy nawet najlżejszym poruszeniu głowy jej brylantowe, niemal dotykające ramion kolczyki rzucały piękne świetliste refleksy.

- Och, jak cudownie - wymruczała Mimi, odwracając się tyłem do ognia i rękami rozcierając zmarznięte ciało. Zerknęła na przyjaciółkę. - No to jak udało się spotkanie z Walterem i Johnem? Tylko błagam, powiedz, że John coś wymyślił! Że wykombinował, jak odzyskać twoje pieniądze i definitywnie pozbyć się tego fałszywego drania! - dokończyła z pasją.

Słyszając furię w jej głosie, Elizabeth uśmiechnęła się blado. Wprawdzie Mimi była od niej starsza o dziesięć lat, lecz różnica wieku nie miała znaczenia.



Od momentu, kiedy się poznały, były najlepszymi przyjaciółkami.

Mimi często powtarzała, że przyjaźniły się już w poprzednim wcieleniu i ta przyjaźń jest im po prostu pisana.

Może rzeczywiście tak było, kto to wie. Tak czy inaczej ich znajomość wywoływała różne komentarze. W kręgach, w których obie się obracały, wielu nie mogło tego pojąć. Bo Mimi i Elizabeth różniły się od siebie jak ogień i woda.

Elizabeth z natury była powściągliwa i zdystansowana.

O jej przyjaciółce można było powiedzieć coś wręcz przeciwnego. Była spontaniczna, nieprzewidywalna, nie liczyła się z nikim i z niczym. Zresztą taka opinia jej odpowiadała. Niewielu wiedziało, że pod tą maską kryje się złote serce. I że Mimi ma wspaniałe, choć może nieco rubaszne poczucie humoru. Nie przejmowała się ani oburzonymi spojrzeniami, ani zgryźliwymi plotkami na swój temat.

Kiedy poznała Horace'a, próbowała swych sił w konkursach tańca, okazjonalnie pracowała też jako tancerka w Las Vegas.

- Ładna buzia i boskie ciało to były moje jedyne atuty - przyznała kiedyś sama bez śladu skruchy - Postanowiłam je wykorzystać jak najlepiej, nie łamiąc przy tym własnych zasad i nie przynosząc wstydu mojej kochanej mamie. Co prawda już jej wtedy nie było na tym świecie, jednak...

Zacząłam startować w konkursach tańca, tańczyłam w Las Vegas w podejrzanych lokalikach ze striptizem i w barach z hamburgerami.

W Houston ich ślub odbił się szerokim echem. Horace Whittington miał wtedy pięćdziesiąt dwa lata. Mimi dziewiętnaście. Miejscowa socjeta od razu odpowiednio ją oceniła.

Na pierwszy rzut oka rzeczywiście wyglądało to typowo. Mężczyzna goniący za utraconą młodością i dziewczyna, dla której liczyły się tylko pieniądze.

Dopiero z czasem, a i to dla niewielu osób, stało się oczywiste, że Mimi naprawdę szczerze kochała swego Ojczulka, jak pieśczośliwie nazywała Horace'a. Stanowili bardzo udane małżeństwo. Zresztą wszystko temu sprzyjało. Horace był uroczym, szlachetnym, porządnym człowiekiem, dobrym i szczodrym dla swych bliskich.

Był również wyjątkowo przystojny. Bardzo dbał o siebie i swoją kondycję fizyczną. Wysoki, wysportowany, o włosach lekko przyprószonych siwizną, żywych błękitnych oczach i wyrazistej, ozłoconej opalenizną twarzy, nieodparcie kojarzył się z silnym, pewnym siebie hollywoodzkim bohaterem.

W wyższych sferach Houston nie brakowało ludzi, którym ten związek nie przypadł do gustu, lecz nikt nie śmiał powiedzieć tego głośno. Whittingtonowie byli zbyt wpływową rodziną, by im się narażać.

- Wiem, że wielu z tych zgredów tylko marzy, by odebrać mi kartę klubową - wyznała Mimi niedługo po odejściu Horace'a - ale się boją.

Nie zrobią tego, póki mam pieniądze. Za bardzo im na nich zależy. Fundacja Whittingtonów wspiera ich bale dobroczynne i różne podobne pierdoły. Co rok wyciągają od nas co najmniej okrągły milion. Ich błękitna krew burzy się na mój widok, ale co robić, pieniążki są ważniejsze. Więc zaciskają swoje wybielone zęby i jakoś mnie znoszą - szydziła. - Powiem ci prawdę, ani trochę nie zależy mi na tym ich klubie. Nie wypisałam się, bo wiem, jak bardzo co poniektórych irytuje, że jestem wśród nich na równych prawach.

Elizabeth zaprzeczyła, jednak w głębi duszy wiedziała, że w słowach Mimi jest sporo prawdy.

Z czasem miejscowe szychy, choć nadal nieprzekonane do kobiety spoza ich sfery, musiały przyznać, że to niestosowne małżeństwo było bardzo udane. Przez dwadzieścia jeden lat Whittingtonowie byli jak papużki nierozłączki.

Niecały rok temu Horace niespodziewanie zmarł na atak serca. Mimi nie mogła pogodzić się ze śmiercią męża. Strasznie ją przeżyła. Elizabeth po raz pierwszy widziała ją w takiej rozpacz. Mimi odchodziła od zmysłów, była niepocieszona,

Minęło dużo czasu, nim się pozbierała. Znowu nabrała wigoru, stała się taka jak dawniej.

- Dość już tej żałoby, Ojczulek wcale by nie chciał, bym go opłakiwała do końca życia - wyznała przyjaciółce. - Jeśli patrzy na mnie z góry i widzi, jak strasznie za nim rozpaczam, wyłudzi przepustkę od świętego Piotra i zejdzie na ziemię potrząsnąć mną

bym się w końcu opamiętała.

Jest w tym wiele racji, pomyślała Elizabeth. Dla Horace'a nie było ważniejszej rzeczy niż szczęście żony. Czego na pewno nie można powiedzieć o Edwardzie, dokończyła w duchu z goryczą.

Poza Johnem Fossbinderem, jej prawnikiem, i Walterem Monroe, bankierem i przez ostatnie kilka lat doradcą finansowym, jedynie Mimi wiedziała o dramatycznej sytuacji Elizabeth, w jaką wpakował ją były mąż. Powszechnie sądzono, że to Elizabeth wyrzuciła go z domu, bo zaczął ją zdradzać. Cóż, postarała się, by ich rozstanie odbyło się bez rozgłosu.

W ogólnych zarysach mniej więcej to się zgadzało. Ogrom szkód wyrządzonych przez Edwarda jeszcze nie wyszedł na światło dzienne, jednak Elizabeth doskonale zdawała sobie sprawę, że nie da się tego ukrywać w nieskończoność. Prędzej czy później to wyjdzie na jaw. Zwłaszcza że musi sukcesywnie wyprzedawać resztki rodzinnego majątku i rodowej biżuterii, by z czegoś żyć i przynajmniej robić wrażenie, że fortuna Stantonów nie doznała dużego uszczerbku.

- Niestety sytuacja jest beznadziejna. Edward obrobił mnie do czysta. Przez ostatni rok wyprowadził wszystkie pieniądze i to tak sprytnie, że nic nie mogę zrobić. Nie ma żadnego punktu zaczepienia. John twierdzi, że Edward postąpił nieetycznie, balansując na granicy prawa.

Nie mam szans na odzyskanie ani centa.

- Nieetycznie, dobre sobie! - szyderczo prychnęła Mimi. - Ten łobuz załatwił ciebie i twoją ciotkę na żywca. Przecież masz dowody, że ledwie twój ojciec zamknął oczy i ty odziedziczyłaś po nim dwie trzecie majątku, Edward zaczął wyprowadzać pieniądze Stantonów. Okradał was aż do dnia, kiedy urwał się stąd z tą swoją dziewczyną i ślad po nich zginął. To co to jest, jak nie przestępstwo? Powiedzieć ci dosadnie, na co zasługuje taka wredna szuja?

- Okradł mnie i jeszcze uciekł z Natalie. Zawsze była moim najgorszym wrogiem.

- To tylko świadczy, jaka z niego podła kanalia – z emfazą oświadczyła Mimi. - Jak mógł choćby na nią spojrzeć, skoro miał ciebie. Co za brak gustu!

Elizabeth uśmiechnęła się blado. Mimi nigdy wcześniej nie wspomniała o kochance Edwarda. Zdobyła się na to dopiero teraz, gdy przyjaciółka sama poruszyła temat. Znając Mimi, to milczenie wymagało od niej ogromnego samozaparcia.

- Nie wiem, jak on mógł w ogóle zwrócić na nią uwagę, dla mnie to nie do pojęcia - ciągnęła Mimi. – Co z tego, że ta Natalie ma pieniądze i wygląd? To wyjątkowo wredna baba.

Fakt - przyznała Elizabeth.

Znały się od dziecka i Natalie zawsze była chorobliwie zawistna i zazdrosna o Elizabeth, choć nie wiadomo dlaczego. Pochodziła z bardzo zamożnej, powszechnie szanowanej rodziny.

Niczego jej nie brakowało, nie miała powodów, by zazdrościć Elizabeth. Chodziły do tych samych prywatnych szkół, należały do tych samych klubów.

Pod koniec liceum w szkolnym konkursie Elizabeth została uznana za najpiękniejszą. Dla niej była to tylko zabawa, tytuł nie miał szczególnego znaczenia, jednak to właśnie wtedy, ku zaskoczeniu Elizabeth, niechęć Natalie przerodziła się w prawdziwą nienawiść. Było to tym dziwniejsze, że Natalie nie mogła mieć pretensji do natury o swoją powierzchowność. Ciemnowłosa i czarnooka, miał w sobie zmysłowy urok femme fatale.

Nadal rywalizowała z Elizabeth. Musiała mieć te same rzeczy - ciuchy, samochód, rolę w szkolnym przedstawieniu - co Elizabeth. Wychodziła ze skóry, by odbić jej chłopaków. Co wreszcie się jej udało, z Edwardem.

Jego odejście i zdrada były dla Elizabeth ciosem, lecz największy szok przeżyła, gdy wystąpiła o rozwód. Dopiero wtedy otworzyły się jej oczy. Z ogromnego majątku, z wyjątkiem rezydencji w Houston i rodzinnej farmy, nie pozostało prawie nic. Edward z wyjątkową perfidią opróżnił wszystkie konta, przejął aktywa i przetransferował pieniądze na tajne konto w Szwajcarii.

- Chcesz powiedzieć, że John naprawdę nic nie może zrobić? - Pytanie Mimi przywołało Elizabeth do rzeczywistości.

- Na to wygląda.

- Cholera! - Mimi przysiadła na skórzanym pufie stojącym obok fotela przy kominku i westchnęła przeciągle. - Skoro tak ci powiedział, to niestety tak jest. John staje na głowie dla swoich klientów, jako prawnik jest niezrównany. Jeśli nie widzi sposobu, to znaczy, że takiego po prostu nie ma.

Elizabeth podeszła do tarasowych drzwi, zapatrzyła się na ogród. Dooley, w wełnianej czapce naciągniętej na oczy i szczelnie zapiętej znoszonej kurtce, mocował do ziemi płachty okrywające rośliny.

- Najgorsze, że będę musiała powiedzieć o tym cioci Talicie - wyszeptała Elizabeth.

- To ona jeszcze nie wie? - zdumiała się Mimi.

Elizabeth skrzywiła się, pokręciła głową.

- Powiedziałam jej tylko, że z naszymi inwestycjami nie jest najlepiej. Mimi, jak mogłabym wyznać jej prawdę? Talita ma osiemdziesiąt lat. Całe życie przeżyła w tym domu i na farmie, tak jak ja. Prawda by ją zabiła.

- Nie doceniasz jej. Talita to stara gwardia, jest silniejsza, niż myślisz.

Elizabeth westchnęła ciężko.

- Obie popełniłyśmy niewybaczalny błąd, dając Edwardowi pełnomocnictwo na wszystko z wyjątkiem domu i Mimosa Landing. Zrobił nas na cacy. Nic nam nie zostało. Tylko dom i farma.

- Niemożliwe, nie wierzę! Zawsze myślałam, że miał tylko nadzór nad twoim portfelem inwestycyjnym, tak mówiłaś.

Bo początkowo tak było - rzekła Elizabeth, przyglądając się ogrodnikowi. - Ufałam Edwardów: Był moim mężem, więc chyba nic w tym dziwnego. Nasi rodzice od lat się przyjaźnili, znałam go od dziecka. Nie miałam żadnej wiedzy na temat finansów ani żadnego doświadczenia, a on wręcz przeciwnie. W dodatku był z wykształcenia prawnikiem. Powierzenie mu nadzoru nad finansami wydawało mi się czymś oczywistym. - Elizabeth potrząsnęła głową. - No i zajął się tym. I to jak.

- Och, jaka szkoda, że po śmierci taty nie poprosiłaś o radę Horace'a! Już on by cię wyculił na najważniejsze rzeczy. - Zamyśliła się. - Zawsze mi powtarzał, że kiedy wykorkuje, to zaraz zaczną się koło mnie kręcić różne typki. A wtedy muszę pamiętać tylko o jednym - nikt nie ma prawa dysponować moimi pieniędzmi. Pod żadnym pozorem. Tylko wtedy będę bezpieczna.

Umilkła, znowu się zamyśliła.

- I tego się trzymam. Zawsze jestem czujna.

- Mnie tej mądrości zabrakło - przyznała Elizabeth. - I dostałam nauczkę. - Odwróciła się i zaczęła nerwowo krążyć po salonie. - Gdyby Ian żył - wyszeptała. - On by nie dopuścił Edwarda do naszego majątku. I nie doszłoby do nieszczęścia.

Ian, jej młodszy brat, miał przejąć zarząd nad majątkiem Stantonów, by z czasem przekazać go kolejnemu pokoleniu.



Nikt z rodziny, łącznie z Elizabeth, nie widział potrzeby, by ją też kształcić w tym kierunku. Bo też nikt nie przewidział, że Ian zginie młodo. Miał dwadzieścia lat, gdy pijany kierowca zderzył się z nim czołowo.

- Elizabeth, daj spokój, przecież sama w to nie wierzysz. Człowieka nie da się zmienić. Jak ktoś ma pokrętną naturę, to ona zawsze z niego wyjdzie. Może gdyby twój brat żył, Edward nie byłby aż tak bezczelny, ale dam głowę, że coś by sobie uszczknął z twoich pieniędzy, i to niemało. Za jego wierność też bym nie dała złamanego grosza. Jeśli nie byłaby to Natalie, to jakaś inna. On już po prostu taki jest. Podły i wredny sukinsyn.

- Masz rację - z westchnieniem przystała Elizabeth. - Dlatego nie ma co gdybać, to nic nie pomoże. Teraz muszę znaleźć jakieś wyjście.

Obie milczały, rozważając w duchu możliwe rozwiązania. Ciszę przerywało jedynie trzaskanie ognia buzującego w kominku, szum wiatru i miarowe uderzenia młotka Dooleya.

- Serce mi się kraje, gdy na ciebie patrzę. Jesteś taka przybita – po chwili odezwała się Mimi. – Pożyczę ci forszę, zgódź się. Przecież wiesz, że to dla mnie żaden problem.

Elizabeth usiadła na pufie. Patrząc przyjaciółce w oczy, ujęła jej dłoń.

- Mimi, już o tym rozmawialiśmy – powiedziała miękko. – Dzięki za propozycję, jesteś kochana. Ale nie mogę jej przyjąć.

Takie pożyczki zwykle przynoszą więcej szkody niż pożytku. Już mój tata się o tym przekonał. Poza tym to niczego by nie zmieniło. Nie chodzi o pieniądze na bieżące potrzeby, bo co i raz sprzedaję coś cennego, przede wszystkim biżuterię, by pokryć wydatki. Ostatnio pożegnałam się z brylantami mojej prababci.

- Nie, tylko nie to! Sprzedałaś brylanty Stantonów?

Elizabeth smutno skinęła głową.

- Nie miałam wyjścia. Tyle że to niewiele pomogło. Nie zatamujesz krwotoku, przylepiając plaster.

- Boże, czy to znaczy, że twoja sytuacja jest aż taki fatalna? Myślałam, że masz problem z płynnością finansową. Nie przypuszczałam, że jesteś pod ścianą. Przecież wasza fortuna jest niewyobrażalna!

- Była, ale już nie jest. Mówiąc krótko, moje dochody są znacznie mniejsze od wydatków. Dochody z tych kilku drobnych inwestycji, których Edward mi łaskawie nie odebrał, nie wystarczają na pokrycie comiesięcznych rachunków.

- Och, kotku - wyszeptała Mimi, żarliwie ściskając dłonie przyjaciółki. - Tak mi przykro.

- Zabawne jest tylko to, że teoretycznie Talita i ja nie zostałyśmy na lodzie. Nadal mamy ten dom i farmę. Póki co. Ostatnie cztery lata były fatalne. Najpierw susza i kiepskie zbiory, potem huragan niemal zmiotł farmę z powierzchni ziemi, później plaga szarańczy... - Umilkła. - Ten rok nas dobił.

Musieliśmy wymienić niektóre maszyny. Jeden z kombajnów już w zeszłym roku niemal padł. Truman czynił cuda, ale w końcu nie było innego wyjścia, musieliśmy kupić nową maszynę. Tak samo było z traktorem. W sumie poszło sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów, a to tylko na zaspokojenie najpilniejszych potrzeb. Musiałam zastawić ponad dwadzieścia hektarów, by bank dał mi pożyczkę na maszyny. Wprawdzie tę ziemię Stantonowie nabyli później, jednak na myśl, że mogłabym ją stracić, robi mi się niedobrze.

- Istnieje takie zagrożenie?

- Niestety. I to coraz bardziej realne. W przyszłym miesiącu powinnam spłacić kolejną ratę, Niestety bardzo dużą. Nie mam tylu pieniędzy.

- Może jakoś je zbierzesz, jak dobrze pogłódkujesz. Walter na pewno załatwi ci prolongatę.

Elizabeth pokręciła głową.

- Mimi, ja nawet nie mam pomysłu, skąd wziąć na przyszłoroczne uprawy. Ani z czego zapłacić ludziom pensje.

- O Boże... No to co w takim razie zamierzasz?

Elizabeth westchnęła.

- Chyba będę musiała sprzedać dom. Liczę, że dostanę za niego parę milionów. Nie mam pojęcia, na jak długo to wystarczy, bo koszty prowadzenia farmy wzrastają. Zwłaszcza takiej dużej jak Mimosa Landing.

- Chcesz sprzedać dom? Nie możesz!

Ja tego nie przeżyję! Nie będziemy się codziennie spotykać? Nie, to niemożliwe!

- Wiem, Mimi, ale nie mam wyjścia. Nie mogę sprzedać farmy. Ani ziemi. Nie zrobię tego, póki żyję.

Mimosa Landing należała do rodziny od ponad dwustu lat. Każda generacja dokładała swoją cegiełkę do rodzinnej fortuny. Z czasem rozszerzyli działalność na inne branże, lecz Mimosa Landing zawsze była sercem i ostoją Stantonów, ich miejscem na ziemi. Dla Elizabeth też była najważniejsza.

Ta farma była jej dziedzictwem, ojcowizną. To krew, pot i łzy kolejnych pokoleń Stantonów. Nie zawiedzie przodków. Wyzbędzie się wszystkiego, lecz zachowa tę ziemię w rodzinie.

- W porządku, panno Scarlett - zażartowała Mimi. - Rozumiem twoje podejście, wiem, ile dla ciebie znaczy ta farma. Ale nie możesz sprzedać domu, musi znaleźć się jakieś inne wyjście. Inaczej natychmiast się rozniesie, że jesteś zrujnowana.

- To mnie nie wzrusza. Pieniądze, styl życia... już nie są dla mnie ważne. Tylko utrata farmy jest dla mnie nie do wyobrażenia. Tego bym nie przeżyła.

Przygryzła usta. W jej oczach malował się skrywany lęk.

- Mimi, mnie też będzie ciebie bardzo brakowało. Naszych codziennych spotkań. Przesunęła wzrokiem po przestronnym, wykładanym orzechową boazerią wnętrzu. Meble, które były tu od pokoleń, choć każda generacja pozostawiała po sobie swój ślad

odzwierciedlały historię rodziny. Wiele z nich, tak jak to masywne biurko, było nawet starszych od domu.

Imponująca rezydencja była urządzona z dyskretną elegancją. Została wybudowana na początku dwudziestego wieku przez pradziadka Elizabeth. Od tej Stantonowie dzielili swój czas na dom w Houston i Mimosa Landing, co ułatwiało im prowadzenie interesów. Rodzinna siedziba dla Elizabeth była niemal tak samo ważna jak farma.

- Mój pradziadek zbudował ten dom, gdy w okolicy prawie nikt jeszcze nie mieszkał. Dobija mnie myśl, że będę musiała go sprzedać. Jednak jeszcze bardziej dręczy mnie myśl o tym, co stanie się z Gladys i Dooleyem. Są za młodzi, by przejść na emeryturę, zresztą wcale by tego nie chcieli. Boję się, czy nowy właściciel ich zatrzyma, bo nie są też najmłodszy.

- Och, w ogóle o tym nie pomyślałam. Nie wyobrażam sobie tego domu bez nich.

- Właśnie. Niemal całe swoje dorosłe życie spędzili w mieszkaniu nad garażem. Uważają je za swoje. Gdy pomyślę, że ktoś może ich stamtąd wyrzucić...

- Tylko nie to - mruknęła Mimi. - Gladys uwielbiała ten dom. Troszczy się o niego bardziej niż ty. Ogród to oczko w głowie Dooleya. Załamie się, jeśli nie będzie mógł chodzić wokół swoich roślinek czy kręcić się po terenie i ciągle coś robić. Rzeczywiście to dramat.

- Najgorsze, że brakuje mi pomysłu. Jeśli nie sprzedam domu, nie będę miała z czego wypłacić ludziom pensji, nie zdołam rozliczyć się z urzędem skarbowym.

Rozległo się pukanie do drzwi, po chwili do salonu wsunęła się głowa gospodyni.

- Przepraszam, pani Elizabeth, ktoś do pani przyszedł.

- Ktoś przyszedł? Kto?

Starsza kobieta wciągnęła nosem powietrze, skrzyżowała ramiona na wydatnym brzuchu.

- Nigdy wcześniej go nie widziałam - oświadczyła znacząco.

Gladys szczyliła się, że zna z widzenia całe miejscowe towarzystwo i doskonale orientuje się w rodowych powiązaniach. Kolekcjonowała również wszystkie ploteczki na temat bostońskiej śmietanki.

- Zapytałam, czy jest umówiony. Odparł, że nie, ale bardzo mu zależy, by się z panią spotkać. Przedstawił się jako Max Riordan.

- Ho, ho! - zamruczała Mimi.

- Maxwell Riordan?

- Tak, proszę pani. Oto jego wizytówka - powiedziała Gladys, wchodząc do środka. Jej mina jednoznacznie świadczyła, że nie pochwala tej niezapowiedzianej wizyty. Gladys i Dooley otaczali Elizabeth nie mniejszą troską i opieką niż rezydencję. - Nie robi złego wrażenia, ale jeśli każe go pani odesłać, to bardzo chętnie - zaofiarowała się.

Korciło ją, by skorzystać z propozycji. Popatrzyła na wizytówkę Maxwell Riordan.

- Zobaczę się z nim. Poproś go do frontowego salonu i powiedz, że zaraz przyjdę. Aha, i przynieś nam kawę, dobrze?

- Bardzo proszę.

- Czego on może ode mnie chcieć? - powiedziała w zamyśleniu, gdy tylko za gosposią zamknęły się drzwi.

- Aż mnie ssie z ciekawości! - Mimi chytrze popatrzyła na przyjaciółkę. - Co jest między tobą i tym przystojniakiem? Czyżbyś mi o czymś nie powiedziała?

- Nie wygłupiaj się. Prawie go nie znam.

Pierwszy raz widziała go jakiś rok temu, potem kilka razy spotkali się przelotnie podczas różnych okazji.

Riordan bywał na imprezach dobroczynnych, jednak nie należał do towarzystwa. Zapraszano go, bo miała pieniądze.

Prawdę mówiąc, nie znała go. Owszem, zamienili z sobą kilka słów, zdawkowych uprzejmości. W życiu by się nie spodziewała, że złoży jej wizytę,

- Dla mnie on wcale nie jest przystojny – sprostowała. Raczej robi wrażenie kogoś niebezpiecznego.

- No i właśnie o to chodzi! Dlatego jest taki seksowny i atrakcyjny.

Może jest odrobinę nieokrzesany, ale to tylko dodaje mu uroku. – Mimi wzdrygnęła się teatralnie, przesunęła dłońmi po ramionach. - Już na samą myśl o nim mam gęsi skórę.

- Mimi, opanuj się! Naprawdę, odkąd zostałam wdową, tylko jedno ci w głowie!

- Może i tak, ale Max podoba się wielu kobietom. W zeszłym tygodniu byłam na lunchu po pokazie mody i wszystkie dziewczyny, Trudy, Delia, Blair Madison, Becca, z którymi siedziałam przy stoliku wciąż się nim zachwycaly. I zastanawiały się, jaki on jest w łóżku.

- Tak? - Elizabeth uniosła brwi. - Poszłyby z nim do łóżka, a nie chciały go przyjąć do klubu River Oaks, choć Riordan tu mieszka?

- Niezłe, co? - zaśmiała się Mimi.

Elizabeth przewróciła oczami.

- Wiesz, one naprawdę nie mają czym się zajął skoro gadają o takich rzeczach.

Tak było w istocie. Znajome, o których mówiła Mimi, spędzały czas na grze w tenisa i golfa, udzielały się w komitetach organizujących imprezy dobroczynne, jednym słowem wyszukiwały sobie na siłę zajęcia. Elizabeth nie miała takich problemów. Prowadzenie farmy angażowało ją bez reszty.

- No przecież znasz je, wiesz, jakie są. - Mimi machnęła upierścienioną dłonią. - Max jest podobno obrzydliwie bogaty, ale zaczyna do niego docierać, że nie tak łatwo wkupić się w łaski tego towarzystwa szpanerów. Zresztą pamiętasz, jak było ze mną. Zgodzili



się przyjąć mnie do country klubu tylko dlatego, że Ojczulek miał kasę, wpływy i odpowiednie pochodzenie. No i dzięki wsparciu twojej rodziny.

Zamyśliła się, po chwili ciągnęła:

- Dla Maksa niefartownie się składa, że nikt nic o nim nie wie. Ani o jego rodzinie, ani jak doszedł do bogactwa. Chodzą plotki, że przez jakiś czas przebywał na Bliskim Wschodzie i w Ameryce Południowej – mówiła konspiracyjnym tonem. - Paine napomknął kiedyś, że Riordan zbił kasę na imporcie narkotyków.

Podobno od tego zaczynał.

- Naprawdę? - zdumiała się Elizabeth.

- Ja tego nie wiem. Może jest w tym jakieś ziarno prawdy, może nie. Znasz Paine'a, nie może ścierpieć, gdy jakiś facet go przebija. A przy nim nie ma szans, bo to Max ściąga spojrzenia wszystkich pańienek. Jedno jest pewne: Maksowi brak obycia i wrodzonej ogłady kogoś, kto pochodzi z bogatej rodziny.

Przez chwilę milczała.

- Akurat to doskonale wiem po sobie. Długo trwało, nim nauczyłam się, który widelec jest do czego! Przechodziłam katusze, bo nie miałam pojęcia, że miseczki z wodą służą do obmywania palców. W dodatku sama wiesz, że tutejsze tuzy z założenia są - sceptycznie nastawione do nuworyszy. Elizabeth skinęła głową. Ona nie miała takiego podejścia. Kiedy praprapradziadek Asa Stanton przyjechał w te strony i osiedlił się z żoną na brzegu Brazos zamieszkali w prostej chacie zbitej z bali.

Rodzice i dziadkowie nigdy o tym nie zapomnieli. Przez lata przypominali dzieciom o tych trudnych początkach i uczyli, by nigdy nie wynosić się nad innych, biedniejszych od nich.

Tłumaczyli, że ich dostatnie życie nie jest nie- spodziewanym darem losu, ale zasługą ciężkiej pracy kolejnych pokoleń Stantonów. Powtarzali też, że na Elizabeth i Ianie ciąży taki sam obowiązek względem przyszłych generacji.

- Zawsze pamiętajcie o dwóch rzeczach - klarował im dziadek. - Po pierwsze, wszystkie przywileje są nierozłącznie związane z odpowiedzialnością. Po drugie, nigdy nie należy osądzać kogoś po zawartość portfela, a wyłącznie po jego czynach.

Elizabeth zapadły w głowę te przykazania. Dlatego głosowała za przyjęciem Maksa Riordana do River Oaks Country Club, gdy ktoś wysunął jego kandydaturę. Choć z ręką na sercu musiała przyznać, że nie była szczególnie zawiedziona, gdy Max nie przeszedł, bo ktoś zagłosował przeciwko.

W tym Riordanie było coś, co ją niepokoiło. Nie chodziło o jego niejasne pochodzenie czy bogactwo, po prostu nie czuła się komfortowo w jego towarzystwie. Nie umiała powiedzieć, o co dokładnie chodzi jednak zawsze czuła się... może nie zdenerwowana ale jakby odrobinę spięta.

Westchnęła, podniosła się z miejsca.

- No to pójdę zobaczyć, po co przeszedł. Idziesz ze mną?

Mimi odchyliła się, oparła wygodnie i pokręciła głową.

- Nie, zaczekam tutaj. Przyszedł pogadać z tobą, więc nie będę się wpychać. Ale jak tylko sobie pójdzie, to zaraz tu przychodź i opowiadaj.

Elizabeth zatrzymała się z ręką na klamce, posłała przyjaciółce kpiące spojrzenie.

- Jasne. No bo przecież nie będziesz podsłuchiwać.

- Kto, ja? - Mimi szeroko otworzyła brązowe oczy, przyłożyła dłoń do serca i zamrugła z miną zranionego niewiniątka. - Jakże bym mogła?

Elizabeth zachichotała, odwróciła się.

- To bądź tak miła i postaraj się nie narobić hałasu, dobrze?

## ROZDZIAŁ DRUGI

Max stał przy oknie, odwrócony tyłem i zapatrzony na ogród. Elegancka i wysmakowana posiadłość Stantonów robi wrażenie, stwierdził w duchu. Przesłanie, choć dyskretne, jest jednoznaczne: właściciele tej rezydencji mają pieniądze, i to duże.

To naprawdę posiadłość z klasą. Wystarczy spojrzeć, by od razu to wiedzieć. Niemal czuje się obecność poprzednich pokoleń zamieszkującej tu rodziny. Tradycja i ciągłość. To, czego mu zawsze brakowało, za czym daremnie gonił. Potężne dęby muszą mieć po kilkaset lat, ich pnie są tak rozrośnięte że trzeba dwóch czy trzech mężczyzn, by je objąć?

Miejsce osadzone w tradycji, z długą historią. Promieniujące godnością i wewnętrznym spokojem. Tego zawsze pragnął. Jako młody i jeszcze niedoświadczony człowiek niemądrze zakładał, że z czasem zyska takie poczucie, wystarczy tylko zdobyć duże pieniądze.

Na tym się skoncentrował. Stał się zamożnym człowiekiem, jednak to, na czym najbardziej mu zależało, nadal było niedościgłym marzeniem.

Odwrócił się od okna, ogarnął spojrzeniem wnętrze eleganckiego salonu.

Zamyślił się. Jego przestronny apartament na piętrze robił wrażenie na ludziach, jednak on sam czuł się w nim obco. Co z tego, że zapłacił fortunę architektowi wewnątrz, skoro miał poczucie, że jest nie u siebie, a w pokazowym mieszkaniu, w którym naprawdę nikt nie mieszka.

W pewnym sensie było w tym sporo prawdy. Penthouse był dla niego miejscem do spania, mycia i przechowywania rzeczy. Rzadko kiedy spędzał tam kilka dni pod rząd.

Tutaj, w tym imponującym salonie, czuł się zupełnie inaczej. Jak w domu. Wszystko było tu doskonale dobrane, poczynając od perskiego dywanu, kosztownych draperii osłaniających okna, sztukaterii zdobiących wysokie sklepienie, pobłyskującego na niskim stoliku kryształowego naczynia na czekoladki i dyskretnie porozstawianych gustownych bibelotów, a jednak wewnątrz nie wydawało się sterylne i bezosobowe jak jego apartament.

Na marmurowej posadzce holu zastukały wysokie obcasy. Max odwrócił się, w tej samej chwili do środka weszła Elizabeth Stanton.

- Witam, panie Riordan - zagadnęła z uprzejmym uśmiechem. - Przepraszam, że musiał pan czekać.

- Nie ma sprawy. - Zbył jej słowa machnięciem dłoni.

Elizabeth szła w jego stronę. Od razu było widać że to kobieta z klasą. Tak jak się spodziewał.

Lśniaca zielononiebieska bluzka wspaniale pasowała do jej oczu i świetnie komponowała się ze spodniami z brązowego tweedu. Za całą biżuteria służyły jej proste złote kolczyki i złoty zegarek na pasku z brązowej skóry.

- Zechce pan spocząć? - zaproponowała, wskazując gestem kanapę.

Kiedy spotykał ją na oficjalnych imprezach, miała staranie upięte włosy; dziś gęstą kaskadą opadały jej na ramiona. Niby zwyczajna fryzura, ale nawet jego niewprawne oko dostrzegło rękę doskonałego fryzjera. Kasztanowe lśniące pasma zafalowały płynnie, gdy Elizabeth zajęła miejsce w jednym ze stylowych foteli stojących przy kominku, a po chwili znieruchomiały.

Do salonu weszła gospoia, na tacy niosła porcelanowy dzbanek i zastawę do kawy. Ustawiła ją na niskim stoliku, wyprostowała się i obrzuciła gościa ostrym spojrzeniem.

- Czy coś jeszcze, pani Elizabeth? - zapytała zwracając się do chlebobawczyni.

- Nie, Gladys, to wszystko. Dziękuję.

Starsza kobieta ściągnęła twarz, znowu popatrzyła na Maksa.

- W razie potrzeby proszę mnie zawołać. - Zabrzmiało to jak groźba wobec gościa.

- Dobrze.

Odwróciła się i sztywno wyprostowana ruszyła do wyjścia. Max odprowadził ją wzrokiem. Głośno zamknęła drzwi.

- Jaką pan pije kawę, panie Riordan?

- Czarną.

Elizabeth napełniła filiżankę parującą kawą, podaniu ją. Dla siebie zrobiła kawę ze śmietanką. Usiadła wygodniej, upiła łyk, spoglądając znad filiżanki na gościa.

- Muszę przyznać, że pana wizyta jest dla mnie niespodzianką. Czemu ją zawdzięczam?

- Przejdę od razu do rzeczy. - Nie lubił kluczyć, bawić się w podchody. Szkoda mu było na to czasu. Wolał mówić wprost i szybko załatwiać sprawy. Opamiętał się w ostatniej chwili. Elizabeth mogłaby poczuć się urażona takim brakiem taktu. – Oczywiście jeśli to pani odpowiada.

- Bardzo proszę.

- Chciałem z panią pomówić, ponieważ znam pani sytuację finansową.

Aż do tej chwili Elizabeth była uosobieniem spokoju i wdzięku, choć w jej oczach widział skrywany niepokój, lecz po tych słowach zeszywniała. Dumnie uniosła brodę, zdobyła się nawet na chłodny uśmiech. Pochyliła się i postawiła na stoliku swoją filiżankę. Każdy jej ruch był ostrożny i wyważony.

Wyprostowała się, skrzyżowała dłonie na podołku. Zielononiebieskie oczy lśniły lodem. Arystokratka w każdym calu, przemknęło mu przez myśl.

- Mogę zapytać, w jaki sposób uzyskał pan takie informacje?  
Z założenia są one poufnej natury.

- Jestem w radzie dyrektorów pani banku.

- Czyżby? Od kiedy? - W jej tonie zabrzmiało niedowierzenie.

- Od prawie roku. Po odejściu pani byłego męża poproszono mnie, bym zajął jego miejsce. Nie stało się to bez powodu, ostatecznie jestem jednym z największych udziałowców. Informacja o mojej nominacji została rozesłana do wszystkich klientów.

- No tak, rozumiem... Chyba musiałam to przeoczyć.

W ogóle jej nie przeczytała, skwitował w duchu. W sumie wcale się nie zdziwił. Ten ostatni rok nieźli ją doświadczył.

- Nie jestem z tych, którzy kolekcjonują tytuły i przesypiają posiedzenia, a mimo to pobierają wysokie wynagrodzenie - ciągnął Max. - Jestem biznesmenem żywotnie zainteresowanym dobrą kondycją banku i moich inwestycji. Regularnie kontroluję stan najważniejszych kont.

Umilkł, upił łyk kawy, popatrzył na rozmówczynię z powagą.

- Proszę sobie wyobrazić moje zaskoczenie, kiedy przejrzałem pani rachunek. Dokładnie zbadałem sprawę. Okazało się, że Edward Culpepper regularnie pobierał duże sumy ze wszystkich pani kont.



Natychmiast skontaktowałem się z naszym doradcą inwestycyjnym. Wtedy wyszło na jaw, że pani konto w biurze maklerskim również zostało ogołoczone. To wszystko oznacza, że jest pani zrujnowana finansowo.

Nadal zachowywała spokój, lecz jego spojrzeniu nie umknął lęk malujący się w jej oczach.

Przez chwilę milczała. Wreszcie westchnęła głęboko.

- Rozumiem - wyszeptała. Naiwnie myślałam, że minie jeszcze trochę czasu, nim wszyscy się o tym dowiedzą.

- Proszę się nie denerwować, na razie to nie na światło dzienne. W banku nikt o tym nie wie, poza mną i Walterem Monroe.

- Domyślam się, jaki jest cel pańskiej wizyty. Bank chce zająć ziemię zastawioną jako zabezpieczenie kredytu, który wzięłam na wiosnę, tak?

Wciąż była opanowana, lecz ten chłód był tylko pozorny. W jej oczach wyraźnie widział obawę i desperację.

- Absolutnie nie – zapewnił.

Nie poruszyła się, jedynie kilka razy zamrugała gwałtownie. Wręcz poczuł ulgę, jaka na nią spłynęła. Dopiero po dobrej chwili, gdy dotarł do niej sens jego słów, popatrzyła na niego pytająco.

- Czegoś tu nie rozumiem. Skoro bank nie chce mojej ziemi, to w jakim celu pan do mnie przyszedł?

- Przedstawić pani ewentualne rozwiązanie pani problemu.
- Naprawdę? Dlaczego? Przecież pan prawie mnie nie zna.
- To prawda. Jednak nie chodzi o filantropię - odpal bez owijania w bawełnę, jak to on. - Chcę zaproponować pani układ, który przyniesie korzyści nam obojgu

Jednym haustem dopił kawę, odstawił filiżankę i rozparł się wygodnie na obitej cenną tkaniną kanapie, wyciągając jedno ramię na oparciu. Nie odrywał oczu od Elizabeth.

- Jestem przekonany, że jeśli się pobierzemy będzie to bardzo korzystne dla obu stron.

Po raz pierwszy, odkąd ją znał, jej spokój nagle zniknął. Oczy rozszerzyły się jej ze zdumienia, szczęka opadła. Najwyraźniej nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Wpatrywała się tylko w niego z niedowierzającym osłupieniem.

- Co... co pan powiedział? - wydusiła wreszcie.
- Wiem, że to dla pani szok, ale jeśli przez chwilę rozważy pani ten pomysł, z pewnością przyzna mi pani rację.
- Panie Riordan, nie mogę... Uniósł dłoń, by ją uciszyć.
- Proszę mnie najpierw wysłuchać, dobrze? Zawahała się, skinęła głową. Była jak odurzona.
- Przedstawię sytuację z mojego punktu widzenia. Od lat bezskutecznie próbuję wejść w kręgi tutejszej elity, ludzi z bogatych rodów o długiej tradycji.

Taka pozycja bardzo ułatwia inwestycje. Niestety, to zamknięta grupa, która niechętnie dopuszcza do siebie obcych. Pani pozycja społeczna utorują mi drogę.

Przez chwilę milczał.

- Poza tym - zaczął rzeczowo - doszedłem do tego etapu w życiu, że czuję potrzebę stabilizacji. Chcę mieć dom, stałą partnerkę. Lubię kobiety, nie ukrywam tego - ciągnął takim tonem, jakby rozmawiał o pogodzie. - Jednak nie mam ani czasu, ani ochoty na te tańce godowe, które się z tym wiążą. Zaloty, randki i tak dalej. Dla mnie to strata czasu. Znam się na ludziach i wiem, jakiej kobiety mi potrzeba. Przez jakiś czas przyglądałem się pani uważnie. Doszedłem do wniosku, że będzie pani dla mnie idealną żoną.

Był pełen uznania dla jej postawy, gdy rzucił ją mąż, a całe miasto trzęsło się od plotek. Potrafiła zachować godność i opanowanie, to w niej podziwiał. Oczywiście teraz nie będzie przywoływać tamtych trudnych tematów. Elizabeth miała jeszcze jedną ważną zaletę - wydawała się zdystansowana i samowystarczalna. Raczej nie będzie go zbyt absorbować.

- Taki układ będzie korzystny również dla pani. Przynajmniej przed wszystkim zmieni się pani sytuacja finansowa. Wyciągnę panią z kryzysu. Wiem, że przez ostatnie cztery lata pani farma nie przyniosła żadnego dochodu. Zablokuję wystarczająco dużą sumę jako fundusz na zabezpieczenie farmy. W ten sposób już nic jej nie zagrozi.

Nazywa się Mimosa Grove czy jakoś tak, prawda?

- Mimosa Landing - wyszeptała.

- No tak. Poza tym, za pani zgodą, odbuduję wasz rodzinny portfel inwestycyjny.

Elizabeth aż zeszywniała.

- O nie! - wybuchnęła. - Już nigdy nikomu nie pozwolę, by miał kontrolę nad naszym majątkiem.

- Ja wcale tego nie chcę. - Popatrzył na nią z powagą. - Doskonale wiem, jak podle zachował się Edward, jak nikczemnie wykorzystał swoje pełnomocnictwa. Popełniła pani błąd. Nigdy nikomu, naprawdę nikomu, nie powinna pani przekazywać swoich uprawnień.

- Teraz już to wiem.

Chciał skomentować, lecz powstrzymał się, słysząc gorycz w jej głosie.

- Moja rola ograniczy się wyłącznie do doradztwa. Wszystko, co należy do pani, będzie zapisane na panią. To oznacza, że będzie pani musiała przeczytać i podpisać każdy dokument. Ja będę tylko doradcą. O moich propozycjach pani i pani prawnik będziecie na bieżąco informowani, a ostateczna decyzja w sprawach dotyczących pieniędzy i majątku Stantonów będzie należała do pani.

Dal jej chwilę na przetrwanie tych słów.

- Wszystkie te rzeczy zostaną szczegółowo uregulowane w intercyzie, ale w zarysie tak to wygląda. Jeśli pani w spokoju rozważy moją propozycję, to jestem pewien, że dopatrzy

się pani plusów dla obu stron. - Skończył i czekał na jej reakcję.

Patrzyła na niego osłupiała. Wprost nie wierzyła własnym uszom. Człowiek, którego w zasadzie nie zna, ni stąd, ni zowąd przychodzi do jej domu i proponuje małżeństwo, jakby to był zwyczajny interes. Nawet nie jest zdenerwowany, a przecież mówi o wspólnym życiu, również intymnym. Czy on oszalał?

Chyba nie, sądząc po spokoju, z jakim patrzył na nią, czekając na odpowiedź.

Przyjrzała mu się badawczo. Może robić wrażenie. Nic dziwnego, że tak podoba się kobietom. Wprawdzie trudno mówić o klasycznej urodzie, bo ma zbyt ciosane rysy, jednak bije od niego męska siła i żywotność. Mężczyzna, którego natychmiast się zauważy, nawet w dużej grupie.

Ma dobrze ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Szerokie bary, mocna sylwetka człowieka, który kiedyś pracował fizycznie. Duże, zniszczone dłonie też o tym świadczyły.

Oliwkowa karnacja i czarne jak smoła włosy stanowiły mocny kontrast z błękitnymi oczami, których spojrzenie zdawało się przenikać ją do głębi. Przez prawą brew aż do lewego policzka biegła ledwie widoczna blizna. Nos wyglądał jak po kilku złamaniach.

Do jego sposobu mówienia czy ubioru nie można było się przyczepić. Wysławiał się poprawnie, choć nieco zbyt szorstko i mało oględnie. Garnitur w najlepszym gatunku, szyty na miarę, jednak czegoś mu brakowało, sznytu czy też finezji.

Już na pierwszy rzut oka czuło się, że to twardy gość.

Jak dla niej był zbyt wyrazisty - za bardzo agresywny, za bardzo niebezpieczny, za bardzo... za bardzo męski.

- No tak - wykrztusiła wreszcie. - Muszę powiedzieć, panie Riordan, że mnie pan zaskoczył. Byłam ciekawa, co pana sprowadziło w moje progi, lecz czegoś takiego się nie spodziewałam.

- Proszę wybaczyć, jeśli moja bezpośredniość panią uraziła. To moja słaba strona, nie raz mi to mówiono. Czasem idę na skróty. Jednak w ten sposób doszedłem do tego, co mam. Gdy rysuje się jakaś możliwość, nie czekam, tylko staram się natychmiast ją zrealizować. Jak już wspomniałem, nie mam czasu i cierpliwości na zabawę w uwodzenie. Zwróciłem na panią uwagę od razu, jak tylko się poznaliśmy. Od tamtej pory miałem panią na oku.

Poczuła ciarki na plecach. On przez cały czas ją obserwował!

- Zdobyłem garść informacji na pani temat. Wiem, że była pani wierna mężowi, że jest pani lubiana i podziwiana przez znajomych, z wyjątkiem Natalie Brussard. Uchodzi pani za osobę uczciwą, zrównoważoną i miłą. Ludzie, których pani zatrudnia, zarówno tu, jak na farmie, są z panią od lat. To mówi samo za siebie.

- To ma być garść informacji? Dla mnie to wygląda na całe śledztwo.

- W głosie Elizabeth zabrzmiała ostra nuta.

Max wzruszy! ramionami.

- Staram się być ostrożny. Ale proszę się nie niepokoić, dowiedziałem się samych dobrych rzeczy. Tym bardziej jestem pewny, że do siebie pasujemy.

- Naprawdę? - Powoli zaczynała otrząsać się z szoku. Wyprostowała się w fotelu. - Pozwoli pan, że streszczę pana propozycję, bo może coś do mnie nie dotarło. Mam wyjść za pana dla pieniędzy, a pan ożeni się ze mną ze względu na moją pozycję społeczną i kontakty. No i by mieć stałą partnerkę do łóżka. Czy dobrze zrozumiałam?

Jej ton wcale go nie uraził.

- Mniej więcej tak - odparł i wzruszył ramionami.

Nie wiedziała, czy powinna się czuć rozbawiona czy urażona.

- Aha. W takim razie zapytam jeszcze o jedno. Jeśli przystanę na pana propozycję, to na jak długo przewiduje pan to małżeństwo?

- Póki nas śmierć nie rozłączy. Tak chyba jest w przysiędze? Jednak jeśli pani chce, możemy zastrzec w umowie, że przed upływem pięciu lat przeanalizujemy naszą sytuację. To wystarczający czas, by zdecydować, czy chcemy być razem. Mam nadzieję, że do tej pory pani portfel inwestycyjny będzie odbudowany, a ja przetrę sobie ścieżki w tutejszych kręgach.

Umilkł na chwilę.

- Jeśli stwierdzimy, że któreś z nas ma dość wspólnego życia, rozstaniemy się w pokoju. Pani farma będzie zabezpieczona, będzie pani mieć stałe dochody, a ja zyskam inwestorów, na których mi zależy.

- Jeśli jest pan tak bogaty, że stać pana na taki pomysł, to po co panu kolejne przedsięwzięcia?

- Nie chodzi o pieniądze - odparł. - Przestały się dla mnie liczyć, gdy zarobiłem pierwszy milion. To jest jak gra, która wciąga. Wymyślam coś i staram się, by zagrało. To mnie bierze, daje mi kopa. Zyski, dla siebie czy dla innych, są na drugim miejscu.

- Rozumiem - mruknęła, choć nic z tego nie rozumiała. Jej przodkowie ciężko pracowali i pomnażali rodzinny majątek, bo czuli się odpowiedzialni za przyszłość kolejnych pokoleń, a dla Maksa to był cel sam w sobie. Był pracoholikiem, człowiekiem uzależnionym.

- Powiem panu, panie Riordan, że zdarzało mi się otrzymywać bardziej romantyczne propozycje. - Nie było tygodnia, by Wyatt Lassiter, przyjaciel z dzieciństwa, nie prosił jej o rękę.

- Przepraszam, nie jestem romantykiem z natury.

- No tak, ale ja jestem, w tym problem. Przykro mi, ale...

- Proszę mi mówić po imieniu. Max.

- Cóż, dobrze... Max. Chyba jednak to nie są wystarczające powody do zamążpójścia.

Posłał jej jedno z tych swoich spojrzeń. Błękitne oczy przewiercały ją na wskroś.

- Domyślam się, że za Edwarda wyszłaś z miłości?

- Tak.

- Hm. No i chyba miłość nie zagwarantowała powodzenia waszemu związkowi?



Pytanie odczuła jak policzek. Nie dała tego po sobie poznać. Prawie.

- Chyba nie. Jednak... małżeństwo dla pieniędzy jakoś do mnie nie przemawia. To takie... straszne.

- Straszne? Dla mnie to jest uczciwy, czysty, dobry dla obu stron układ. Przypomnę ci, że dopiero od jakichś stu lat ludzie pobierają się z tak zwanej miłości, wcześniej, przez całe wieki, powody były zupełnie inne. Liczyły się względy polityczne, finansowe, rodowe, zapewnienie spadkobierców, bezpieczeństwo. W różnych miejscach na świecie to przetrwało do dziś. Wiele małżeństw było bardzo udanych. Jeśli ludzie mają realistyczne oczekiwania, to zwykle związek ich nie rozczarowuje, a daje im prawdziwe zadowolenie.

- Zadowolenie? A co ze szczęściem?

Max wzruszył ramionami.

- To również. Liczę, że wraz z upływem czasu przywiążemy się do siebie.

- A jeśli nie?

- Wtedy nadal pozostanie nam wzajemny szacunek. Jedno ci mogę obiecać: dochowam ci wierności. Nigdy nie przeżyjesz upokorzenia, jakiego doznałaś z powodu Edwarda. Zawsze dotrzymuję słowa.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął wizytówkę i długopis. Napisał coś na odwrocie.

- Tu są numery do mojego biura. Masz też mój bezpośredni numer, prosto na moje biurko. Niewiele osób go zna. Daję ci też mój

telefon domowy i na prywatną komórkę. - Podał jej wizytówkę. - Zastanów się nad tym, co powiedziałem. Nie śpiesz się, niech to będzie nawet parę dni. Potem zadzwoń i powiedz, jaka jest twoja odpowiedź.

Już teraz mogę ci jej udzielić, pomyślała.

Uśmiechnęła się z przymusem.

- Dobrze - wydusiła.

- Obiecuj, że nie będziesz się śpieszyć i w spokoju wszystko dokładnie przeanalizujesz - powtórzył, jakby czytał w jej myślach.

- Obiecuję. - Podniosła się, dając znak, że uważa rozmowę za skończoną. Max nie miał wyjścia, również wstał.

- Dobrze. W takim razie czekam na twój telefon.

Jest zimny, bez żadnych emocji, pomyślała, odprowadzając go do drzwi. Dla niego to tylko kolejny interes.

Gdy wyszedł, oparła się o mahoniowe drzwi i zamknęła oczy. Czuła się dziwnie. Co za niemożliwy człowiek! Gdy Gladys zaanonsowała jego przyście, była ciekawa, o czym chciał z nią rozmawiać. W życiu by nie pomyślała, że zaproponuje jej małżeństwo.

Podwójne drzwi do jadalni otworzyły się i do foyer wpadła Mimi. Elizabeth aż podskoczyła. Była tak pochłonięta rozpamiętywaniem niedawnego spotkania, że zupełnie zapomniała o przyjaciółce, która z pewnością nie odmówiła sobie przyjemności podsłuchania całej rozmowy.

Rozognione oczy Mimi i emocje malujące się na jej twarzy świadczyły, że rzeczywiście tak było.

- O mój Boże! - wykrzyknęła. - O wielkie nieba! Małżeństwo! Proponuje ci małżeństwo! Myślałam, że się posiusiam, jak z tym wyjechał! Ledwie się powstrzymywałam, by nie wparować do środka i wyrzucić go na zbity pysk. Co za bezczelny typ!

Elizabeth popatrzyła na nią z ukosa, ruszyła do salonu.

- No wiesz, Mimi. Dopiero co mówiłaś, że to taki zabójczy przystojniak - rzuciła przez ramię, mijając przyjaciółkę.

Szpilki Mimi nerwowo stukały po marmurze, po parkiecie salonu.

- Owszem, mówiłam. Bo jest niezły. Ale to jeszcze nie znaczy, że masz za niego wyjść! - Jej oczy rzucały pioruny. - I co on sobie wyobraża? Że wyjdiesz za niego dla pieniędzy? W dodatku jeszcze ma czelność powiedzieć, że chodzi mu o twoją pozycję. No i by mieć kogoś na stałe do łóżka. Już za to stwierdzenie powinnam walnąć go w zęby.

Nie mogła powściągnąć gniewu.

- Czy ten facet jest ślepy, czy tylko taki ograniczony? Nie zdaje sobie sprawy, jaką miałby dobrą, mądrą, cudowną i piękną kobietę, gdyby mu się udało, co Boże broń, zaciągnąć cię do ołtarza?

- Jedno, co trzeba mu oddać, to że jest szczery. - Elizabeth usiadła w fotelu, sięgnęła po dzbanek.

- Napijesz się kawy? Poproszę Gladys, by przyniosła filiżankę.

- Nie, dzięki, nie chcę żadnej kawy - prychnęła Mimi. Zaczęła nerwowo krążyć wzdłuż kominka. - Powiedz mi, co zamierzasz z tym zrobić.

- To, co obiecałam. Zastanowię się nad jego propozycją, a potem zadzwonię i powiem mu, co zdecydowałam. - Dołała śmietanki do kawy, uśmiechnęła się do przyjaciółki i zaczęła pić.

Mimi zatrzymała się w miejscu, wlepiła wzrok w Elizabeth.

- Chyba nie zastanawiasz się nad tym, czy jej nie przyjąć?

- Dlaczego mam się nie zastanawiać? Max jest bogaty, jest atrakcyjnym mężczyzną i chce wybawić mnie z kłopotów. Czy to nie doskonale rozwiązanie moich problemów? Sama mówiłaś, że niedawno rozpląwałyście się z dziewczynami nad Maksem. Jego oferta naprawdę jest dobra. Gdzie znajdę lepszą?

- Oferta, interes! - Mimi nie posiadała się z gniewu. Stała przed przyjaciółką, ujęła się pod boki. - Czy tobie naprawdę odważyło? Tu chodzi o małżeństwo, a nie o fuzję czy przejęcie firmy! Jak możesz nawet myśleć o przyjęciu takiej chorej propozycji?

Niemal eksplodując ze złości, zaczęła krążyć po salonie, gestykułując obiema rękami.

- Na litość boską, ten facet wziął się tu nie wiadomo skąd! Mówią o nim, że jest kombinatorem, przedsiębiorcą, grubą rybą, tylko że nikt naprawdę nic o nim nie wie. Nie wiadomo, czym się zajmuje. Może jest dilerem narkotyków, a może... gangsterem! Albo seryjnym mordercą.

Albo... albo jeszcze czymś gorszym.

Elizabeth wybuchnęła śmiechem.

- Mimi, przestań. Ale ty masz bujną wyobraźnię!

Po raz pierwszy od wielu miesięcy było jej lekko na duchu. Odwykła od takiego poczucia, przytłoczona zmartwieniami i stresem. Dzięki Maksowi miała wrażenie, że kamień spadł jej z serca.

Jej rozbawienie wywarło na Mimi przeciwny efekt. Zatrzymała się jak wryta.

- Psiakrew, Elizabeth! - parsknęła. - Tu nie ma z czego się śmiać!

Nie chciała już dłużej grać jej na nerwach.

- No już dobrze, wyluzuj. Oczywiście, że się nie zgodzę. Chciałam się tylko z tobą trochę podroczyć.

Mimi popatrzyła na nią podejrzliwie, ale widać przyjęła jej słowa za dobrą monetę, bo przysiadła na kanapie. Zrzuciła szpilki i wyciągnęła na poduszkach swoje długie nogi tancerki. Z dramatycznym westchnieniem oparła głowę.

- Och, co za ulga.

- Hm. - Elizabeth postukała się w usta brzeżkiem wizytówki Maksa. - Za to Max naprowadził mnie na pewien pomysł. Podsunął mi sposób na rozwiązanie mojego problemu.

- A to jaki?

- Małżeństwo. Wcześniej o tym nie pomyślałam, ale to nie jest zły pomysł.

Mimi poderwała się jak wystrzelona z procy.

- Co takiego? Elizabeth, jestem w szoku! Elizabeth wzruszyła ramionami.

- Jak zauważył Max, ludzie pobierają się z różnych powodów. Miał też świętą rację, mówiąc o mnie i Edwardzie. Kochałam go, on też się zaklinał, że mnie kocha. A jednak zdradził mnie, okradł, złamał mi serce. Może będzie lepiej, gdy wyjdę za mąż z bardziej praktycznych powodów.

- Kotku, nie mów tak, błagam.

- Dlaczego? Jeśli od początku wszystko jest jasne i obie strony pobierają się świadomie, nie licząc na nic więcej jak na lojalnego partnera, to raczej nie ucierpisz.

- Mylisz się. Możesz ucierpieć. Co będzie, jeśli potem poznasz kogoś i się w nim zakochasz? A już będziesz związana małżeństwem bez miłości.

Elizabeth pokręciła głową.

- Tego się nie boję. Coś ci powiem. Maksowi oświadczyłam, że jestem romantyczką, ale tak nie jest. Straciłam wiarę w miłość. Już wcześniej postanowiłam, że nigdy więcej nie wyjdę za mąż. Nikomu nie zaufam. Nie oddam ani serca, ani majątku. - Urwała. - Ale teraz zaczyna mi się wydawać, że małżeństwo z bogatym mężczyzną to może jedyny sposób na uratowanie farmy.

- Nie mów tak - jęknęła Mimi. - Musi być jeszcze jakieś inne wyjście.

- No to je wymyśl, bardzo proszę. - Patrzyła na przyjaciółkę. Mimi bezradnie otworzyła usta, zamknęła je. Elizabeth odstawiła filiżankę, zerknęła na Mimi. - Widzisz? Nie ma innego wyjścia.

- Chyba rzeczywiście nie - westchnęła zgaszona Mimi.

- Skoro muszę wyjść za mąż z rozsądku, by ocalić Mimosa Landing, to przynajmniej za kogoś, kogo znam.

- Masz kogoś konkretnego na myśli? Poza Riordanem, rzecz jasna.

- Mam. Jak wiesz, Wyatt Lassiter wciąż mnie prosi, bym za niego wyszła.

W odpowiedzi Mimi jęknęła głucho.

- O co chodzi? Masz coś przeciwko niemu?

- Temu nadętemu dupkowi? Rozpuszczonemu aroganckiemu paniczekowi, który wciąż jest na utrzymaniu mamusi i tatusia?

- Nie mów tak, Wyatt pracuje - broniła go Elizabeth.

- No tak, jasne. W firmie Fossbinder, Lassiter and Drummond. Niby jest na stażu prawniczym, ale głowę dam, że przez cały tydzień nie spędza tam więcej niż dziesięć godzin. Gdyby jego tatuś nie był współnikiem, nie zarobiłby złamanego grosza. Skarbie, masz jakiś pokrętny gust, jeśli chodzi o facetów.

Najpierw Edward, teraz Wyatt.

- Nie powiedziałam, że on mi się podoba – sprostowała Elizabeth. - Po prostu wydaje mi się, że to bezpieczny wybór. Przyjaźnimy się.

Znamy się od dziecka.

- Edwarda też znałaś od małego. Już zapomniałaś?

- To co innego. Byłam w nim zadurzona, zaślepiona szczenięcą miłością. Wyatt doskonale wie, że z mojej strony nie może liczyć na uczucie. Zaklina się, że jego miłości wystarczy na nas oboje. I zapewnia, że z czasem go pokocham.

- Jasne - szyderczo skrzywiła się Mimi. - Jest taki zadufany w sobie, że nie wyobraża sobie, że nie mogło być inaczej. Uważa, że każda mu padnie do stóp.

- Wyatt jest zapatrzony w siebie, ale są gorsze rzeczy. Owszem, jest nadmiernie pewnym siebie egoistą. Ale jeśli wybawi mnie z długów, będę dla niego dobrą żoną. Przysięgam.

Mimi, która znała Elizabeth jak siebie, popatrzyła na przyjaciółkę ze smutkiem.

- Wiem, że będziesz, skarbie. - Jej głos był dziwnie zgaszony. -  
Wiem, że będziesz.



## ROZDZIAŁ TRZECI

Przyszeli pan Lassiter - zaanonsowała gościa Gladys.

Elizabeth spięła się w sobie, lecz starała się zachować spokój. Wyprostowała się i zaczerpnęła duży haust powietrza. Przez ostatni tydzień zastanawiała się nad swoją sytuacją, rozważała możliwe rozwiązania. W końcu, po długim wahaniu, podjęła decyzję. Tego musi się trzymać.

- Poproś go, Gladys.

Gladys skinęła głową. Po chwili do salonu wszedł Wyatt Lassiter, stary przyjaciel.

- Witaj skarbie - zaczął od progu. - Nawet nie wiesz jak bardzo się ucieszyłem, gdy dostałem twoją wiadomość. Chociaż i tak planowałem do ciebie dzisiaj zajrzeć. Miałem nadzieję, że jeszcze nie wyjechałaś do Mimosa Landing. - Wyciągnął do niej rękę, a kiedy

je ujęła, przygarnął ją do siebie i ucałował w policzek. - Jak zawsze wyglądasz olśniewająco - rzekł, cofając się nieco i obrzucając ją spojrzeniem od stóp do głów.

- Dziękuję. - Oswobodziła ręce. Czuła się nieswojo. Bliskość Wyatta nie budziła w niej żadnych emocji, ani dobrych, ani złych. Był jej całkowicie obojętny.

- Usiądziemy? - Wskazała kanapę stojącą przy kominkiem.

Znała jego zachowania. Siadając, jak zwykle starannie podciągnął nogawki, a potem pedantycznie wygładził fałdki na materiale. Elizabeth usiadła w jednym z dwóch stojących obok kanapy stylowych foteli.

- O, już jest Gladys z kawą - zagaiła, ciesząc się w duchu, że choć na chwilę odwlecze to, co ma się stać.

Gladys ustawiała tacę z zastawą, uprzejmie konwersując z Wyattem. Elizabeth skorzystała z okazji i obrzuciła gościa uważnym spojrzeniem. Dlaczego on jej się wcale nie podoba?

Jest całkiem przystojnym mężczyzną o nieco arystokratycznej urodzie. Człowiek z towarzystwa powszechnie uważany za świetną partię.

Kobiety patrzyły na niego łaskawym okiem, jednak Wyatt, choć miał już trzydzieści dziewięć lat nadal był kawalerem. Jego jasne włosy odrobinę się przerzedziły, lecz potrafił zamaskować to odpowiednim uczesaniem.

Zaczął lekko tyć, ale doskonale skrojone ubrania ukrywały wszelkie niedoskonałości figury. Nadal prezentował się bardzo dobrze. Mężczyzna atrakcyjny i bardzo bogaty.

Być może nie działał na nią, bo od zawsze postrzegała go jako znacznie starszego od siebie. Dziesięć lat to była spora różnica, zwłaszcza wcześniej gdy byli młodszy. Wtedy nie uważała go za swego rówieśnika. Teraz odbiera go inaczej. A może rzecz w tym, że znają się zbyt długo? Może to dlatego Wyatt nie budzi w niej sentymentalnych uniesień? Z doświadczenia wie, że tak się zdarza. Lata małżeństwa ostudziły jej uczucia w stosunku do Edwarda.

Choć w sumie co to ma za znaczenie? Co z tego, że na widok Wyatta jej serce nawet nie zadrży? Z Edwardem też nie przeżywała jakichś nieprawdopodobnych emocji. Z Wyattem wiele ją łączy, od lat się przyjaźnią. Związek z nim ma rację bytu. Na pewno się dogadają.

Kogo próbujesz przekonać? Siebie czy innych? - wewnętrzny głos nie dawał za wygraną, na nowo budząc w niej wątpliwości, ale odepchnęła je od siebie.

Oczywiście nie obędzie się bez intercyzy. Max Riordan podsunął jej dobry pomysł.

Nalała do filiżanek kawę, przedłużając tę czynność, by zyskać na czasie. Wreszcie Gladys wyszła. Nie mogła dłużej zwlekać, musiała przejść do rzeczy.

- Pewnie zastanawiasz się, o czym chciałam pogadać.

Wyatt upił łyk, uśmiechnął się do Elizabeth czarująco.

- Jestem szczęśliwy, gdy mogę cię ujrzeć. Każdy powód jest dobry.

- Dziękuję. - Wbiła wzrok w swą filiżankę, jakby tam spodziewała się znaleźć odwagę. Po chwili wyprostowała się, nabrała powietrza i popatrzyła prosto w orzechowe oczy Wyatta. - Czy nadal chce się ze mną ożenić?

Jego twarz rozpromieniła się w uśmiechu.

- Jak najbardziej! - Odstawił filiżankę, wyprostował się. Twarz mu jaśniała. - Czy to znaczy, że jesteś skłonna się zgodzić?

- Możliwe.

- Och, kochanie, jestem najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem! - Chciał się podnieść, lecz powstrzymała go gestem.

- Poczekaj. Jeszcze nic nie mów. Najpierw muszę ci coś powiedzieć.

Oparł się wygodnie, na jego ustach pojawił się uśmiech rozbawienia.

- Zgoda. Ale zaręczam ci, że cokolwiek powiesz to niczego nie zmieni.

- Wysłuchaj mnie, zanim się zdeklarujesz. Dobrze?

- Dobrze.

- Przede wszystkim chciałabym powtórzyć, że choć bardzo cię lubię, to nie jestem w tobie zakochana. Słyszałeś to ode mnie wiele razy, jednak chcę, by to było jasne.

- To mnie nie przeraża. Miłość przyjdzie później. Jak już ci wcześniej mówiłem, mojej miłości wystarczy za nas dwoje.

- Chcę również być z tobą szczerą na temat... mojej sytuacji finansowej.

Tym razem na twarzy Wyatta odmalował się niepokój.

- Jak mam to rozumieć?

- Na razie jeszcze nikt o tym nie wie, jednak z pewnością już wkrótce sprawa stanie się głośna. Nie tak dawno okazało się, że przez wiele lat Edward systematycznie przejmował mój rodzinny majątek, a pieniądze przelewał na swoje konto w Szwajcarii.

- Co takiego? No nie... - Wyatt zacisnął szczęki, jego oczy rzuciły gniewne iskry. - Chociaż chyba nie powinienem być zaskoczony. Nigdy nie przepadałem za Edwardem, zwłaszcza po tym, jak skradł mi cię prosto sprzed nosa.

- Przepraszam? - Popatrzyła na niego ze zdumieniem. - Jak mam to rozumieć? Skradł mnie?

- Skarbie, już dawno upatrzyłem sobie cię na panią Lassiter. Lata temu, gdy jeszcze byłaś dziewczynką. Jak myślisz, czemu tak długo jestem sam? Czekałem, aż dorośniesz. Ale zanim się obejrzałem, już byłaś zaręczona z Edwardem. Byłem wściekły, mówię ci. W zeszłym roku, gdy cię porzucił, odetchnąłem. Choć oczywiście ubolewałem, że tak bardzo cię skrzywdził - dodał pośpiesznie. - Jednak nie miałem pojęcia, że cię ograbił. Co za skończony łajdak!

Elizabeth nie odrywała od niego oczu. Zamrugwała, brakowało jej słów. Czego on się po niej spodziewał? Że potraktuje to jako komplement? Upatrzył ją sobie na żonę. Wybrał. Jakby wybierał najlepszą sztukę ze stada krów? Jakby jej uczucia w tej mierze nie miały żadnego znaczenia?

Wyatt podniósł się i zaczął przemierzać salon.

- Jak bardzo uszczuplił twój majątek?

- Bardzo - odparła, uważnie śledząc jego reakcję - Z fortuny Stantonów nie pozostało nic poza domem i farmą.

Wyatt zatrzymał się jak trafiony piorunem, wlepił w nią wzrok. Wydawało się jej, że pobladł.

- O dobry Boże! Aż tak? Domyślam się, że skonsultowałaś się z Johnem. Zrobił już coś, by odzyskać twój majątek?

- Na razie nic. Szukał sposobu, jednak Edward był bardzo przebiegły. Tak się zabezpieczył, że w zasadzie nic nie da się zrobić.

Wyatt miał taką minę, jakby ktoś wymierzył mu solidny cios w żołądek. Po raz pierwszy widziała go w takim stanie. Przeciągnął palcami po włosach, burząc starannie ułożoną fryzurę.

- Aha. Hm... to trochę zmienia sytuację, prawda?

- Tak myślę - odparła. Nie spuszczała z niego wzroku. Wyatt nerwowo krążył po salonie. Pochłonięty swoimi myślami, uderzył pięścią w drugą dłoń. Nie takiej reakcji się po nim spodziewała. Poczula wzbierający niepokój. - To chyba znaczy, że z powodu

mojej sytuacji finansowej twoja propozycja staje się nieaktualna.

Skrzywił się. Przysiadł na kanapie, tuż przy fotelu Elizabeth. Pochylił się i ujął jej dłonie.

- Elizabeth, skarbie, zapewniam cię, że wariuję na twoim punkcie. I że oddałbym wszystko, byś została moją żoną.

- Jednak jest jakieś „ale”, tak?

Wyatt westchnął, popatrzył na nią z żalem.

- Spróbuj mnie zrozumieć. Rodzina oczekuje po mnie, że dobrze się ożenię. To obowiązek każdego Lassitera. Liczy się doskonałe pochodzenie, pozycja społeczna i majątek. Ty z nawiązką spełniasz, te dwa pierwsze wymogi. W całym Teksasie nie ma bardziej szanowanej rodziny niż Stantonowie. Jednak rodzina nigdy mi nie daruje, jeśli ożenię się z kimś, kto nie wniesie do niej majątku.

- Rozumiem. - Oswobodziła dłonie z jego uścisku. - W takim razie wychodzi na to, że nie mamy o czym rozmawiać.

- Poczekaj... może nie. Przemyślmy dokładnie nim się poddamy. Myślę, że za ten dom mogłabyś dostać kilka milionów. Wprawdzie planowałem, że tu zamieszkamy... Mimosa Landing też ma swoją wartość. To potężny kawał ziemi ze świetną lokalizacją wzdłuż rzeki Brazos. Niewiele jest dzisiaj takich posiadłości, to prawdziwa żyła złota. Jeśli przepiszesz farmę na mnie, powiedzmy... jako coś w rodzaju posagu, to prawdopodobnie zdołam przekonać

rodzinę do naszego ślubu.

Kącki ust Elizabeth wygięły się w ironicznym uśmiešku.

- Tak sądzisz? Cóż to za wspaniałomyślność z ich strony. Jednak nie licz na to.

- Ależ kochanie, to po prostu najlepsze rozwiązanie, naprawdę.

- Może dla ciebie. Przykro mi, Wyatt, ale przez to, że powierzyłam komuś kontrolę nad moim majątkiem, straciłam prawie wszystko, co miałam. Już nigdy więcej nie popełnię takiego błędu.

Odchylił się do tyłu, popatrzył na Elizabeth z wyraźną urazą.

- Czy to znaczy, że nie masz do mnie zaufania! Nie jestem Edwardem Culpepperem, wiesz o tym dobrze.

- To prawda. Jednak ta ziemia jest w posiadania mojej rodziny od ponad stu osiemdziesięciu lat Stantonowie włąli w nią życie, poświęcili się jej. Za nic nie dopuszczę, by ktokolwiek przejął nad nią pieczę, nawet na najmniejszym kawałku. Nie cofnę się przed niczym, by nie wypuścić jej i farmy z rąk To dziedzictwo Stantonów.

Wyatt uśmiechnął się kwaśno.

- No nie, Elizabeth, spodziewałem się po tobie czegoś innego, liczyłem, że masz więcej rozsądku Zbyt sentymentalnie podchodzisz do tej farmy. To tylko kawałek ziemi, a ty czynisz z niego jakieś sanktuarium twoich przodków.



Jeśli twoja sytuacja jest tak dramatyczna, jak mówisz, powinnaś być bardziej praktyczna.

Elizabeth przechyliła głowę i przez dłuższą chwilę przyglądała mu się badawczo. Dlaczego wcześniej tego nie widziała? Jemu zależy na farmie. By zdobyć Mimosa Landing, jest gotów się ożenić.

- Masz rację - rzekła wreszcie. - W tej sytuacji muszę postąpić bardzo praktycznie. Zrobić to, co jest konieczne.

Wyatt wyraźnie odetchnął.

- No to dobrze. Jestem pewien, że gdy ojciec usłyszy że Mimosa Landing zostanie przepisana na mnie, nie będzie stawiał żadnych przeszkód. – Podeszedł bliżej, poklepał Elizabeth po kolanie. – Wiedziałem, że mogę liczyć na twój rozsądek.

- Nie, źle mnie zrozumiałeś. Nie pobierzemy się.

- Ale przed chwilą powiedziałaś...

- Powiedziałam, że muszę postąpić praktycznie. I tak zrobię. Ale na swoich warunkach.

- Elizabeth, skarbie, posłuchaj mnie...

Wychodził ze skóry. Prosił, przekonywał, błagał. Jednak jego przymilne namowy nie działały. Kilka razy niewiele brakowało, by Wyatt stracił panowanie nad sobą. Za to Elizabeth zachowywała spokój, Uprzejmie, ale stanowczo trzymała się tego, co powiedziała.

Słuchając nalegań Wyatta, doszła do zaskakującego wniosku, że nawet jeśli miałyby wątpliwości, to ten jego

protekcjonalny ton na pewno by otrzeźwił. Jak to się stało, że wcześniej tego nie zauważyła? Przemawiał do niej jak do nierozgarniętego dziecka, które nie da sobie rady bez jego pomocy.

W końcu miała już tego serdecznie dość. Podniosła się.

- Przepraszam cię, Wyatt, ale muszę cię opuścić. Mam kilka telefonów do wykonania.

- Proszę bardzo. Może nawet dobrze się stanie, jeśli teraz pójde, a ty w spokoju sobie wszystko jeszcze raz przemyślisz - rzekł arogancko, gdy odprowadzała go do drzwi. - Jestem pewien, że gdy się dobrze zastanowisz, to zmienisz zdanie.

Uśmiechnęła się z przymusem. Gdy wyszedł i zamknęły się za nim drzwi, oparła czoło o mahoniową futrynę i westchnęła. Odczuła taką ulgę, że aż zakręciło się jej w głowie.

Po chwili, pogrążona w myślach, wróciła do salonu i podeszła do wysokiego okna. Patrzyła, jak Wyatt wsiada do swego mercedesa i odjeżdża długim podjazdem.

Co za bezczelny typ. Naprawdę myślał, że odda mu farmę? Nigdy w życiu.

Chociaż... może nie powinna czuć się urażona. W końcu była skłonna zgodzić się na to małżeństwo z powodów finansowych. Więc oskarżać go teraz o takie same motywy...

Tyle że on zapewniał, że ją kocha.

Westchnęła znowu. To już nie ma żadnego znaczenia. Dobrze wie, co powinna zrobić.

Wyszła z salonu i długim korytarzem ruszyła do gabinetu. Usiadła przy biurku, sięgnęła po telefon wybrała numer Mimi. Przyjaciółka odebrała po pierwszym sygnale.

- Cześć, kotku. Co jest?

- Nie obudziłam cię? Masz taki głos... - zreflektowała się Elizabeth. Mimi lubiła uciąć sobie drzemkę po lunchu.

- Nie, leżę i sobie czytam. Widziałam zdjęcie fantastycznej brylantowej spinki od Tiffany'ego. Coś niesamowitego, mówię ci. Myślę, czy w weekend nie polecieć do Nowego Jorku, żeby ją sobie obejrzeć. Takie spinki mają być krzykiem mody na ten sezon. Może wybierzemy się razem? Zabawimy się, wybierzemy się na wielkie zakupy. Co ty na to? Zgódź się.

- Niestety, nie mogę.

- Jeśli się martwisz o koszty, to ja funduję.

- Nie, nie chodzi o to. W każdym razie nie do końca. Mimi, chciałam cię o coś prosić.

- Kotku, wal śmiało. Przecież wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć.

- Chcę cię o coś zapytać.

- Strzelaj.

- Po pierwsze, czy propozycja pożyczki jest nadal aktualna?

- No jasne. W każdej chwili.

- Super. To powiedz mi teraz, czy znasz jakiegoś naprawdę dobrego prywatnego detektywa?

Nastrój Mimi w jednej sekundzie się zmienił. Elizabeth oczami wyobraźni widziała, jak wylegająca się na szezlongu przyjaciółka podrywa się gwałtownie i czujnie nastawia uszy.

- Kogo chcesz śledzić?

- Maksa Riordana. Jestem bliska przyjęcia jego oferty.

- Co?! Nie mówisz poważnie! Przecież nic o nie wiesz.

- Dlatego potrzebuję pieniędzy na detektywa. Muszę zgromadzić jak najwięcej informacji na temat Riordana, nim podejmę ostateczną decyzję.

- Słuchaj, musimy o tym pogadać. Zarzucę tylko coś i za dziesięć minut jestem u ciebie.

Nie minęło pięć minut, a Mimi jak burza wpadła przez taras do gabinetu. Była bez makijażu, a włosy sterczały jej we wszystkich kierunkach. Przybiegła jak stała.

- No już, gadaj! O co chodzi z tym Maxwelllem? Nie możesz wyjść za faceta, o którym zupełnie nic wiemy.

Elizabeth prychnęła posępnie, wzruszyła ramionami i oznajmiła:

- Zaczynam się zastanawiać, czy ja w ogóle kogoś znam.

Opowiedziała przyjaciółce o rozmowie z Wyattem i jego reakcji.

- Jeśli już muszę wyjść za mąż nie z miłości, ale z zupełnie innych powodów, to propozycja Maksa zaczyna mieć coraz więcej plusów. Oboje na tym zyskamy, a to już wiele znaczy. Nie chcę czuć się jak ofiara losu, którą trzeba ratować, bo inaczej zginie.

- Hm... oceniając rzecz pod tym kątem, to rzeczywiście jego propozycja przemawia bardziej niż Wyatta. Jednak nie mogę pogodzić się z myślą, że łądujesz się w małżeństwo bez miłości. Z facetami jest trudno dojść do ładu, nawet gdy się ich kocha. A co dopiero, gdy jest inaczej...

- Jeśli masz lepszy pomysł, to nastawiam uszu.

Mimi skrzywiła się gorzko.

- Cholera. Bardzo bym chciała, ale nie mam.

Donald Summers, emerytowany policjant, a obecnie prywatny detektyw, przez tydzień zbierał informacje na temat Riordana.

Pan Summers, postawny mężczyzna o włosach przyprószonych siwizną, pooranej zmarszczkami twarzy, łagodnym wejrzeniu i rzeczowym sposobie bycia już na pierwszy rzut oka budził zaufanie.

Agencja detektywistyczna, którą założył wraz z dawnym kolegą, również byłym policjantem, miała dobrą opinię. Detektywi uchodzili za rzetelnych, uczciwych i dyskretnych.

- To nie była trudna robota - oznajmił pan Summers, gdy razem z Elizabeth przeglądali sporządzony przez niego raport.

- Pan Riordan jest jak otwarta księga. Historia sukcesu w amerykańskim stylu. Jest bardzo solidnym biznesmenem - ciągnął - Żadnych lewych firm, żadnych szemranych interesów, łapówek pod stołem. Niczego takiego nie znalazłem, choć szukałem bardzo wnikliwie.

Elizabeth nie komentowała.

- Mówią o nim, że w interesach jest bardzo szybki, zdecydowanie zmierza do celu. Nie bawi się w podchody, tylko od razu wyklada kawę na łąwę. Umie działać, ale jednocześnie gra fair. Zgromadził olbrzymi majątek, tutaj jest to wszystko wyszczególnione. Ma akcje, nieruchomości, dzierżawy naftowe, kilka własnych firm i fabryk, duże udziały w koncernie farmaceutycznym, w linii żeglugowej i kilku innych. Jest bogaczem, który sam do wszystkiej doszedł. Ma doskonałą reputację, żadnych ciągnących się za nim historii kredytowych. Wszyscy, którzy go znają - bankowcy i biznesmeni - wyrażą się o nim z najwyższym uznaniem. I zapewniają, że to geniusz biznesu i finansów.

- Detektyw urwał na chwilę. - Riordan nie miał lekkiego dzieciństwa. Jego, ojciec pracował na platformach wiertniczych, matka zajmowała się domem. Ojciec często przenosił się z miejsca na miejsce, pracował w wielu krajach. Żonę i syna ciągnął ze sobą. Max, z wyjątkiem czterech lat wojska, przez wszystkie wakacje pracował jako robotnik na platformie. Z tego opłacał studia, udawało mu się zdobywać stypendia w uczelniach stanowych. Skończył dwa wydziały na Texas Tech. Ma dyplom inżyniera

nafciarza i finansisty. W Stanford zdobył tytuł magistra ekonomii. Jego ojciec zmarł jakieś pięć lat temu. Max utrzymuje bliski kontakt z matką, bardzo ją wspomaga. Umieścił ją w jednym z tych luksusowych osiedli dla bogatych emerytów. Nazywa się Iona Riordan. Nie wyszła powtórnie za męża.

Pan Summers zamknął swoją kopię raportu.

- Podsumowując, Max Riordan to bardzo przyzwoity gość. Osobiście miałbym do niego zaufanie. Chętnie bym skorzystał z jego rad na temat inwestowania. Mam nadzieję, że ten raport dostarczył pani wystarczających informacji.

- Tak. Bardzo panu dziękuję, panie Summers.

Gdy wyszedł, wróciła do gabinetu, wyjęła wizytówkę Maksa i szybko wybrała numer, jakby bała się, że za chwilę zmieni zdanie. Odebrał po pierwszym dzwonku.

- Słucham - burknął.

Podskoczyła na dźwięk tego tonu. Niewiele brakowało, by odłożyła słuchawkę. Spostrzegła, że cała drży. Zła na siebie, wyprostowała się dumnie.

- Max tu Elizabeth Stanton. Ja... przemyślałam sobie wszystko, o czym rozmawialiśmy i... i zdecydowałam się przyjąć twoją propozycję.

Na chwilę w słuchawce zapadła cisza. Głos Maksa stał się inny, bardziej miękki.

- Zaraz przyjeżdżam.

- Powiedziałeś, że zaraz przyjeżdżasz?

Troy Ellerbe, prawa ręka Maksa, popatrzył na szefa z jawnym zdumieniem.

- Nie możesz teraz wyjść. Przecież dziś spotykamy się z panem Scarborough i jego prawnikiem. - Odsunął mankiet koszuli i popatrzył na zegarek. - Będą za dwie godziny czterdzieści pięć minut

- Powiem Carly, by przełożyła spotkanie. Mam teraz coś ważniejszego - z roztargnieniem odparł Max. Wszedł do sąsiadującej z gabinetem prywatnej łazienki, popatrzył na swoje odbicie w lustrze. Troy deptał mu po piętach. Max zapiał guzik koszuli, poprawił krawat, przyczesał włosy.

- Masz coś ważniejszego? - nacierał Troy. - Co może być ważniejszego od tego spotkania? Od po roku pracujemy nad tym, by Scarborough zgodził się sprzedać nam swoją ziemię.

Max minął asystenta, wyjął z szafy płaszcz i założył go.

- Do diabła, Max, czy ty mnie słuchasz? Jeśli teraz przełożysz to spotkanie, stary Scarborough się wycofa. Sam wiesz, jaki to nieprzewidywalny facet. Na litość boską, co jest aż tak pilnego, że idziesz na takie ryzyko?

- Żenię się.

- To jeszcze nie powód... - Troy urwał w połowie zdania, zatrzymał się w miejscu. Oczy zrobiły mu się wielkie jak spodki. - Co? Co ty powiedziałeś?

- Powiedziałem, że się żenię. - Nie zwracając uwagi na



zdumionego asystenta, poklepał się po kieszeni. Gdzie, do diabła, wsadził ten pierścionek? Pomyślał chwilę, pstryknął palcami. No tak. Jest w sejfie.

Podszedł do ściany, odsunął olejny obraz, za którym był sejf, i wstukał kod. Troy stał tuż za nim.

- Żenisz się? Tak nagle? A można wiedzieć z kim? I jak to się stało? Nie miałem pojęcia, że się z kimś spotykasz.

Max wyjął z sejfu wykończone czarnym aksamitem pudełeczko, wsunął je do wewnętrznej kieszeni. Po chwili włożył do niej przygotowaną umowę. Zamknął sejf i zasłonił go obrazem.

- Zamierzam ożenić się z Elizabeth Stanton. Dzisiaj mam nadzieję. Jeśli wykroi na to czas.

- Z Elizabeth Stanton?! Na Boga! Czy ty zwariowałeś?

- Co jesteś taki zszokowany? Przecież sam kiedyś mi powiedziałeś, że jedyny sposób, by wedrzeć się inwestorów w kręgi inwestorów z tutejszej elity, to poślubić odpowiednią kobietę, kogoś z ich środowiska, z historycznego rodu. Elizabeth spełnia te wymagania w stu procentach.

- Na litość boską, człowieku! Nawet przez myśl mi nie przeszło, że potraktujesz to poważnie. Ja tylko żartowałem!

- Wiem. Jednak im dłużej o tym myślałem, tym bardziej nabierałem przekonania, że to doskonały pomysł. Ci ludzie trzymają się razem, nie dopuszczają

obcych. Zwłaszcza potomkowie pierwszych osadników są wrogo nastawieni do nowych. Elizabeth otworzy mi do nich drzwi... i do ich sakiewek, mam nadzieję.

- Ale żeby się żenić? Do cholery, Max. Jak długo potrwa to małżeństwo, jak sądzisz? Niech tylko uzmysłowi sobie, dlaczego się z nią ożeniłeś, a...

- Ona już to wie. Niczego nie ukrywałem. Troyowi zabrakło języka w gębie.

- I to jej pasuje? - wydukał po dłuższej chwili.

- A dlaczegóżby nie? - Max ruszył do wyjścia. - To układ korzystny dla obu stron. Zawierając byłemu mężowi, Elizabeth znalazła się w trudnej sytuacji materialnej. Wyjdzie za mnie dla pieniędzy, zaś mnie zależy na jej pozycji społecznej i kontaktach. Oboje wchodzimy w to, mając oczy szeroko otwarte. A teraz wybaczone, ale śpieszę się do niej. Musimy ustalić ostatnie szczegóły.

Zatrzymał się przy drzwiach, popatrzył na Troya gapiącego się na niego z otwartymi ustami.

- Bądź w pogotowiu. Chciałbym, byś został moim przyjacielem.

- Jasne. Nie ma sprawy. Co każeś - wymamrotał Troy.

Nie spodziewała się, że Max rzuci wszystko i przyjedzie. Odłożyła słuchawkę i rozejrzała się po gabinecie.

Rosła w niej panika. Max będzie tu lada chwila. Jego biuro w Greenway Plaza jest niedaleko River Oaks.

Poszła poszukać Gladys, by powiadomić ją o niespodziewanym gościu, a potem pobiegła do sypialni, by przynajmniej poprawić makijaż i choć trochę ochłonać.

Gdy kwadrans później zeszła na dół, Max już czekał w salonie. Stał przed kominkiem, zapatrzonego w wiszący nad nim portret. Zerknął przez ramię, słysząc kroki. Skinął głową na obraz.

- To ktoś z twojej rodziny?

- Tak. To moja praprababcia, Ida Stanton.

- Wspaniałe brylanty.

- Tak. - Z zalem popatrzyła na obraz. Ida była w pięknej jedwabnej sukni w kolorze czerwonego wina, wykończonej kremową koronką, jak to było modne w epoce wiktoriańskiej. W jej uszach lśniły kolczyki wysadzane brylantami, na szyi miała brylantowy naszyjnik. Ten komplet był znany i podziwiany od pokoleń. - Mój praprapradziadek Asa Stanton zamówił je dla swojej żony Camille na ich dwudziestą piątą rocznicę ślubu. Camille dała je synowi Jonathanowi, by w dniu ślubu wręczył je swojej narzeczonej Idzie O'Keefe. Od tamtej pory przechodziły z pokolenia na pokolenie.

- Czyli to wasze rodzinne dziedzictwo. Chciałbym cię kiedyś w nich zobaczyć.

- Hm, chyba się nie doczekasz. Zeszłej wiosny musiałam je sprzedać, by zapłacić ludziom pensje i kupić na farmę nowy kombajn.

Max ściągnął brwi, lecz na szczęście nic nie powiedział. Elizabeth odetchnęła. Mocno przeżyła rozstanie z tą rodzinną pamiątką, tym bardziej wolała unikać komentarzy.

- Usiądź - zaprosiła, gestem wskazując kanapę. Sama usiadła w swoim ulubionym fotelu i skrzyżowała ręce na kolanach. - Nie sądziłam, że rzucisz wszystko i zaraz tu przyjedziesz.

- Nie ma sprawy. Zależy mi, by zakończyć to jak najszybciej. Kilka następnych tygodni zapowiada się dla mnie bardzo pracowicie. Na wypadek, gdybyś przyjęła moją propozycję, mój prawnik przygotował umowę przedślubną. - Wyjął z kieszeni dokument i podał go Elizabeth. - Gdybyś skontaktowała się z twoim prawnikiem, by ją przejrzał i zaakceptował moglibyśmy od razu ją podpisać, polecieć do Las Vegas i wziąć ślub.

Zamurowało ją. Ze zdumieniem przeniosła wzrok na dokument, znowu popatrzyła na twarz Maksa. Zamrugła kilka razy. Nie mogła wydobyć z siebie głosu. Ten człowiek jest nieprawdopodobny, idzie do przodu jak walec. Niczym się nie przejmuje. Żadnej rozmowy, żadnej finezji, zero subtelności. Po prostu jest sprawa i trzeba ją jak najszybciej doprowadzić do końca.

- Ty chyba żartujesz - wydusiła zmienionym głosem. - Do Las Vegas? Nie ma mowy, bym zgodziła się składać przysięgę

małżeńską w jakiejś obskurnej kapliczce ślubnej w Las Vegas. Nigdy w życiu nie zgodzę się na coś tak... w takim złym guście.

- Mam nadzieję, że nie zamierzasz urządzać hucznego ślubu, który trzeba organizować na rok wcześniej? - skontrował. - Bo to odpada. Nie mam ani czasu, ani ochoty na takie akcje.

- Nie oczywiście że nie. W dodatku biorąc pod uwagę okoliczności, to byłoby zupełnie nie na miejscu. Jednak jeśli mamy się pobrać, zależy mi, by dochować tradycji. Ślub może być skromny, lecz ze smakiem. Możemy wziąć go tutaj albo w Mimosa Landing, zaprosić tylko rodzinę, a na świadków najbliższych przyjaciół. - Popatrzyła na Maksa. - Zapewniam cię, że gdy ludzie dowiedzą się o ślubie, i tak będzie huczało od plotek. Po co je wzmacniać, posuwając się do czegoś tak tandetnego jak ślub Las Vegas?

- Hm, chyba masz rację. Tylko nie chciałbym tego przeciągać. Ile potrzeba czasu, by zorganizować taką ceremonię?

- Najpierw musimy skontaktować się z prawnikami i dojść do porozumienia w sprawie intercyzy. Następnie zrobić badanie krwi i wystąpić o pozwolenie na ślub. Muszę skontaktować się z pastorem i poprosić, by poprowadził ceremonię. Zaprosić ludzi, na których obecności mi zależy, zamówić kwiaty i catering. Aha, musimy też kupić obrączki.

- Och, prawie zapomniałem. - Max sięgnął kieszeni, wyjął pudełeczko. - Kupiłem to w zeszły tygodniu. Jubiler u Tiffany'ego zapewnił mnie, rozmiar będzie na ciebie pasować. - Rzucił Elizabeth pudełeczko. Złapała je w locie.

- Co to...?

- Pierścionek zaręczynowy. Otwórz, obejrzyj go.

- Pierścionek zaręczynowy? - Wyniosłym gestem uniosła głowę. - Byłeś taki pewny, że się zgodzę.

- Uważam, że pozytywne podejście zawsze procentuje. Poza tym w ciągu trzydziestu dni mogę go zwrócić.

- Aha. - Popatrzyła na pudełeczko, uniosła wieczko i na mgnienie zabrakło jej powietrza. - O Boże. - Na błękitnym aksamicie spoczywał wspaniały pierścionek, a zdobiący go brylant rzucał świetliste refleksy. Kamień był spory, lecz pierścionek w klasycznym stylu Tiffany'ego nie był ostentacyjny, a nadzwyczaj elegancki. Wcześniej ani przez chwilę nie pomyślała o pierścionku; zresztą nawet gdyby tak było, w życiu by się nie spodziewała, że Max zrobi jej taką niespodziankę. Pierścionek zaręczynowy. A przecież to małżeństwo...

Choć gdyby sama miała wybierać pierścionek, nie znalazłaby lepszego. Doskonale trafił w jej gust. Piękny, naprawdę piękny. Nie mogła oderwać od niego oczu.

- To tylko dwa karaty - odezwał się Max, cisza zaczęła się przeciągać. - Oglądałem

z większymi kamieniami, lecz wydawały mi się zbyt krzykliwe. Jednak jeśli ci się nie podoba, mogę wymienić go na inny lub z większym brylantem.

- Nie, ten jest śliczny. Przepiękny. - Wsunęła pierścionek na palec i z niepewnym uśmiechem popatrzyła na Maksa. – Dziękuję.

Spodziewała się, że może cmoknie ją w policzek albo pozwoli sobie na jakieś czułe słówko, lecz on spokojnie odparł:

- Nie ma sprawy.

Boże, pomyślała. Właśnie się zaręczyli. Dał jej horrendalnie kosztowny pierścionek, za kilka dni się pobiorą i resztę życia spędzą razem. A on nie ma jej nic więcej do powiedzenia? „Nie ma sprawy”. To wyczerpuje temat? Czy ten człowiek nie ma żadnych uczuć?

- Mój prawnik zajmie się formalnościami dotyczącymi Mimosa Landing. - Wyjął notes elektroniczny, postukał w klawisze. - Dziś jest poniedziałek, do końca tygodnia powinno być wszystko gotowe. Czyli w sobotę moglibyśmy się pobrać. Jak ci to pasuje?

- W tę sobotę? - wydusiła zdławionym głosem.

- Tak. Po co zwlekać? Ja nie widzę powodu, a ty?

- Hm... nie. Raczej nie. Tylko że... nie spodziewałam się takiego tempa.

- W takim razie postanowione. W sobotę bierzemy ślub. Jeśli ci odpowiada, polecimy do Nowego Yorku na krótką podróż poślubną. Mam tam coś do załatwienia pod koniec tygodnia.

Popatrzył na nią.

- Może zapytaj swojego prawnika, czy nie dałby rady spotkać się z nami. Jeśli mu pasuje, niech jak najszybciej przyjedzie do mojego biura w Greenway Plaza. Mój prawnik jest gotowy, czeka na wezwanie. Jak tylko przyklepiemy i podpiszemy umowę, pojedziemy na badanie krwi i wszystko ruszy z miejsca.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Trzy godziny później Elizabeth siedziała w szykownym biurze Maksa i nie mogła opanować nieprzemijającego poczucia, że nagle wszystko zaczęło się toczyć z jakąś zdumiewającą siłą, na którą nie miała żadnego wpływu i której nie była w stanie się przeciwstawić.

Wygięła usta w cierpkim uśmiechu. Wiedziała, co sto za siła. Max Riordan.

Właściwie nie mogła mieć żadnych obiekcji. Niczego nie robił na siłę, nie próbował jej przekabacić. Był ciekaw jej zdania i brał je pod uwagę, liczył się z jej preferencjami. Jednak czuło się, że to człowiek, który umie podejmować decyzje i nie boi się odpowiedzialności. Nie wahał się, nie przeżywał rozterek. Działał sprawnie i stanowczo, a sprawy szybko posuwały się do przodu.

Gdy zadzwoniła do swego prawnika, John Fossbinder aż zaniemówił, słysząc o jej planach. Nie musiała mu niczego wyjaśniać - doskonale wiedział czym jest spowodowana jej decyzja. Próbował przemówić jej do rozsądku, przekonać, że popełnia życiowy błąd.

Max, który przysłuchiwał się rozmowie, szybko zorientował się, do czego zmierza Fossbinder. Nim Elizabeth zdążyła zaproponować, wziął od niej słuchawkę. Nie minęła nawet minuta, jak John obiecał zaraz zjawić się w biurze Maksa.

Rzeczywiście to zrobił, bo gdy Elizabeth z Maksem przybyli do Greenway Plaza, Fossbinder już czekał. Był oczywiście również prawnik Maksa Harry Ackerman.

Pan Ackerman, człowiek koło pięćdziesiątki, sprawiał wrażenie kogoś tak bezgranicznie oddanego pracy, że nic innego się dla niego nie liczyło. Okulary w drucianej oprawce nadawały mu sowi wygląd. Poplamiony krawat zwisał krzywo, rożki kołnierzyka sterczały do góry. Okulary już dawno należałoby wyczyścić, chyba nic przez nie widzi, pomyślała Elizabeth, przyglądając mu się uważnie. Pan Ackerman co i raz przeciągał palcami po rzadziejących włosach, a po każdym takim ruchu niesforne kosmyki niedbale opadały mu na czoło.

Pewnie żona zajmuje się jego garderobą, stwierdziła Elizabeth. Rano na odchodne poprawia krawat i wypuszcza do pracy. Od tego momentu pan Ackerman już nie zaprzęta sobie głowy swoim wyglądem

W przeciwieństwie do Harry'ego, jej prawnik wyglądał, jakby zszedł prosto ze stron ekskluzywnego pisma z modą męską.

Wysoki, szczupły, o starannie zaczesanych siwych włosach, w kosztownym, klasycznie skrojonym garniturze i wykrochmalonej białej koszuli uzupełnionej gustownym jedwabnym krawatem, John Fossbinder był przykładem wyrafinowanego dżentelmena.

Dokonano formalnej prezentacji, po której zebrani zajęli swoje miejsca. Na twarzy Johna malował się niepokój. Pochylił się ku Elizabeth.

- Na pewno chcesz to zrobić? Przecież prawie nic nie wiesz o człowieku, za którego masz wyjść.

- Zaskoczę cię, John. Nie idę na żywioł. Wiem całkiem sporo. Zebrałam dokładne informacje na temat pana Riordana. Zapewniam cię, że w jego przeszłości nie ma nic budzącego obiekcje.

- Zatrudniłaś detektywa, żeby mnie sprawdził?

Uśmiechnęła się. Na widok zdumienia na twarzy Maksa, ogarnęło ją miłe poczucie triumfu.

- Tak, zgadłeś. Mamy takie same prawa.

Niebieskie oczy Maksa wpatrywały się w nią przez długą chwilę. Wygiął w uśmiechu kąciki ust.

- Punkt dla ciebie.

Szybko wyszło na jaw, czemu Ackerman zawdzięcza swe prestiżowe stanowisko. Niechlujny wygląd był tylko pozorem, bo prawnikiem

pan Ackerman był doskonałym. Z Johnem Fossbinderem uważanym za jednego z najgenialniejszych prawników w Houston, mierzył się jak równy z równym

Słuchając ich dyskusji, Elizabeth domyśliła się, że umowa przedślubna przygotowana przez prawnika Maksa uwzględniała jej interesy, i to z nawiązką. John zapewne też był pod wrażeniem, choć niczego po sobie nie pokazał. Była gotowa od razu podpisać, lecz Fossbinder poczuwał się, by zaznaczyć swój udział i wynegocjować coś dla swojej klientki. Przez półtorej godziny obaj prawnicy skrupulatnie prześledzili zdanie po zdaniu.

W końcu porozumienie zostało osiągnięte.

- No to dobrnęliśmy do końca - oznajmił Ackerman. - Podsumuję teraz najważniejsze ustalenia. Artykuł pierwszy. Jeszcze przed zawarciem ślubu Max utworzy fundusz na finansowanie Mimosa Landing w wysokości przyjętej przez obie strony. Zarządzać funduszem będzie Elizabeth. Fundusz i generowane dzięki niemu zyski będą należeć wyłącznie do Elizabeth i jej spadkobierców. Artykuł drugi. Obie strony postanawiają, że ich małżeństwo potrwa przynajmniej pięć lat. Jeśli po tym okresie któraś ze stron zdecyduje się odejść, z jakiegokolwiek powodu małżeństwo zostanie rozwiązane. Spokojnie i w przyjaźni, jak wszyscy mamy nadzieję.

Urwał na chwilę.

- Jeżeli dojdzie do rozstania, fundusz pozostanie w rękach Elizabeth. Max dodatkowo wypłaci pieniężny ekwiwalent w wysokości

dwudziestu procent swego ówczesnego majątku. Oświadcza również, że nie będzie wysuwać żadnych roszczeń do majątku Stantonów.

- Artykuł trzeci. Jedynym i wyłącznym powodem rozwiązania małżeństwa przed upływem pięciu lat może być niewierność którejś ze stron. Jeśli stanie się to z winy Maksa, warunki tej umowy pozostają niezmiennione.

- To się na pewno nie stanie - wtrącił Max. Przez stół patrzył na Elizabeth. - Dotrzymuję słowa i wszystkich zobowiązań.

- Idźmy dalej... Jeśli wina będzie po stronie Elizabeth, warunki pozostaną te same z jednym wyjątkiem: nie otrzyma od Maksa ekwiwalentu pieniężnego.

Harry zebrał papiery, lekko uderzył nimi o stół.

- Myślę, że to wyczerpuje temat.

- Niezupełnie - rzekł John. - Co w wypadku, jeśli z tego małżeństwa przyjdą na świat dzieci? Komu przypadnie nad nimi opieka?

- Hm - mruknął Harry. - Wydaje mi się, że to najlepszy moment, by to teraz ustalić. Pani Stanton, jakie jest pani zdanie w tej kwestii?

Zaniemówiła. Nie pomyślała o takiej ewentualności. Ani o tym, że może Maksowi zależy na dzieciach.

- Szczerze mówiąc, wątpię, by taki problem kiedykolwiek zaistniał. Mimo że byłam mężatką i bardzo chciałam mieć dzieci, to się

nigdy nie stało - powiedziała, zmuszając się do zachowania spokoju. Temat był dla niej bolesny i nadzwyczaj osobisty, jednak Max powinien mieć pełną świadomość. By kiedyś nie zarzucił jej, że coś przed nim ukryła.

Zebrała się w sobie.

- Kilka lat temu przeszłam kompleksowe badania. Lekarze nie stwierdzili żadnej przyczyny, dla której nie mogę zajść w ciążę. Jednak mimo starań to się nie udało. Ostatecznie powiedziano mi, żebym przestała sobie robić nadzieję.

Popatrzyła na Maksa.

- Jeśli to zmienia postać rzeczy i chcesz się wycofać, w pełni cię rozumiem.

Max przetrwał w duchu to, co usłyszał.

- Prawdę mówiąc, nigdy o tym nie pomyślałem - powiedział po chwili namysłu. - Też chcę być z tobą uczciwy. Dzieci nigdy nie były dla mnie czymś najważniejszym. Tylko nie zrozum mnie źle: nie jestem im przeciwny. Planowałem, że kiedy przyjdzie pora, ożenię się i założę rodzinę, jednak to nigdy nie było moim głównym celem. Jeśli jednak z naszego związku pojawią się dzieci, a nasze drogi się rozejdą, to wydaje mi się logiczne, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że od rana do nocy jestem zajęty pracą, by dzieci zostały z tobą. Rzecz jasna zakładam, że nie będziesz robić przeszkód, bym często się z nimi widywał.

Znowu zaskoczył ją swą wielkodusznością i gestem. I choć prawdopodobieństwo, że kiedykolwiek dojdzie do takiej sytuacji, było

w zasadzie równe zero, odczuła ulgę, wiedząc, że jeśli zdarzy się cud i zostanie mamą, to nie czeka jej bezlitosna walka o prawa do dziecka.

- Czy to pani odpowiada, pani Stanton? - zapytał Harry - Jeśli tak, umieścimy to ustalenie w umowie przedślubnej.

- Tak, jak najbardziej mi odpowiada.

- W takim razie na tym możemy zakończyć. Na jutro przygotuję gotową umowę, by mogli ją państwo podpisać.

Wyszli z gabinetu i gdy Max zatrzymał się, by zamienić słowo z sekretarką, John lekko szturchnął Elizabeth.

- Elizabeth, według mnie popełniasz ogromny błąd powiedział zniżając głos do szeptu. - Nie śpiesz się, daj sobie trochę czasu. Znajdziemy jakieś rozwiązanie.

- John, ja już nie mam czasu. Przez ostatni rok oboje próbowaliśmy coś wymyślić, ale do niczego nie doszliśmy. Ten koszmar wciąż trwa, wierzyciele zaczną naciskać. Nie mogę dłużej zwlekać. Wiem, że się o mnie martwisz. Ale będzie dobrze, zobaczysz. O jedno cię tylko proszę: zachowaj to wszystko dla siebie.

John wyprostował się godnie, wyraźnie urażony.

- Oczywiście. Jestem twoim prawnikiem i dyskrecja jest rzeczą świętą - zaczął surowo, lecz szybko złagodniał i zerknął na nią z niepokojem. - Czy... czy takie rozwiązanie ci odpowiada?

- Tak.

Nie była to do końca prawda. Czuła się zdenerwowana i spięta, lecz nie chciała się przed nim do tego przyznać.

- Możemy iść? - zapytał Max, ujmując ją pod ramię.

Nim zdążyła odpowiedzieć, otworzyły się boczne drzwi i stanął w nich ktoś, kogo już chyba kiedyś spotkała. To chyba asystent Maksa, Trent, a może Troy? Był z Maksem na kilku imprezach charytatywnych.

- Max, jak dobrze, że cię złapałem! - Mężczyzna skinął Elizabeth głową. - Przepraszam, ale to bardzo pilna sprawa. - Popatrzył na Maksa. - Dzwoniłem do ciebie na komórkę, ale nie odbierałeś. Musimy porozmawiać.

- Nie teraz, Troy. Odwożę Elizabeth do domu.

- Do diabła, daj mi powiedzieć. Stary Scarborough już do nas jedzie. Zaparł się, że nie przełoży spotkania. Zagroził, że jeśli cię nie zastanie, to możemy zapomnieć o transakcji.

- Cholera - mruknął Max. - Myślisz, że może tak zrobić?

- Oczywiście.

Elizabeth położyła dłoń na ramieniu Maksa.

- Nie przejmuj się mną. John na pewno mnie odwiezie.

- Z największą przyjemnością - zapewnił Fossbinder.



Max badawczo popatrzył na Elizabeth.

- Na pewno?

- Tak. Wracaj do pracy. Poradzę sobie.

- Dobrze. Zadzwoń jutro i pojedziemy na badania krwi.

Elizabeth kiwnęła głową, wzięła Johna pod rękę. Max chmurnie odprowadzał ich wzrokiem, gdy odchodzili. Chyba nie powinien zostawiać jej sam na sam z prawnikiem. Fossbinder nie ukrywał, że pomysł małżeństwa mu się nie podoba, może będzie próbował przemówić jej do rozsądku, namawiać, by jeszcze się wycofała. Jednak nie może teraz jej odwieźć, musi zaryzykować. Interes, nad którym pracowali z Troyem od miesiący, jest wart miliony dolarów. Nie może pozwolić, by przeszedł mu koło nosa.

- Widzę, że jednak brniesz w to szaleństwo - skrzywił się Troy, gdy zostali sami.

- Jeśli masz na myśli ślub z Elizabeth, to owszem. Właśnie zakończyliśmy negocjowanie umowy przedślubnej.

- Dobrze, że przynajmniej o tym pomyślałeś. – Troy z przejęciem przesunął palcami po ciemnej czuprynie - Do diabła, Max, powiedziałem, że powinieneś wziąć sobie żonę z towarzystwa, ale to były żarty. Z ręką na sercu. Nie przeszło mi przez myśl, że weźmiesz to serio.

- Nie przejmuj się tak. Już o tym rozmawialiśmy. Wiem, co robię.

- Uśmiechnął się do asystenta, by dodać mu otuchy. -

- Może poczujesz się lepiej, jeśli powiem ci, że Elizabeth mi się podoba. Między innymi dlatego ją wybrałem. Nie tylko spełnia moje oczekiwania, ale jest łagodna z natury, no i jest piękną kobietą. To ideał.

No... prawie, uzupełnił w duchu.

Podszedł do szklanej tafli w sali konferencyjnej i popatrzył na miasto rozciągające się siedemnaście pięter niżej. Promienie zachodzącego słońca zalewały nieboskłon różem, złotem i pomarańczową czerwienią, chmury wibrowały kolorami. Powietrze nasycalo się stłumionym fioletem zwiastującym nadejście zmierzchu. Zaczynały się godziny szczytu i tłumy kończące pracę już ruszały w podróż na przedmieścia. Ulice zapelniały się samochodami, długie sznury pojazdów śpieszyły na autostrady. Zapalały się uliczne latarnie. W zapadającym zmroku światła najeżdżających samochodów jaśniały jak nanizane na sznurek diamenty, na przeciwnym pasie rubinowym blaskiem płonęły światła odjeżdżających.

Nieoczekiwanie ten obraz skojarzył mu się brylantem, który dał Elizabeth... i jej niepokojącym wyznaniem.

Rozczarowanie, jakie niespodziewanie go ogarnęło, gdy usłyszał jej słowa, zaskoczyło go.

Był z nią szczery. Niczego nie ukrywał. Do tej pory miał tylko mgliste wyobrażenie tego, jakie będzie jego przyszłe życie. Zakładał, że się ożeni, lecz była to jedna z tych rzeczy, do których nie przykładał szczególnego

znaczenia, abstrakcyjna i iluzoryczna. Dopiero po poznaniu Elizabeth zaczął myśleć o tym poważnie. Tylko że aż do dzisiaj nie myślał o dzieciach.

Dlaczego więc teraz perspektywa, że prawdopodobnie nie będzie mieć potomka, tak go poraziła? Skąd to poczucie pustki? Dziwne.

Tydzień minął jej w mgnieniu oka. Miała wrażenie, że ogląda niemy film puszczony w przyśpieszonym tempie. Nawet się nie obejrzała, jak przyszła sobota.

Otulona w szlafrok, siedziała przed toaletką w sypialni na farmie i w zamyśleniu obserwowała swoje odbicie w lustrze. Za chwilę zostanie panią Riordan.

Poczuła łaskotanie w żołądku. Zacisnęła powieki i zaczęła głęboko oddychać.

- Skarbie, jeszcze nie jest za późno, Jeszcze się możesz wycofać.

Elizabeth szybko otworzyła oczy. W lustrze ujrzała opartą o zamknięte drzwi Mimi.

- Nawet nie musisz go oglądać - ciągnęła Mimi. Powiedz słowo, a zejdem na dół i przegonię wszystkich na cztery wiatry.

- Nie rób tego.

Mimi przechyliła głowę, w milczeniu przypatrywała się bladej twarzy przyjaciółki.

- Koniecznie chcesz przez to przejść?

- Tak - potwierdziła Elizabeth.

- W takim razie co robisz w tym szlafroku. Wszyscy już czekają, ceremonia ma się rozpocząć za dziesięć minut.

- Boże! To już jest tak późno?

- Niestety. Jeśli więc upierasz się przy tym wariactwie, to ubieraj się szybko - zarządziła Mimi. – No już, wstawaj. Pomogę ci.

Czuła się dziwnie nierzeczywiście. Jak odurzona wykonywała polecenia Mimi, strojącej ją w jedwabny kostium w odcieniu szampana.

Przez te dwa dni, które spędziła na farmie, nie miała ani chwili oddechu. W domu wrzało jak w ulu. Dziś od rana trwały przygotowania reprezentacyjnych pomieszczeń na dole: ustawiano kwietne kompozycje, szykowano przyjęcie. Biedna Marta, tutejsza gospodyni, została wyeksmitowana ze swojej kuchni; na szczęście Gladys i Dooley zjechali wcześniej i teraz dotrzymywali jej towarzystwa i pokrzepiali na duchu.

- Nie wiesz, czy Quinton i Camille przyjechali? A może dzwonili? - zapytała Elizabeth, zakładając pantofle.

- Nic mi na ten temat nie wiadomo. – Mimi poprawiła jej kołnierz. - Spodziewasz się ich?

- Raczej nie. Dzwoniłam do nich kilka razy, ale zawsze włączała się sekretarka. Podejrzewam, że nie ma ich w Stanach.

Tak jak ustaliła z Maksymem, ceremonia miała być skromna, w małym gronie. Ze swej strony Elizabeth zaprosiła pracowników

rezydencji i farmy, cioteczną babcię Talitę Stanton, Mimi, Johna Fossbindera Marie i bankiera Waltera Monroe z żoną Anną.

Poza Talitą z rodziny miała tylko cioteczne rodzeństwo: Camille Moseby Holt Edwards Kincaid Lawrence i jej brata Quintona Moseby. Dziwne, że żadne z nich nie dało znaku życia. Zwłaszcza Camille, która nie przepuszczała żadnej okazji, by pobyć trochę w Mimosa Landing.

Zaprosiła ich z poczucia obowiązku, ale nie czuła szczególnego żalu z powodu braku Camille. Z Quintonem zawsze świetnie się dogadywali, lecz z jego siostrą nie było już tak różowo. W jej obecności Elizabeth zawsze czuła się spięta i podminowana, jak kotka głaskana pod włos.

Starła się utrzymać z Camille poprawne stosunki, ze względu na Talitę, ale nie było to łatwe.

Szkoda, że Quintona nie będzie na moim ślubie, skonstatowała ze smutkiem, zakładając kolczyki z perłami. Choć przynajmniej nie będzie skazana na wysłuchiwanie Camille i jej niekończących się utyskiwań i impertynencji. Już i tak jest wystarczająco zdenerwowana.

Max również zaprosił niewiele osób. Poza mamą, Ioną Riordan przyjechał jego asystent Troy Ellerbee, Harry Ackerman z żoną, sekretarka Maksa Carly Womack i kilku jego pracowników.

Elizabeth poznała przyszłą teściową ledwie kilka minut temu.

Talita przyciągnęła ją na górę, by dokonać oficjalnej prezentacji.

Iona Riordan promieniała z radości, że jej synek wieczny kawaler wreszcie się żeni. Była wzrostu Elizabeth, choć znacznie bardziej zaokrąglona. W kostiumiku z niebieskiego jedwabiu i dobranym do niego toczku kojarzyła się jej z wesołym drozdem. Zamieniły ze sobą kilka zdawkowych słów, jednak Elizabeth coś uderzyło. Z tych kilku zdań wynikało, że Iona rzadko widuje się z synem. Może więc kontakt nie jest aż tak bliski, jak twierdził detektyw Summers. Stantonowie zawsze trzymali się razem, mieszkali razem.

- No, jesteś gotowa - oznajmiła Mimi, cofając i obrzucając przyjaciółkę taksującym spojrzeniem. Głośno wypuściła powietrze. - Wyglądasz po prostu prześlicznie!

- Mimi, schodźcie już, bo zaraz zaczniemy was wołać - rzuciła od progu Talita.

- Tak, naprawdę już czas - przyznała Mimi - Masz wszystko? Coś starego, coś nowego, pożyczonego i coś niebieskiego?

Elizabeth omal nie wybuchnęła histerycznym śmiechem.

- Daj spokój. To nie jest taka okazja.

- Bzdura. Oczywiście, że jest – obruszyła się Talita. - Wprawdzie wychodzisz za mąż po raz drugi, ale to nie znaczy, że masz odrzucić zwyczaj.

Weszła do sypialni, zamknęła za sobą drzwi.

- Przyszłam zobaczyć, czemu tak długo nie schodzisz - zagadnęła. -

I powiedzieć ci, że przed chwilą dzwonił Quinton. Był w Grecji odwiedzić siostrę i jej męża, wrócił dopiero dziś rano. Bardzo żałuje, że nie będzie na ślubie.

Ciocia Talita majestatycznie kroczyła przez pokój. Choć wsparta o laskę, szła wyprostowana jak struna, z wysoko uniesioną głową. Wysoka, o szczupłej posturze, miała w sobie staroświecką dystynkcję, którą w dzisiejszych czasach rzadko się oglądało.

Choć liczyła sobie osiemdziesiąt lat, niegdyś brązowe, a dziś srebrne włosy nadal czesała w sposób typowy dla pań z rodziny Stantonów. Splecione w gruby warkocz upinała w koronę na czubku głowy, co jeszcze bardziej nadawało jej królewski wygląd.

Talita na była najbliższym członkiem rodziny i Elizabeth była z nią głęboko związana. Nie chcąc jej niepotrzebnie martwić, oszczędziła dokładnego opisu strat poczynionych przez byłego męża. Nie zdradziła też szczegółów dotyczących swego powtórnego małżeństwa. Talita była przekonana, że Elizabeth wychodzi za Maksa z miłości.

- No, na co tu jeszcze czekacie? - Starsza pani stuknęła laską w podłogę. - Do dzieła!

- Spokojnie, Talito - śpiewnym głosem odezwała się Mimi. - Wszystko jest jak trzeba. Kostium jest nowy. A jeśli się nie mylę, to chyba są perły twojej mamy?

Tak myślałam – rzekła, gdy Elizabeth potwierdziła skinieniem głowy.

- Czyli masz coś starego. A ja przyniosłam coś, co spełni dwa ostatnie

warunki.

- Co to jest? - Elizabeth nieufnie popatrzyła na drobiazg dyndający na palcu Mimi.

- To niebieska podwiązka, którą miałam na sobie gdy brałam ślub z Ojczulkiem. Nasze małżeństwo było bardzo szczęśliwe i mam nadzieję, że ta podwiązka teraz tobie przyniesie szczęście.

- Och, Mimi, ale...

- Doskonale. Wspaniale to obmyślałaś, Mimi. No więc? - Starsza pani znów zastukała w podłogę. - Czemu tyle marudzisz? Rusz się, moja panno. Załóż tę podwiązkę i idziemy. Ten twój przystojniak już nie może się na ciebie doczekać.

- Ho, ho, ciociu Talito - zaśmiała się Mimi. - Max chyba ci wpadł w oko.

- Hm? Myślisz, że skoro mam osiemdziesiątkę na karku i jestem niezamężna, to nie potrafię dostrzec prawdziwego mężczyzny? Zawsze miałam słabość do takich niebezpiecznych facetów. Gdybym była pięćdziesiąt lat młodsza, może bym ci go odbiła. - Zapatrzyła się w dal, jakby wracała myślami do dawno minionych czasów. Westchnęła cicho. - W jakimś stopniu Max przypomina mi mojego Martina.

Elizabeth i Mimi wymieniły spojrzenia, ale żadna z nich nie skomentowała. Obie znały tragiczną historię ukochanego Tality. Kiedy skończyła osiemnaście lat, zaręczyła się z Martinem. Zaproszenia już były wysłane, gdy dziesięć dni przed ślubem Martin zginął



na froncie w Korei podczas ostatniej akcji przed do kraju. Jego pluton wpadł w zasadzkę, wielu wtedy zginęło.

Ciocia Talita nigdy nie otrząsnęła się z żalu po ukochanym. Nie wyszła za mąż.

- Gotowe. Weź kwiaty. - Mimi podała przyjaciółce bukietik kremoworóżowych różyczek ozdobionych delikatną gipsówką.

- Moja kochana dziewczuszka - wyszeptała Talita. Jej arystokratyczne rysy złagodniały, w wyblakłych niebieskich oczach błysnęły łzy. - Wyglądasz pięknie. Naprawdę pięknie. - Przytknęła wysuszony policzek do twarzy Elizabeth. Otoczyła ją znajoma woń bzu przemieszana z zapachem konwalii; Talita zawsze wykladała bieliźniarkę papierem pachnącym konwalia. - Bądź szczęśliwa, kochanie - wyszeptała. Zaslugujesz na wszystko co najlepsze.

Starsza pani otarła oczy koronkową chusteczką.

- Odczekajcie minutę, aż zjadę windę. Jak tylko usiądę na swoim miejscu, dam znak pianiście, by zaczął grać marsza weselnego. Wtedy zaczynajcie schodzić.

W salonie odsunięto meble, by zrobić miejsce na składane krzesła, na których rzędami zasiedli goście. Przed kominkiem już czekał pastor, Max i Troy.

Kiedy Elizabeth i Mimi weszły, na twarzy Maksa nie odmalowało się żadne uczucie, nawet nie mrugnął okiem. Elizabeth nie miała pojęcia, co on sobie teraz myśli.

Sama ceremonia minęła jej błyskawicznie. Była tak oszołomiona, że niemal niczego nie rejestrowała. I nagle na jej palcu już lśniła obrączka, a pastor ogłaszał ich mężem i żoną.

- Może pan pocałować pannę młodą.

Dopiero słysząc te słowa, odzyskała świadomość.

Przeniosła przestraszony wzrok na pastora, potem na Maksa. Szeroko otworzyła oczy i przez mgnienie nie mogła powstrzymać narastającej w niej paniki, gdy Max wziął ją w ramiona i pochylił ku niej głowę.

Spodziewała się symbolicznego całusa, jednak stało się inaczej. Pocałował ją naprawdę, mocno i gorąco. Pocałunek trwał tak długo, że niektórzy goście zaczęli chichotać, a potem klaskać. Kiedy wypuścił ją z objęć, wirowało jej w głowie i musiała się go przytrzymać, by się nie zachwiać.

Jeśli na Maksa ten pocałunek podziałał, to zdołał to doskonale ukryć. Z uśmiechem odbierał gratulacje i życzenia.

Przez następną godzinę, gdy zebrani raczyli się przygotowanymi smakołykami, Elizabeth krążyła wśród gości, dziękując za przybycie i wymieniając uprzejmości. I choć stół uginał się od jedzenia niczego nie tknęła. Była tak przejęta i oszołomiona, że niewiele do niej docierało.

Max odszukał ją w tłumie. Zbyt szybko, przemknęło jej przez myśl.

- Powinniśmy się zbierać. Wolałbym dolecieć do Nowego Jorku w miarę wcześnie.

Poczuła ucisk w żołądku, ale zmusiła się do uśmiechu.

- Dobrze. Pójdę tylko się przebrać w coś bardziej odpowiedniego na podróż. Dooley już zapakował moje bagaże do twojego samochodu. Zaraz będę.

Odprowadził ją do schodów, a kiedy wspinała się na górę, obserwował ją uważnie.

Ma fantastyczne nogi, podsumował mile zaskoczony. Do tej pory widywał ją w wieczorowych sukniach, spodniach lub w długich spódnicach, do których zakładała wysokie kozaki na obcasie. Po raz pierwszy widział jej nogi. Idealne.

Czy ty masz pojęcie, jakim jesteś szczęściarzem?

Max odwrócił się, słysząc pytanie zadane śpiewnym, zmysłowym głosem. Mimi Whittington stała w przejściu do salonu, opierając rękę na biodrze. W drugiej trzymała kieliszek szampana. Zbliżyła się do niego wolno. Zatrzymała się przy schodach, upiła łyk musującego napoju i unosząc brew, popatrzyła na Maksa.

- No więc?

Max przeniósł wzrok na schody, lecz Elizabeth już zniknęła mu z pola widzenia.

- Wiem. Jestem szczęściarzem. Elizabeth to piękna kobieta.

- Nie o to pytałam. Ona jest piękna, ale to nie wszystko. To cudowna kobieta o pięknym wnętrzu. Do tego mądra, dobra i ma wielkie serce.

Był ciekaw, do czego ona zmierza. Nie musiał długo czekać, by się dowiedzieć.

Mimi przesunęła po nim taksującym wzrokiem.

- Nie znamy się dobrze, ale uważam cię za porządnego faceta.

- Dzięki - odparł z uśmiechem.

- Uważaj więc, bym nie musiała zmienić zdania? - Dotknęła swej piersi długim, pomalowanym na czerwono paznokciem. - Ostrzegam cię, koleżko, że jeśli będzie przez ciebie nieszczęśliwa... to mnie popamiętasz. Przysięgam.

Nim zdążył odpowiedzieć, odwróciła się i wtopiła w tłum gości.

Gdyby to ostrzeżenie padło z ust kogoś innego uznałby je za żart. W najlepszym razie za grubą przesadę. Jednak wystarczyło mu jedno spojrzenie na poważną twarz Mimi, by wiedzieć, że mówiła jak najbardziej poważnie.

Pokręcił głową. Jakim cudem te dwie tak krańcowo odmienne kobiety połączyła przyjaźń? Trudno wyobrazić sobie większe przeciwieństwa. Elizabeth jest subtelna i elegancka, Mimi krzykliwa, niemal jarmarczna. Ba, bywa nawet sprośna. W życiu by ni pomyślał, że tak różne osoby mogą się do siebie zbliżyć, a jednak.

- Jestem gotowa - z góry dobiegł go niepewny głos Elizabeth.

- To dobrze. - Popatrzył na schodzącą Elizabeth. Przebrała się w ołówkową spódnicę z brązowego zamszu, brązowe kozaczki na obcasach, brązowy golf ozdobiony broszką w kształcie motyla i tweedowy żakiet w jesiennych barwach.

Jak zwykle wyglądała perfekcyjnie.

Gdy już była blisko, ujął ją za rękę.

- Pięknie wyglądasz.

W jej oczach błysnęło zaskoczenie.

- Dziękuję - powiedziała cicho, jednak w jej oczach Max dostrzegł niepokój.

O co chodzi? Zmarszczył brwi. Nie wierzy mu?

Ujął ją za łokieć, zajrzał w oczy.

- Może wymknijmy się cichaczem, to unikniemy zamieszania.

Wlepiła w niego wzrok. Miała taką minę, jakby wypowiedział największe bluźnierstwo przeciwko Bogu i ludziom.

- Słucham? To absolutnie wykluczone. Za nic nie potraktuję gości w tak nieuprzejmy sposób. Nie mówiąc już o tym, że ciocia Talita i Mimi byłyby zdruzgotane.

- Chyba spodziewałem się, że tak powiesz - rzekł z rezygnacją. Pociągnął ją w stronę salonu. - No dobrze, zróbmy to i miejmy to z głowy.

Pożegnania trwały dobrych parę chwil. Na koniec Elizabeth objęła Talitę i Mimi. Najchętniej pobiegłaby teraz na górę i zamknęła się w swojej sypialni.

Max otoczył ramieniem jej talię.

- Elizabeth, czas na nas.

Goście zebrali się przy frontowych drzwiach i obsypali

ryżem młodą parę. Wreszcie nowożeńców wsiedli do czarnego bmw Maksa.

W tym całym zamieszaniu nawet nie spostrzegła, że poza nimi w samochodzie jeszcze ktoś jest. Max przejechał prawie dwa kilometry, kiedy z tylnego siedzenia rozległ się głos Troya Ellerbee.

- Bogu dzięki, że już po wszystkim.

Elizabeth aż podskoczyła w fotelu. Odwróciła się gwałtownie i popatrzyła na siedzącego tuż za nią mężczyznę.

- Co... co pan tu robi?

- Och, zapomniałem cię uprzedzić - odparł za niego Max. - Troy jedzie z nami.

Przeniosła wzrok z zimnych oczu Troya i popatrzyła na swego nowego małżonka.

- Jedzie z nami? Do Houston, tak?

- Nie, leci z nami do Nowego Jorku. Mówiłem ci, że mam tam ważne spotkanie. Troy będzie mi potrzebny.

Popatrzyła w tył. Na twarzy Troya malował się irytujący uśmiezek. Wyraźnie triumfował. Elizabeth odwróciła się, wbiła wzrok w przednią szybę.

- Aha, jasne - powiedziała. Choć dla niej to wcale nie było jasne. W podróż poślubną zabierać asystenta? Kto tak robi?

Szybko odpowiedziała sobie na to pytanie. Ktoś, komu świeżo poślubiona żona jest obojętna. Komu - jak dosadnie powiedziałyby Mimi - to wisi. W drodze na lotnisko i podczas lotu do Nowego Jorku

Max zamienił z nią ledwie parę słów.

Lecieli jego prywatnym odrzutowcem. Gdy wsiedli na pokład, Max przedstawił jej pilota, a potem oprowadził po samolocie. Była pod wrażeniem: sypialnia, łazienka, salon, nie brakowało nawet baru. Jednak przez cały czas czuła, że Max stara się maksymalnie skrócić to oprowadzanie, bo wyrywa się do pracy.

- No dobrze - rzekł. - Pokazałem już wszystko, z wyjątkiem luków bagażowych. Rozgość się. Za kilka minut startujemy.

Razem z Troyem zasiedli przy stoliku i zaczęli rozmowę o interesach. O obecności Elizabeth zapomnieli

Czuła się jak piąte koło u wozu. Poszła do saloniku, usiadła w wygodnym fotelu i zapięła pas. Max i Troy nie zwracali na nią uwagi. Pewnie nawet nie wazyli, że samolot ruszył i po chwili wzniósł się w powietrze.

Narastała w niej irytacja. Przerzuciła kilka magazynów, ale nic jej nie zainteresowało. Wszystkie poświęcone wyłącznie ekonomii i finansom.

Nie mogła się uspokoić. Czuła się dotknięta. Co z tego, że to małżeństwo z rozsądku? Chyba mimo to Max powinien inaczej się zachować. Nie czekała na to, co przyniesie noc, jednak Max powinien okazać jej nieco zainteresowania, skoro dziś mają być razem.

Lecieli na wschód, więc gdy przybyli na miejsce, była już prawie północ. W hotelu Ritz-Carlton od razu ich rozpoznano. Ją już od progu powitano pierwszą. Jako panią Stanton.

Max nie prostował tego, dopiero gdy podeszli do głównej recepcji, wyjaśnił, że są świeżo po ślubie i jego żona nazywa się teraz Riordan. Doskonale wyuczeni pracownicy z miejsca obsypali ich wylewnymi gratulacjami i życzeniami.

- Apartament już czeka - oznajmił recepcjonista - Aha, jest dla pana kilka wiadomości.

Podał mu kartki. Elizabeth przeraziła się nagle. Chyba niemożliwe, by Troy miał dzielić z nimi apartament? I bez niego nie będzie jej łatwo.

Max przerzucił kartki. Naraz, jakby coś go tknęło, podniósł wzrok i spytał:

- Czy znajdzie się mniejszy apartament na tym samym piętrze dla pana Ellerbee?

Elizabeth przymknęła powieki. Odczuła taką ulgę, że omal nie zemdląła.

- Oczywiście. - Dla recepcjonisty też było dziwne, że w podróży poślubnej Maksowi towarzyszy asystent lecz był zbyt dobrze wychowany, by to okazać.

Wysiedli na swoim piętrze. Troy szturchnął Maksa w bok.

- Byłoby dobrze, gdybyś od razu zadzwonił do pana Aramoto. Zostawił mi trzy wiadomości, bym ci o tym przypomniał.

- Zadzwonię. Mnie też przysłał cztery.

Kiedy w trójkę szli korytarzem, Elizabeth nie odzywała się. Zatrzymali się przy ich drzwiach.



- Do zobaczenia rano, szefie - rzekł Troy. Po raz pierwszy od wyjazdu z farmy spojrzął na Elizabeth. - Dobranoc, pani Riordan - powiedział z kamienną twarzą.

- Proszę mówić mi po imieniu - zaproponowała.

- No właśnie - wtrącił Max. Nadal przeglądał swoje kartki i chłodny stosunek Troya uszedł jego uwadze - To ułatwi kontakty, a będziecie się często spotykać.

- Dobrze. Dobranoc - wymamrotał Troy i odszedł korytarzem.

Odprowadzała go wzrokiem, zastanawiając się w duchu czemu jest tak nieprzyjaźnie do niej nastawiony.

Max otworzył drzwi do ich apartamentu i gestem zaprosił Elizabeth, by weszła, lecz nim jeszcze zdążyła przestąpić próg, zawołał:

- Poczekaj! Omal nie zapomniałem!

- Co ty wyrabiasz? - wykrztusiła, bo porwał ją na rękę.

- Przecież pannę młodą należy przenieść przez próg. Taka tradycja. - Wszedł do środka, nogą zamykając drzwi.

Stało się z nią coś dziwnego - w jednej chwili przepełniły ją zaskakujące emocje. Czowała ciepło jego ciała, siłę obejmujących ją ramion, twarde mięśnie na jego torsie. I jego zapach.

Max uniósł ją nieco, ważąc jej ciężar.

- Na Boga, czy ty się głodzisz? - rzekł, pochmurniejac. - Ważysz chyba mniej niż czterdzieści pięć kilo.

Zmieszana, zaczerwieniła się raptownie. Po raz pierwszy znalazła się tak blisko niego. Trzymał ją na rękach z taką łatwością, jakby była dzieckiem.

- Oczywiście, że ważę więcej. Dokładnie czterdzieści osiem. A wypominanie kobietom ich wagi nie należy do dobrego tonu.

- Tak mówisz? - Zatrzymał się na środku urządzonego z przepychem saloniku i popatrzył Elizabeth prosto w oczy. Po raz pierwszy dzisiaj.

Z wrażenia zaparło jej dech. Te błękitne oczy wpatrujące się w nią intensywnie hipnotyzowały ją. Max stał się innym człowiekiem, jakby ktoś przełączył w nim jakiś guzik. Z rzeczowego, skoncentrowanego na pracy biznesmena przemienił w zmysłowego, uwodzicielskiego kochanka.

Zadrzała, serce zabiło jej żywiej. Jak urzeczona obserwowała ogień rozpalający się w jego oczach.

- Już... już możesz mnie puścić - wydusiła. Wciąż nie mogła oderwać od niego wzroku.

- Za chwilę - odpowiedział szeptem. Przesunął spojrzenie na jej usta, przymknął powieki. Zaczął powoli przybliżać do niej głowę.

Zadzwoił telefon i Elizabeth odskoczyła od Maksa jak oparzona.

- Cholera! - zaklął pod nosem. Popatrzył na dzwoniący telefon, jakby zastanawiając się, czy odebrać, czy wyrwać kabel ze ściany. Ktoś zastukał do drzwi. Max postawił Elizabeth na podłogę.

– Pewnie przynieśli bagaże. Mogłabyś otworzyć, a ja przez ten czas odbiorę telefon? Domyślam się, że to pan Aramoto.

Szybko ruszyła do drzwi. Bagażowy zaniósł walizki do sypialni i wyszedł. Max nadal rozmawiał. Zdawał się nie zauważać niczyjej obecności.

Nie chciała mu przeszkadzać, więc poszła do sypialni i rozpakowała walizki. Wyjęła długą koszulkę z ciemnoniebieskiego jedwabiu i koronki oraz dobrany do niej peniuar i poszła do łazienki. Po dwudziestu minutach była gotowa. Zatrzymała się przy drzwiach, położyła rękę na brzuchu. Próbowwała zdusić wibrujące w niej emocje. Przecież nie jest niewinną panienką, to jej drugie małżeństwo. Seks jest nieodłączną częścią takiego związku. Nie powinna się aż tak denerwować, to nie wyrok śmierci czy coś w tym stylu. Musi wziąć się w garść.

Otworzyła oczy, nabrała powietrza. Nacisnęła klamkę i zatrzymała się jak wryta. Sypialnia była pusta.

Podeszła do szerokich drzwi oddzielających salon, otworzyła je. Max ze słuchawką w ręku krążył po salonie, nadal zatopiony w rozmowie. Zdążył zdjąć marynarkę i krawat, rozpiąć trzy guziki koszuli i podwinąć rękawy. W wycięciu koszuli widać było gęste włoski ciemniejące na jego piersi, podobnie na przedramionach. Mimowolnie kojarzył się jej z polującym lampartem. Zachwycającym, silnym i... niebezpiecznym..

Z docierających do niej słów wyłapała niewiele. Chyba się z kimś spierał, co jakiś czas podkreślając niezadowolenie przekleństwem i gwałtowną gestykulacją. Bezwiednie przeciągał palcami po kruczych, włosach.

Cichutko przytknęła drzwi. Zdjęła szlafroczek, rzuciła go na fotel i wślizgnęła się do łóżka. Podciągnęła kołdrę, splotła dłonie i rozejrzała się po pokoju.

Po chwili sięgnęła po leżące na szafce pismo. Przerzuciła kilka stron, odłożyła je i westchnęła. Znow splotła dłonie i zaczęła kręcić palcami młynki.

Zerknęła na zegarek. Już od dobrej godziny jest w łóżku. Wprawdzie obawiała się tej nocy, jednak teraz z każdą minutą narastała w niej złość. Pięknie się zapowiada, skoro biznes jest dla niego ważniejszy od nocy poślubnej.

Nie mogła już dłużej uleżeć. Odrzuciła kołdrę, ruszyła do salonu. Tym razem nie bawiła się w dyskrecję, tylko zdecydowanym ruchem szarpnęła drzwi. Zatrzymała się na progu, ujęła pod boki i popatrzyła na Maksę morderczym spojrzeniem.

Nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Był pochłonięty rozmową.

Trzasnęła drzwiami i wróciła do łóżka. Odrzuciła kilka niepotrzebnych poduszek i podciągnęła kołdrę pod brodę.

- A niech go szlag! - wymamrotała ze złością, układając się wygodniej. - Niech zamiast do żony tuli się do swego kontraktu.

Huk zatrzasniętych drzwi przywołał go do rzeczywistości. Max zerknął w stronę sypialni, potem na zegarek i skrzywił się mimowolnie. Nie miał pojęcia, że rozmawia tak długo.

Starał się zakończyć rozmowę, lecz pan Aramoto jak zwykle potrzebował tysiąca zapewnień, że nowe przedsięwzięcie się uda. Za każdym razem historia się powtarzała. Dzięki Maksowi zarobił miliony, jednak nadal był nieufny. Minęło dobre dwadzieścia minut, nim zdołał pozbyć się natrętnego rozmówcy.

Odłożył słuchawkę na widełki, popatrzył na drzwi do sypialni.

- Pięknie zacząłeś, Riordan - mruknął do siebie. - Niezły początek małżeństwa.

Jeszcze raz zerknął na zegarek, znowu się skrzywił. Nie zdziwi się, jeśli Elizabeth będzie na niego wściekła. Nie jest zbyt romantycznym facetem, ale razem naprawdę przegiął. Zostawić żonę w noc poślubną...

Zgasił światło i ruszył do sypialni. Zatrzymał się przy drzwiach i nabrał powietrza. Zaraz na niego skoczy. Jak amen w pacierzu.

Znieruchomiał, bo zamiast zjadliwej przemowy czy zimnych spojrzeń, spotkała go cisza. Mrok panujący w sypialni rozjaśniała lampka na nocnej szafce po jego stronie. Elizabeth, zwinięta na boku i okryta kołdrą, spała smacznie.

Podszedł po cichu, popatrzył na nią. Przypomniały mu się niedawne słowa Mimi. Nie pojmował, jak te dwie tak różne kobiety mogły się przyjaźnić, jednak czuł, że Mimi miała rację.

Jest szczęściarzem. Elizabeth ma pozycję i pochodzenie, ale to nie wszystko. Jest piękną kobietą.

To dodatkowy plus. Choć może nie. Gdyby nie była piękna, wybrałby inną. Miał z kogo wybierać. Jednak ona od razu go ujęła, od pierwszej chwili, gdy tylko ją ujrzał. Od razu go oczarowała.

Odpiął złote spinki, położył je na szafce. Uśmiechnął się lekko, wspominając swe rozczarowanie, gdy dowiedział się, że Elizabeth jest mężatką.

Jej mąż od początku wydał mu się nadętym bubkiem. Nie budził szacunku i zaufania. Ta opinia potwierdziła się, gdy uciekł z Natalie Brussard i pieniędzmi Elizabeth.

Elizabeth. Bez śladu makijażu, z buzią wygładzoną przez sen, wyglądała jak śpiący anioł. Ten Culpeper per to skończony idiota, pomyślał Max.

Długie rzęsy rzucały cień na gładkie policzki, usta miała leciutko rozchylone. Miękkie, pełne wargi, jakże zapraszające. I te lśniące kasztanowe włosy rozrzucone na poduszce...

Zdjął koszulę, rzucił ją na krzesło. Ściągnął buty skarpetki, rozpiął pasek. Po chwili został w czarnych slipkach.

To ich noc poślubna. Jeśli Elizabeth jest taka łagodna, jak o niej mówią, z pewnością nie zaprotestuje, gdyby sięgnął teraz po swoje.

Stał i debatował. Wydaje się taka drobna. Śpi tak spokojnie. Ma za sobą trudny, męczący tydzień. Naprędce szykowane wesele,

nerwy, sam ślub, długi lot. Z pewnością jest wykończona.

Ściągnął slipki i wsunął się do łóżka. Wsparty na łokciu, przyglądał się z bliska swojej żonie. Wszystko w niej jest takie delikatne i kobiece, każdy szczegół. Nawet linia policzków i malutki nosek. Westchnął z rezygnacją, pochylił się i ucałował ją w czoło.

- Dobranoc, Elizabeth - wyszeptał.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Dwadzieścia przecznic dalej srebrny lexus wjeżdżał na pusty o tej porze wielopoziomowy parking. Rzadko rozmieszczone lampy rozjaśniały panującą tu ciemność, zimne światło padające z gołych żarówek kładło się bladymi plamami na ciemnym betonie. W głuchą ciszę wdzierał się tylko szum silnika, pod kołami chrzęścił rozgniatany piasek.

Lexus wjechał na trzeci poziom. Zgodnie z instrukcją kierowca skierował samochód na środek i zaparkował tuż przy windzie. Zostawił samochód na luzie, ale nie wyłączył silnika. Na wszelki wypadek.

Opuścił boczną szybę, wyjrzał na zewnątrz. Wstrząsnął się mimowolnie. Nawet w słoneczny dzień takie parkingi nie wyglądają zachęcająco. Teraz, o pierwszej w nocy, ta ciemna, ziejąca pustką przestrzeń wydawała się złowroga, wręcz upiorna.



Niedawno przeszła burza i w dusznym powietrzu jeszcze wisiła wilgoć. Parowała z betonowych ścian, mieszając się z zastałym zapachem benzyny i oleju.

Mężczyznę w lexusie z każdą chwilą ogarniało coraz większe zdenerwowanie. Co za ponure miejsce. I ta cisza. Aż dzwoni w uszach.

Może niepotrzebnie się zgodził, by tu przyjechać. Trzeba było umówić się w bardziej cywilizowanym otoczeniu, nie na takim odludziu. Pogadać przy drinku w jakimś barze. Nowojorczycy nie interesują się innymi, obchodzi ich tylko czubek ich nosa.

Aż podskoczył, gdy na ulicy w dole zatrąbił klakson.

Cholera! Czy w tym mieście ludzie nigdy nie idą spać?

Minuty mijały przerażająco wolno. Kierowca już zaczął wątpić, czy umówiona osoba w ogóle się pojawi, gdy nagle dobiegł go cichy szum silnika. Ktoś wjeżdżał na rampę.

Po chwili ujrzał wynurzający się z mroku samochód. Czarny sedan zatrzymał się w miejscu. Przez zaciemnione szyby nie można było dostrzec twarzy kierowcy. Pewnie sprawdza, czy nikt za nim nie jedzie, domyślił się mężczyzna w lexusie.

Wzdrygnął się na tę myśl. Niepokój, który nie odstępował go od wjechania do garażu, jeszcze się wzmógł.

Miał wrażenie, że powietrze robi się coraz gęstsze, nabrzmiewa groźbą. Może tak działał

ten kolor czy ciemne szyby, a może przerażający, wyważony spokój, z jakim samochód zaczął objeżdżać pustą przestrzeń. Czuł, że włosy stają mu dęba.

Sedan objechał garaż, zatrzymał się tuż przy lexusie. Ciemna szyba od strony pasażera zsunęła się do połowy.

- Ma pan coś dla mnie? - w ciszy rozległo się pytanie zadane monotonnym głosem.

- Pan Angelo?

- Tak.

Kierowca lexusa wysiadł i sięgnął do klamki czarnego auta, w tym samym momencie ostre światło latarki uderzyło go w oczy.

- Spokojnie, chcę widzieć pana ręce.

- Proszę, to...

- Lepiej, żeby nie widział pan mojej twarzy, dla naszego wspólnego dobra. Proszę mi dać materiały. Powoli.

- Dobrze. Tu znajdzie pan wszystkie potrzebne dane. - Kierowca lexusa wsunął teczkę do wnętrza sedana. - Jest zdjęcie tej osoby, adresy i plan dojazdu do rezydencji w Houston i na farmę, klucze i kody alarmowe do obu posiadłości. Mój numer, w razie gdyby chciał się pan ze mną skontaktować. W teczce jest też połowa honorarium. Drugą połowę otrzyma pan po wykonaniu roboty.

Mężczyzna, przytrzymując latarkę ustami, otworzył teczkę i przeliczył paczki banknotów. Skierował światło na zdjęcie.

- Hm, piękna kobieta. Na pewno chce pan się jej pozbyć? -

wymamrotał obojętnym tonem.

- Na pewno.

- Nie ma sprawy. Pan płaci.

- Ma pan problem z likwidacją kobiety?

- Nie - odparł tym samym obojętnym tonem.

- Chociaż szkoda rozwalać taką ślicznotkę. Może najpierw się z nią trochę zabawię. Czemu nie skosztować, no nie?

- To nie jest konieczne. Chcę ją zgładzić, nie upokorzyć.

Znów oślepiło go ostre światło latarki.

- Ja wykonuję robotę, a pan płaci - w tonie nieznanego zabrzmiała groźna nuta. - I koniec dyskusji.

Kierowca lexusa poczuł nieprzyjemne łaskotanie w żołądku. Przyszłość Elizabeth rysowała się ponuro. Szybko odepchnął od siebie wyrzuty sumienia.

- Jak pan sądzi, ile to panu zajmie?

- Tyle, ile trzeba.

- Zależy mi, by stało się to możliwie jak najszybciej. Rozumie pan?

- Na wszystko przyjdzie kolej. Najpierw mam jeszcze dwie inne roboty dla pana Voltury. Szef nie lubi, gdy każe mu się czekać.

- Nie zrozumieliśmy się. Ona tu teraz jest. W Nowym Jorku. Jeśli upora się pan z nią w ciągu kilku dni, nie pan musiał lecieć do Houston.

- Jest tutaj? Gdzie mieszka?

- Zatrzymała się w hotelu Ritz-Carlton. Jest świeżo po ślubie. Z mężem, jako państwo Riordan. Jeśli sprzątnie ją pan tutaj, odpadnie panu lot do Teksasu.

Zapadła cisza. Niewidoczny w sedanie mężczyzna rozważał to, co usłyszał.

- No dobrze, przeznaczę na to dwa dni. Jeśli przez ten czas przydybię ją samą, rąbnę ją. Jeśli nie, to będzie pan musiał poczekać na swoją kolejkę. Dam panu znać, jak sprawa wygląda.

- W przybliżeniu jak długo to wtedy może trwać?

- Jeśli nie załatwię jej tutaj i będę musiał polec do Teksasu, to... sam nie wiem. Może miesiąc. Może sześć tygodni. Coś panu powiem. Niech pan zachowa spokój i przypadkiem do mnie nie wydzwania. Nie lubię, jak ktoś mnie popędza. Zrobię co trzeba i gwarantuję, że nikt nie wpadnie na pana czy mój ślad.

Szyba bezszelestnie zsunęła się w dół i sedan ruszył. Po kilku sekundach jego tylne światła zniknęły. Kierowca lexusa jak przymurowany stał na środku pustego garażu. Strach jeszcze go nie opuścił.

- No więc klamka zapadła - wymamrotał do siebie. W przeraźliwej ciszy nawet szept zabrzmiał jak huk kanonady. Już nie było odwrotu.

Elizabeth Riordan już można uważać za martwą.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wtuliła się w puszystą kołdrę i uśmiechnęła. Jak miło było tak sobie leżeć i rozkoszować się ciepłem grzejącym plecy. Cudowny materac, leży się na nim mięciutko, jak na chmurce. Lekko rozchyliła powieki, Zamrugnęła, po chwili jeszcze raz. Potoczyła spojrzeniem po nieznanym wnętrzu. Jej uśmiech zgasł.

Nagle wszystko sobie przypomniała.

Zastygła w bezruchu. Ostrożnie, wstrzymując oddech zerknęła za siebie. Max. Leżał na plecach i spał. O Boże, to on tak ją grzał!

Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. Ciemne włosy na torsie, wąskim paseczkiem schodzące w dół i znikające pod nisko zsuniętą kołdrą. Jedna ręka przerzucona przez brzuch, druga nad głową.

Przełknęła ślinę. On chyba jest nagi. O Boże.

Powolutku przesunęła się na brzeg łóżka, co chwila zerkając za siebie, czy przypadkiem go nie obudziła. Usiadła, zsunęła nogi na podłogę i wstała.

Poruszając się cichutko jak myszka, zebrała swoje ciuszki i na palcach wymknęła się do łazienki. Gdy już się w niej zamknęła, oparła się plecami o drzwi i dopiero wtedy odetchnęła pełną piersią. Udało się.

Godząc się na ślub, zdawała sobie sprawę z konsekwencji, jakie się z nim wiązały. Nie łudziła się, że pozostaną białym małżeństwem. Max zresztą nie pozostawiał jej co do tego złudzeń. Jednak wołała, by stało się to nie w świetle dnia, nie wczesnym rankiem.

Szybko weszła do luksusowej szklanej kabiny. Pośpiesznie umyła włosy, opłukała się. Chciała żyć, nim Max się obudzi.

Stała z zamkniętymi oczami, wystawiając twarz strugi ciepłej wody, rozkoszując się jej łagodnym dotykiem.

Nieraz usłyszała, że ktoś otwiera drzwi. Krzyknęła i otworzyła oczy. Za nią stał Max. Wszedł do kabiny.

Skuliła się instynktownie, osłaniając piersi.

- Max! Co ty tu robisz? Biorę prysznic.

- Widzę. - Jego dłonie objęły ją w talii. Był teraz bardzo blisko. - Pomyślałem, że się do ciebie przyłączę. Zgoda?

Jego ręce przesuwały się po jej skórze, błędziły po brzuchu. Przygarnął ją delikatnie do siebie, musnął ustami czułe miejsce tuż pod jej prawym uchem.

- Cudownie- wyszeptał, nie odrywając ust. – Pięknie pachniesz.

Raptownie nabrała powietrza.

- Max, ja... ja wcale nie... to znaczy...

Zaśmiała się cicho, czuła, że się uśmiechnął.

- O co chodzi? Nigdy nie kapałaś się z mężczyzną?

- Nie! Oczywiście, że... nie.

- Nawet z Edwardem?

- Z kim? Och, nie. On...

- Czyli z niego jest jeszcze większy kretyn, niż myślałem.

- To prawda, ale... Och, co ty robisz?

- Pracuję nad twoją edukacją. Cii... - dodał, zniżając głos i przesuwając dłońmi po jej ciele. Zatrzymał je na jej piersiach. - Rozluźnij się. Ciesz się chwilą.

Pieścił jej piersi, skubał wargami ucho. Przesunął ustami po jej szyi, owiewając ją ciepłym oddechem. Ten rozkoszny dotyk budził w niej dreszcze i przyprawiał o gęsią skórkę.

- Ale Max, to... - urwała i jęknęła. Ten zduszony okrzyk, jaki bezwiednie wyrwał się z jej piersi, zaskoczył ją samą. Max poczynął sobie coraz śmieiej. - Przecież my... my się prawie wcale nie znamy.

- Czy to nie najlepszy sposób, żeby się poznać? - zaśmiał się, bynajmniej nie zrażony jej spłoszoną miną.

Chciała odpowiedzieć, lecz nie była teraz w stanie myśleć. Mogła tylko odczuwać.

Jęknęła znowu, lecz już nie mogła protestować. Jego wprawne dłonie budziły w niej dziki ogień, pieszczoty oszałamiały. Rozkwitała w jego ramionach. Oparła głowę o jego pierś; nogi się pod nią ugiwały, brakowało powietrza. Zamknęła oczy, lekko rozchyliła usta. Ciało wyrywało się ku niemu.

Max przesuwiał po niej rękami, jakby chciał wyryć w pamięci jej kształty.

- Masz piękne ciało - wyszeptał prosto do ucha Elizabeth. - Myślałem, że pewnie będziesz chuda, bo jesteś taka lekka, ale myliłem się. Jesteś wspaniała. I cudownie proporcjonalna.

- Chuda? Chuda? - obruszyła się gwałtownie, rozpaczliwie chwytając się wzbierającej w niej złości, by w ten sposób otrząsnąć się i odzyskać panowanie nad sobą. - No wiesz co...

- Spokojnie, skarbie, nie denerwuj się - łagodził Max. - To miał być komplement.

Zachichotał, sięgnął po żel pod prysznic.

- Pokażę ci, że nie jestem taki zły i umyję ci plecy.

- Ja już się wykąpałam. Właśnie miałam wychodzić spod prysznica, gdy ty... – zmieszła się.

- Wpadłem na ciebie? - dokończył za nią spokojnie. - W takim razie ty możesz to zrobić. – Podał jej żel i odwrócił się. - Zaczynaj od pleców.

- Mam cię... myć? - Odwróciła się i znieruchomiła. Wlepiła wzrok w stojącego na wprost Maksa. Szerokie bary, muskularne ciało,



kształtne pośladki i długie zgrabne nogi. Ciemne włoski porastające klatkę piersiową drobnymi pasemkami przykleiły się do mokrej skóry.

Max popatrzył na nią przez ramię. Uśmiechał się znacząco.

- Na co czekasz? Weź żel i zacznij mnie wreszcie namydlać.

Trzęsła się w środku, ale nie była w stanie wykonać żadnego ruchu. Stała nieruchomo, jak urzeczona patrząc na stojącego przed nią mężczyznę. Z wrażenia zaschło jej w gardle. Sytuacja ją przerosła i Elizabeth nie miała pojęcia, jak z niej wybrnąć. Wreszcie, nie znajdując lepszego wyjścia, wycisnęła na dłoń trochę żelu.

Zawahała się. Patrzyła na strugi wody spływające po gładkiej skórze Maksa. Złocista, o oliwkowym odcieniu, lekko zaróżowiona od ciepłej wody, na prawej łopacie mały pieprzyk.

Ideał męskiego piękna, pomyślała bezradnie.

Nabrała powietrza, położyła dłonie na jego plecach. Powoli zaczęła go namydlać.

- Hm, jak przyjemnie - zamruczał Max. Teraz niżej.

Stał na szeroko rozstawionych nogach, z lekko rozłożonymi rękami. Jak władca czekający na służbę, by go obsłużyła, pomyślała, próbując obudzić w sobie niechęć, lecz to jej się nie udało.

Widok jego mocnego, muskularnego ciała hipnotyzował ją. Czowała, że nie tylko policzki jej płoną, ale całe ciało. Kolana się pod nią ugięły, gdy opuściła dłonie niżej. Przesuwała nimi po jędrnej skórze, czuła prężące się pod nią mięśnie. Pomruki zadowolenia,

jakie wydawał Max, ośmieliły ją. Przesunęła dłonie na jego brzuch, biodra...

Wpadła w popłoch i szybko cofnęła ręce.

By pokryć zmieszanie, pośpiesznie zaczęła namydlać mu nogi.

- Hm, bardzo miło. - Zaskoczył ją, obracając się do niej przodem. Ujął ją za łokcie i podciągnął w górę. - Już prawie wszystko - wyszeptał chrapliwie. Jego błękitne oczy płonęły. - Teraz z przodu.

- Z przodu? Och, ale...

- No, nie bądź taka. - Położył sobie jej dłonie na piersi. - Proszę, Elizabeth.

Jeszcze nigdy nie czuła się tak zmieszana, a jednocześnie podekscytowana. Patrzyła na jego pociemniałe oczy i nie mogła wydobyć z siebie głosu. Z trudem przełknęła ślinę.

Niepewnie rozprostowała dłonie. Jej palce bezwiednie zaczęły delikatnie przesuwać się po mokrej skórze, rozkoszując się szorstkim dotykiem wilgotnych włosków. Cofnęła je raptownie, gdy Max gwałtownie nabrał powietrza.

- Jeszcze - wyszeptał gardłowo. Chwycił ją nadgarstki i przyciągnął jej dłonie, kładąc je sobie na piersi.

Drżąc na całym ciele, zaczęła go namydlać. miała jak z waty. Max nie odrywał od niej płonących oczu. Mięśnie mu grały pod skórą, gdy ostrożnie dotykała jego barków i bicepsów, schodziła do żeber i brzucha.

- Jeszcze tu - wymruczał, ujmując jej dłonie i przykładając do siebie.

Jęknął i zacisnął zęby.

Elizabeth zamknęła oczy.

- Popatrz na mnie – poprosił

Wpatrywał się w nią intensywnie. Powietrze między nimi gęstniało, wszechogarniająca fala gorąca przetaczała się, zagarniając ich w swe odmęty.

Naraz, jakby ta dzika tortura stała się nie do wytrzymania, Max odsunął od siebie dłonie Elizabeth.

- Pora się opłukać - powiedział. Podtrzymując Elizabeth w talii, podsunął się pod strumień wody.

Strumienie ciepłej wody zmywały z nich pianę. Max obrócił Elizabeth do siebie, popatrzył jej w oczy.

- Rozpalasz mnie - rzekł, zniżając głos do szeptu. - Wiedziałaś o tym?

Nie mogła wydobyć z siebie głosu. Skinęła tylko głową.

- Pragnąłem tego od pierwszej chwili, gdy tylko ujrzałem. Nie masz pojęcia, jak dobiła mnie informacja, że jesteś mężatką.

Ujął w talii i podniósł. Elizabeth instynktownie chwyciła go za barki.

- Obejmij mnie nogami - dobiegł ją zmysłowy szept Maksa. Na plecach poczuła chłodny dotyk kafelków.

Patrząc jej prosto w oczy, powoli opuszczał ją niżej i niżej, nie przestając nawet wtedy, gdy Elizabeth nagle wypuścił powietrze

i szeroko otworzy oczy.

Przez chwilę żadne z nich się nie poruszyło, nie odezwało. Łapiąc powietrze, wpatrywali się w siebie, spleceni miłosnym uściskiem. Wreszcie Max pochylił się i pocałował ją czule.

- Witaj, żono - wyszeptał tuż przy jej ustach.

Zarzuciła mu ręce na szyję i wtuliła twarz w ramię Maksa, instynktownie wtapiając się w jego rytm, początkowo wolny, lecz z każdą sekundą nabierający intensywności i tempa. Jeszcze nigdy w życiu nie przeżywała czegoś takiego, nie miała pojęcia, że można doświadczać aż takich uniesień, że seks może być taki dziki, wolny i doskonały.

Bała się, że zaraz wybuchnie, że to ponad jej siły. Czowała chłód kafelków, ciepło spadającej na nich wody, mocne, muskularne ciało Maksa, szorstkie włosy na jego piersi, gładkość skóry przy skórze, zdyszane oddechy. Krew szumiała jej w uszach, słyszała ciche okrzyki Maksa. Oboje zatracili się w uniesieniu.

Krzyknęła, a ten mimowolny okrzyk jeszcze mocniej na niego podziałał. Przywarli do siebie, nagle bez sił, wyczerpani i uszczęśliwieni. Jeszcze nigdy w życiu nie przeżyła tak upojnego seksu. Zwiotczała w jego ramionach. Max też z trudem łapał powietrze.

- Dobrze się czujesz? - wydusił po chwili zdyszany szeptem.

- Tak... tak... - wyszeptała.

Max popatrzył na nią, odgarnął jej z twarzy mokre pasemko.

- Na pewno?

Nagle poczuła się zakłopotana. Zaczerwieniła się.

- Tak. Już mnie postaw.

Nie spodziewała się, że nogi zupełnie odmówią jej posłuszeństwa. Na szczęście Max w porę ją podtrzymał.

- Teraz ja cię umyję - zaproponował i nim zdążyła zaproponować, zrećnie namydlił najpierw ją, potem siebie. Ciekawe, ile razy wcześniej to robił, skoro ma taką wprawę? - pomyślała mimowolnie. Ta konstatacja otrzeźwiła ją.

Odetchnęła, gdy wyszła z kabiny. Nie patrząc na Maksa, wytarła się do sucha i założyła hotelowy szlafrok. Przewiązała go w pasie i zaczęła suszyć włosy. Szum suszarki odgradzał ją od Maksa, uniemożliwiał rozmowę. Co jej pasowało.

Była tak poruszona tym, co przed chwilą zaszło, że musiała na chwilę pobyć sama, zastanowić się w spokoju.

Jej prośby chyba zostały wysłuchane, bo zadzwonił telefon.

- Odbiorę w salonie. - Max podniósł głos, by przekrzyczeć suszarkę, i wyszedł z łazienki.

Dokończyła układać włosy. Wyłączyła suszarkę i ostrożnie wyjrzała z łazienki. Sypialnia była pusta, za to z salonu dobiegał odgłos rozmowy. Elizabeth wykorzystała moment i szybko ubrała się w długą

spódnicę i sweter.

W ubraniu poczuła się pewniej. Usiadła przed toaletką i zaczęła się malować. Do sypialni wszedł Max.

- To Troy - zagaił. - Będzie tu za jakieś dziesięć minut. Przed dzisiejszymi rozmowami musimy ustalić strategię.

- Jasne. - Nie patrzyła na niego. Jednak nie mogła nie widzieć jego odbicia w lustrze.

Max, nie przejmując się jej obecnością, zrzucił szlafrok. Nie chciała go obserwować, lecz nie mogła się powstrzymać, by nie zerknąć, gdy nago przemierzał sypialnię.

Zamknęła oczy, jej ciałem wstrząsnęło drżenie. Boże, jaki on jest fantastyczny. Idealny facet. Mógłby pozować Michałowi Aniołowi.

Jest w nim coś więcej niż tylko męska uroda, uzmysłowiła sobie nieoczekiwanie. Jego sposób bycia, sposób mówienia, każdy ruch i każdy gest świadczyły o wewnętrznej sile. Wierzy w siebie i dobrze wie, czego chce. I potrafi to osiągnąć.

- Wiem, że to słaby pomysł na miesiąc miodowy, ale sprawa jest naprawdę wielkiej wagi - mówił Max, zakładając spodnie. - Postaram się skończyć jak najszybciej, to pójdziemy razem na kolację. Może zapytam w recepcji, czy nie załatwią nam biletów do teatru? Co ty na to?

- Byłoby super. Dzięki.

Zaniepokoił go jej układny ton.

- Na pewno nie masz nic przeciwko temu, że cię zostawiam? - Nim odpowiedziała, sięgnął do portfela i wyjął kartę. - Weź ją i wybierz się na zakupy.

- Max, nie potrzebuję twojej karty. I przestań się o mnie martwić. Jestem dorosła, umiem się sobą zająć.

Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo odpowiadała jej ta sytuacja. Potrzebowała samotności, by w spokoju przemyśleć sobie parę rzeczy. Przy nim nie mogła się skupić, za bardzo ją rozpraszał. Gdy tylko był w pobliżu, natychmiast stawała się spięta, a jej ciało wysyłało niepokojące sygnały. Wybiorę się do Metropolitan Museum. Mają nową wystawę. Zadzwonię też do mojego kuzyna Quintona, może umówię się z nim na lunch.

- Nie wiedziałem, że masz kuzynów. Wydawało mi się, że twoi rodzice byli jedynakami.

- To prawda. Quinton i Camille to dalsza rodzina. Ich babcia, Mariah Stanton, była siostrą mojego i cioci Tality. Były bliźniaczkami. Nie miałam okazji jej poznać. Wraz z mężem zginęła w Szwajcarii. Byli na nartach, gdy zeszła lawina.

- Aha. - Max stanął za nią, zapinał koszulę. Czowała bijące od niego ciepło. Znowu przeszył ją dreszcz. – Jak trafili z Teksasu do Nowego Jorku? To dość daleka droga. I zupełnie inny styl życia. Nawet pięćdziesiąt lat temu to była wielka różnica.

- Mieli jednego syna, Colina. On wszystko po nich odziedziczył, łącznie z piękną kamienicą z brązowego piaskowca

w Nowym Jorku. Tam zamieszkał. To ich rodzinna siedziba.

Pochyliła się do lustra, nałożyła na powieki beżowy cień.

- Teraz mieszka tam Quinton. Jest zapalonym podróżnikiem i rzadko bywa w Nowym Jorku. Camille pomieszkuje tam od czasu do czasu, na przykład między kolejnymi rozwodami albo gdy znowu jest w separacji.

- To ilu miała tych mężów?

- Czterech. Nie powiem ci, ile razy była w i separacji, bo nie zliczę. Camille jest wybuchowa i nieprzewidywalna. - Posłała Maksowi czujne spojrzenie. - Jak się pewnie domyślasz, nie przepadamy za sobą. Za to z Quintonem jesteśmy bardzo zakolegowani.

- Skoro tak, to zadzwoń do niego. Na wszelki wypadek weź tę kartę. Może jednak wybierzesz się na zakupy - dodał, chowając jej kartę do torebki.

Zdążyła wyjść przed pojawieniem się Troya. W taksówce zastanawiała się, czy zadzwonić do kuzyna. Nie miała ochoty na towarzystwo, jednak myśl, że tuż po ślubie jest sama, była nadzwyczaj przygnębiająca. W końcu więc zadzwoniła.

Quinton, choć wrócił z wojaży dopiero wczoraj, znowu szykował się do następnej podróży, więc nie mógł towarzyszyć jej do muzeum, lecz umówili się na lunch w kameralnym bistro. Dopiero ta rozmowa



uświadomiła jej, jak bardzo jest głodna. Ostatni raz jadła wczoraj, na weselu, a i tak tylko skubnęła kilka kęsów. Zatrzymała się na śniadanie w ulubionej kawiarni, a potem, nie zważając na chłód, na piechotę poszła do muzeum.

Przez kilka godzin błądziła po salach, obejrzała kilka wystaw, lecz niewiele z tego zapamiętała. Bo przez cały czas jej myśli wracały do dzisiejszego poranka.

Jak to możliwe, że zachowała się tak szaleńczo, tak niepodobnie do siebie? Co on w sobie ma, że wywołał w niej taką reakcję, że tak absolutnie wyzbyła się wszelkich skrupułów? Nigdy w życiu coś podobnego się jej nie zdarzyło. W dodatku z kimś niemal zupełnie obcym.

Decydując się na małżeństwo, zdawała sobie sprawę, że pewnych rzeczy nie da się uniknąć. Zakładała, że zaciśnie zęby i jakoś przeżyje, jak wiktoriańska dama wypełniająca obowiązek małżeński. A nagle okazało się, że Max ledwie jej dotknął, a jej opory i poczucie przyzwoitości uleciały, zniknęły, jakby ich nigdy nie było. Skąd wzięła się w niej ta lubieżna zachłanność, to dzikie pragnienie?

Nie mogła się z tym pogodzić, nie mogła tego ogarnąć. Seks z Edwardem nie był czymś przykrym, sprawiał jej przyjemność zwłaszcza na początku małżeństwa. Jednak nie był też czymś oszałamiającym, zbijającym z nóg. Bez żalu mogłaby się bez niego obyć.

Do restauracji przyszła pierwsza. To jej nie zdziwiło, bo Quinton

zawsze się spóźniał. Usiadła przy stoliku obok kominka i popijając herbatę, przerzucała menu. Kuzyn wpadł wkrótce po niej, przepaszając z wrodzonym sobie wdziękiem.

- Witaj, laleczko! Sorki, że tak się spóźniłem. Był koszmarny ruch. Nie cierpię jeździć po Nowym Jorku, to mnie dobija. W dodatku nie mogłem znaleźć parkingu. - Ujął dłonie Elizabeth, pochylił się i cmoknął ją w czoło. Miał chłodne dłonie i pachniał drogą wodą kolońską. Jeszcze biło od niego chłodem zimowego powietrza. - Wyglądasz bosko!

- Dzięki. - Uśmiechnęła się do niego ciepło. Popatrzyła w jego brązowe oczy, w których skrzyły się diabelskie ogniki, i nagle poczuła radość, że się z nim umówiła. Jeśli ktoś może podnieść ją na duchu to tylko Quinton.

Quinton był pogodny z natury, zawsze szarmancki. Miał podejście do kobiet, każdą potrafił oczarować i sprawić, by poczuła się prawdziwą pięknoscia. Był bardzo przystojnym mężczyzną i mógł się podobać. Miał jasne włosy, brązowe oczy i wyraziste rysy. Aż dziw, że mimo czterdziestki nadal był kawalerem. Kobiety uganiały się za nim, a i on lubił ich towarzystwo. Poważne matrony też za nim przepadały.

Jego pojawienie się w restauracji nie przeszło bez echa. Uwadze Elizabeth nie uszły ukradkowe spojrzenia, jakimi obrzuciły go obecne na sali kobiety. Quinton, jak zwykle szykowny, był w beżowym swetrze džinsach i marynarce z czarnego zamszu. Styl niebywalej

elegancji.

- No więc... - zagaił, zajmując miejsce i spoglądając na Elizabeth przekornie. - Co znaczy, że spotykasz się ze mną, choć dopiero wczoraj wzięłaś ślub? Czy twojemu nowemu mężowi całkiem odbiło? Miałem nadzieję, że okaże się lepszy od Edwarda.

- Max miał ważne biznesowe spotkanie, którego nie mógł przełożyć. Wydawało mi się, że lubiłeś Edwarda.

- Zawsze uważałem go za cymbała, ale ze względu na ciebie starałem się tego nie okazywać. Powiem ci szczerze, że zrobił ci przysługę, uciekając z tą Natalie. - Quinton skrzywił się z niesmakiem. - Nie lubię źle się wyrażać o kobietach, lecz ta naprawdę sobie na to zasłużyła.

Elizabeth roześmiała się.

- Dzięki za te słowa. Właśnie to mi było bardzo potrzebne.

- Zawsze do usług. Ale dajmy sobie spokój z Natalie i twoim byłym. Opowiedz mi o tym nowym mężczyźnie. To chyba naprawdę bardzo ważne spotkanie, skoro zostawił cię w trakcie podróży poślubnej. Czym on się zajmuje?

Elizabeth bawiła się szklanką z wodą.

- Jest przedsiębiorcą, działa głównie w finansach. Aranżuje różne interesy, kojarzy inwestorów.

Podszedł kelner, złożyli zamówienie. Gdy odszedł, Quinton uśmiechnął się do Elizabeth.

- Powiedz, jest bogaty?

- Quinton! No wiesz! Jak możesz pytać o takie rzeczy.

- No to jak? Jest bogaty? - nie zrażał się.
- Jesteś niemożliwy! - wymruczała, opuszczając wzrok na menu, próbując go zignorować i jednocześnie zdusić uśmiech. Ale nic z tego nie wyszło.
- Wiem - przystał pogodnie, a kiedy popatrzyła na niego, uniósł brwi. - Ale ty i tak mnie lubisz. No to teraz odpowiedz mi na pytanie.  
Elizabeth wybuchnęła śmiechem.
- Tak. Jest okropnie bogaty.
- To super! - Uniósł szklanekę z wodą i stuknął się z Elizabeth. - Życzę ci życia pełnego szczęścia, miłości i gorącego seksu oraz dużej kasy na koncie.
- Wypijmy za to - rzekła, stukając się z nim filiżanką. - A co słyhać u Camille? - zapytała z uprzejmości.
- Znasz moją siostrę - odparł. - Właśnie byłem odwiedzić ją i Leona. Mijają trzy lata, odkąd się pobrali, i wszystko wskazuje, że temperatura ich uczuć osłabła. Przez cały czas, gdy u nich byłem zapowiadała, że się z nim rozstanie.
- Co na to Leon?
- Biedak rwie włosy z głowy. Ubóstwia ją, pewnie dlatego Camille jest nim taka znudzona.
- Myślisz, że naprawdę się z nim rozwiedzie?
- W każdej chwili może zjechać do Nowego Yorku i zastawić mi walizkami pół domu.

Znasz ją. Każdy kolejny mąż jest bogatszy od poprzedniego. Leona też nieźle oskubie.

Lunch upłynął im na miłych pogaduszkach. Miała wrażenie, że widzieli się ledwie kilka dni temu, nie miesiący. Z Quintonem widywała się trzy-cztery razy do roku, gdy razem z Mimi przyjeżdżała do Nowego Jorku na pokazy mody, czasem Quinton odwiedzał ją w Teksasie. Jednak ich przyjaźń nadal była taka jak przed laty.

Opowiedziała mu o przekrętach Edwarda. Nie wdawała się zbyt w szczegóły, lecz nie ukrywała trudnej sytuacji. Przez chwilę korciło ją, by zwierzyć się z okoliczności, jakie doprowadziły do ślubu z Maksym, jednak nie zdobyła się na taką szczerość. Czuła się lojalna wobec Maksa. Z Mimi to było co innego, przed nią mogła się otworzyć.

Odprowadziła Quintona do samochodu. Zaparkował dwie ulice dalej. Cały tył niewielkiego sportowego auta zajmowały walizki. Quinton miał jechać do znajomych w Miami.

Porywy zimnego wiatru uderzały w twarz, w przesyconym wilgocią powietrzu czuło się zapowiedź zbliżających się opadów śniegu. Elizabeth szczerzej otuliła się wykończonym norką płaszczem. Gdy zatrzymali się przy samochodzie, przestępowała z nogi na nogę, bo było jej zimno w stopy.

- Bardzo się cieszę, że się spotkaliśmy - rzekł Quinton. Uśmiechnął się ciepło i odgarnął jej za ucho niesforny kosmyk włosów. - Żartowałem sobie, ale naprawdę życzę ci długiego i szczęśliwego

małżeństwa z Maksem. Przekaż mu ode mnie, że jeśli nie będzie traktował cię jak należy, osobiście pofatyguję się do Houston i dam mu niezłego kopa.

Elizabeth zachichotała. Oczami wyobraźni widziała szczupłego elegancika startującego do Maksa. Zostałaby z niego mokra plama.

- Dobrze, przekażę mu - powiedziała. Uścisnęła Quintona, a gdy wsiadł, pomachała mu na pożegnanie. Odprowadziła wzrokiem odjeżdżający samochód.

Cieszyła się, że się z nim spotkała. Jego urok i luzackie podejście do życia dobrze jej zrobiły. I poprawiły humor.

Wstrząsnęła się, kiedy kolejny zimny poryw szarpnął jej płaszczem. Założyła na głowę obszyty futerkiem kaptur i wyszła na krawężnik, by przywołać taksówkę. Podniosła rękę.

- Taxi! - zawołała.

- Niech pani uważa!

Krzyk dobiegł ją z tyłu. Elizabeth odwróciła się instynktownie.

Trwało to mgnienie, choć miała wrażenie, że wszystko dzieje się w zwolnionym tempie. Ujrzała ruszający na nią samochód, widziała zimną twarz człowieka za kierownicą. Starsza pani tuż obok niej rozpaczliwie wyciągała rękę.

Wszystko działo się jednocześnie. Ktoś krzychał, kobieta ciągnęła ją na chodnik, w tej samej chwili rozległ się głuchy huk uderzającego ją w bok samochodu i poczuła przeszywający ból w biodrze.

Gdy się ocknęła, leżała na ulicy, przygniatając sobą panią, która

uratowała jej życie. Obok nich zebrał się tłum.

- Widzieliście? Ten facet pędził prosto na nią!
- Tak, nawet nie ruszył kierownicą.
- Trzeba zadzwonić po policję.
- Czy ktoś spisał numery?
- Tak, ja spisałem. O, akurat idzie policjant!
- Co tu się dzieje? Policja. Proszę się cofnąć.

Elizabeth wlepiała wzrok w zaniepokojoną twarz pochylonego nad nią młodego policjanta.

- Dobrze się pani czuje?
- Tak... Dzięki tej pani, uratowała mi życie - wykrztusiła. - Nie wiem, jak pani dziękować - powiedziała. Spróbowała wstać i jęknęła z bólu.

- Jest pani ranna? - zapytał policjant.
- Oczywiście, że jest - rzuciła starsza pani, podnosząc się z pomocą kilku stojących obok osób. - Została uderzona przez samochód. To cud, że żyje.

- Tak - odezwał się jakiś mężczyzna. - To nie był wypadek. Ten człowiek chciał ją przejechać.

- Jest pan tego pewien? - spytał policjant.
- Jak najbardziej.
- Mogę to potwierdzić - poparł go inny przeddzień. - Stał na ulicy z włączonym silnikiem i czekał. Taksówkarz, który był za nim, trąbił, żeby zjechał mu z drogi...

- To ja trąbiłem - rzeki mężczyzna, który spisał numery. - Ten idiota stał w miejscu i blokował przejazd.

- Ta pani wyszła za krawężnik, by zatrzymać taksówkę, a ten w czarnym samochodzie nacisnął gaz i ruszył prosto na nią - wyjaśnił inny.

- Gdyby ta pani nie pociągnęła jej na bok, to jak nic by ją rozjechał - uzupełnił ktoś inny.

- Wezwę karetkę - zdecydował policjant.

- Proszę, niech pan tego nie robi - zaprotestowała Elizabeth. - Naprawdę nic mi nie jest. On tylko się o mnie otarł. Na pewno nic mi się nie stało, najwyżej jestem trochę obita. - Spróbowała się podnieść, uwiarygodnić swe słowa, lecz poczuła taki ból, że aż zabrakło jej tchu.

- Może i tak, lecz skoro tak panią boli, to na wszelki wypadek powinien zbadać panią lekarz.

Nawet się nie obejrzała, jak wniesiono ją do karetki. W drodze do szpitala zastanawiała się nerwowo, co teraz będzie. Jak zachowa się Max, gdy usłyszy o wypadku? Na pewno się nie ucieszy, jeśli będzie musiał przerwać ważne spotkanie.

W szpitalu została zbadana, prześwietlona, opatrzone jej otarcia na dłoni i prawym kolanie. Czekwała na lekarza, gdy zasłona oddzielająca jej kozetkę rozsunęła się. Do pomieszczenia wszedł mężczyzna w ciemnym garniturze.

- Pani Riordan? Nazywam się Gertski. Jestem oficerem dochodzeniowym z nowojorskiej policji.



Przepraszam, że zawracam pani głowę w takiej chwili, lecz chciałbym zadać kilka pytań. Jeśli czuje się pani na siłach, by porozmawiać.

Popatrzyła na niego uważnie. W średnim wieku, o lekko przerzedzonych włosach i początkach brzuszka. Sprawiał wrażenie człowieka wyważonego i powściągliwego, lecz intuicja podszeptowała jej, że ten spokój malujący się w jego brązowych oczach jest tylko maską skrywającą żywą inteligencję.

- Naprawdę policja musi się w to angażować? - zapytała. - To był zwykły wypadek.

- Świadkowie twierdzą inaczej. W Nowym Jorku rzadko się zdarza, by ktoś godził się zostać świadkiem. A zgłosiło się aż czterech. W dodatku ich zeznania się pokrywają. Poza tym tego typu wypadki traktujemy bardzo poważnie. Świadkowie są zgodni, że samochód ruszył prosto na panią, chciał panią przejechać. A to oznacza usiłowanie zabójstwa.

- O mój Boże - wyszeptała.

- Czy jest ktoś, kto mógłby na panią nastawać?

- Nie, skądże. Ja nawet nie jestem stąd. Mieszkam w Houston, ale tam raczej nie ma nikogo, kto chciałby mnie zabić. W dodatku miałby przyjeżdżać aż tutaj? Widziałam twarz tego mężczyzny. Na pewno go nie znam.

- Słyszała pani o płatnych zabójcach?

Elizabeth zaśmiała się histerycznie.

- Ależ to niedorzeczne.

- Może i tak. A może nie - wymamrotał oficer.
  - Ma pani obrączkę, więc zapytam o męża. Czy mógłby mieć jakiś powód, by chcieć się pani pozbyć?
  - Bardzo w to wątpię. Przyjechaliśmy tu w podróż poślubną. Pobraliśmy się wczoraj po południu.
  - Tak? - Policjant rozejrzał się. - To gdzie jest?
  - Hm... Max ma dzisiaj bardzo ważne spotkanie biznesowe.
  - Aha... Czy pani albo ktoś ze szpitala powiadomił go o wypadku?
  - Nie. Nie chciałam go niepokoić, zwłaszcza że nic takiego mi się nie stało. - Ból był niemal nie do zniesienia, lecz postanowiła zacisnąć zęby i wyrwać. Nie chciała być dla Maksa obciążeniem. Pobrali się przecież z rozsądku.
  - Czy pani mąż w jakiś sposób zyskałby na pani śmierci?
  - Nie, na pewno nie. Podpisaliśmy umowę przedślubną.
  - Tak? A może chodzi o polisę ubezpieczeniową.
  - Nic takiego nie wchodzi w grę. Mój mąż jest zamożnym człowiekiem. Bardzo zamożnym, nie miałby żadnego powodu, by żenić się ze mną, a nazajutrz kazać mnie zgładzić.
  - Rozumiem. - Zapisał sobie coś w notesie.
  - Mimo to poproszę o jego nazwisko i numer telefonu.
- Przez ostatni tydzień tyle wydzwaniała do Maksa, że jego numer знаła już na pamięć, lecz nie zamierzała zdradzić się z tym przed oficerem.

- Nazywa się Max Riordan. Zatrzymaliśmy się w hotelu Ritz-Carlton. Jutro na pewno go pan tam złapie. - Liczyła, że przy odrobinie szczęścia to ona odbierze telefon. Albo już będą w drodze do Teksasu.

- Proszę opowiedzieć wszystko, co pani pamięta - ojcowskim tonem zagaił policjant, jednak Elizabeth czuła, że pod tą uprzejmą maską kryje się twardy charakter.

- To wszystko stało się tak szybko. Nie wiem, jaki to samochód. Zauważyłam tylko, że był ciemny i miał przyciemnione szyby.

- To zgadza się z opisem świadków. A kierowca? Wspomniała pani, że go pani widziała?

Elizabeth wzdrygnęła się.

- Tak. Boczne szyby były prawie czarne, ale przednia nie. Widziałam jego twarz. Trwało to tylko sekundę, ale nigdy tego nie zapomnę. Jego twarz była jak martwa.

Kiedy wreszcie dotarła do hotelu, dochodziła piąta. Środki przeciwbólowe, jakie zaaplikowano jej w szpitalu, powoli przestawały działać.

Była senna. To był naprawdę męczący dzień. I jeszcze to koszmarne popołudnie. Marzyła tylko o tym, by rozebrać się, połknąć jeszcze kilka tabletek i położyć się spać. Miała nadzieję, że Maksowi nie udało się dostać na dzisiaj biletów. Najwyżej pójdzie z Troyem. Ona nie czuła się na siłach.

Za oknami zaczynało się ściemniać. Maksa

nie było. Elizabeth zapaliła kilka lamp w salonie, poszła do sypialni. Dopiero teraz spostrzegła rozdarcie i ciemną plamę na płaszczu. Brakowało też dwóch guzików. Powiesiła go, zrzuciła buty i ściągnęła ubranie.

Wyjęła z szuflady świeżą koszulę, wzięła z torebki tabletki i ruszyła do łazienki.

Popatrzyła na swoje odbicie i skrzywiła się. Przerażliwie blada, włosy w nieładzie. Nie miała na sobie nic poza kremowymi majteczkami, tym bardziej widoczny był wielki ciemnofioletowy siniak na prawym biodrze. Jak spory talerz, od pępka po plecy.

Jęknęła. Nie ukryje tego przed Maksem, nie ma szans. Będzie musiała opowiedzieć mu, co ją spotkało.

Zagryzła usta. Fatalnie to wszystko wygląda. Od samego początku problemy. Dobijała ją ta myśl. Może tylko delikatnie napomknie o wypadku, a potem obróci całą sprawę w żart? Może w ten sposób wybrnie?

Połknęła kilka tabletek, umyła zęby i twarz. Wycierała ją ręcznikiem, gdy drzwi łazienki się otworzyły.

Pisnęła i raptownie się odwróciła, osłaniając ręcznikiem nagi biust. Max wszedł do środka.

- Tu jesteś. Przepraszam, że tak późno. To tyle trwało...

Zatrzymał się nagle i wbił wzrok w jej sine biodro

- Boże, a to co?

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Przygryzła dolną wargę i niepewnie popatrzyła na Maksa.

- To... och, wygląda gorzej, niż jest – wymamrotała. - Naprawdę.

- Mam nadzieję. Bo to wygląda, jakby przejechał cię czołg.

- Nie, nie było tak źle. Otarłam się o samochód - powiedziała, uśmiechając się blado. Raczej mało przekonująco, bo Max spochmurniał jeszcze bardziej.

- Co takiego?

- Miałam... miałam mały wypadek.

- Jaki wypadek?

- Nic poważnego, nie przejmuj się. Chciałam zawołać taksówkę i podeszłam za blisko jezdni. Pewnie się zagapiłam, bo jadący samochód uderzył mnie w bok.

- Wpadłaś pod samochód? - Popatrzył na siniec, raptownie przeniósł wzrok na twarz Elizabeth - I uważasz, że nie

powiniennem się tym przejmować.

Nim zdążyła odpowiedzieć, dostrzegł stojącą na blacie buteleczkę z tabletkami. Chwycił ją.

- Co to jest?

- Środki przeciwbólowe. Dostałam je na ostrym dyżurze.

Zwężił oczy. Już wcześniej był zły, lecz teraz jego oczy ciskały ognie.

- Było z tobą tak kiepsko, że zabrali cię do szpitala? Do diabła, dlaczego nie dałaś mi znać?

- Ja... nie chciałam przeszkadzać ci w spotkaniu.

- Do cholery, Elizabeth...

Dzwonek telefonu przerwał jego słowa. Piorunując Elizabeth wzrokiem, Max chwycił wiszącą na ścianie słuchawkę.

- Słucham! - warknął.

Wykorzystała moment, by sięgnąć po szlafrok. Wiązała pasek, zastanawiając się gorączkowo, rozładować tę napiętą sytuację. Nie miała żadnego pomysłu. Nie zadzwoniła do niego, bo była pewna, że go zdenerwuje. Wyszło inaczej.

- Rozumiem. - Max popatrzył na Elizabeth takim wzrokiem, jakby chciał ją udusić. - Tak, jak najbardziej. W takim razie czekam na pana.

Odwiesił słuchawkę i gniewnie popatrzył na Elizabeth.

- Dzwonił oficer Gertski. - Aż się wstrząsnęła, słysząc jego zimny ton.

- Chce porozmawiać ze mną temat wypadku, w którym omal nie zginęła moja żona.

- Och. - Zamrugwała. Łzy paliły ją pod powiekami. Usta zdrząły jej niebezpiecznie, zacisnęła je. To było za dużo jak na jej siły. Miesiące zamartwiania się nad swoją sytuacją, potem nieoczekiwana proporcja małżeństwa, przygotowania do ślubu, dzisiejszy dzień... jak na jedną osobę to naprawdę dużo. Jej nerwy były w fatalnym stanie.

- Nic więcej nie masz mi do powiedzenia? - Max pokręcił głową. - Świetnie. Z każdą chwilą wygląda to lepiej. Najpierw bagatelizujesz, że zdarzył ci się wypadek. Gdy cię przycisnąłem, wydusiłaś, że zabrali cię do szpitala. A teraz dowiaduję się, że ktoś próbował cię przejechać. I potwierdzają to świadkowie. Cholera! Co tu się dzieje?

- Nie wiem! - wykrzyknęła żałośnie. Broda jej drżała. - Jestem wykończona, na proszkach i przeżyłam straszny dzień. Więc nie wydzieraj się na mnie!

Obraz przed oczami coraz bardziej się jej zamazywał. Nie mogła już dłużej wstrzymać łez. Po chwili popłynęły jej po policzkach. Max zrobił przerażoną minę.

- Nie - zaczął błagalnie. - Proszę cię, nie płacz.

- Ja... nie płaczę... - wydusiła, szlochając. - Ja... ja nigdy... nie płaczę.

Uśmiechnął się mimowolnie, słysząc tę oczywistą prawdę.

- No tak, jasne. Jak mogłem tak o tobie pomyśleć? Jesteś twarda. To tylko oczy ci przeciekają, prawda?

- To wcale nie jest zabawne! - zaatakowała płaczliwie.

- Chodź do mnie. - Podszedł do niej i przygarnął ją do siebie. Przycisnął jej głowę do swojej piersi. Kołysał ją łagodnie, uspokajając jak splakane dziecko. - Już dobrze, Elizabeth. Przepraszam. Nie powinienem podnosić głosu.

Ta jego tkliwa czułość była ostatnią kroplą, która przepełniła czarę. Do tej pory Elizabeth jeszcze jakoś nad sobą panowała, lecz już dłużej nie mogła. Wtuliła się w Maksa, zacisnęła palce na jego koszuli i zaniosła się rozpaczliwym łkaniem.

Szloch wstrząsał jej kruchym ciałem, jej żaloszny płacz łamał Maksowi serce. Gładził ją po plecach i milczał.

Rozluźniła się, bo w jego ramionach znalazła bezpieczne schronienie. Jak dobrze było czuć jego ciepło i siłę, wreszcie odnaleźć spokój.

- Och, Max... to było... to było straszne - szlochała, wtulona w jego pierś.

- Wiem, kotku, wiem. Ale już jesteś bezpieczna.

- Te jego oczy... - Wzdrygnęła się. Nie mogła nic więcej powiedzieć. Znowu zaniosła się płaczem.

Max zeszywniał.

- Jego oczy? Mówisz o człowieku, który chciał cię przejechać? Widziałaś jego twarz? Elizabeth pociągnęła nosem, skinęła głową.

- Poznałaś go?



- Nie. Ja nigdy... nigdy wcześniej go nie widziani. Jestem tego pewna.

Max milczał, ale czuła, że w skupieniu przetrawia jej słowa.

Powoli zaczęła się uspokajać. Oswobodziła się z jego uścisku, zakłopotana swym wybuchem. Sięgnęła po chusteczkę.

- Przepraszam - wybąkała. - Zwykle nie jestem taką płaksą - wymamrotała, ocierając oczy.

- Nie przejmuj się, miałaś powód. - Poczekał, aż wytrze nos, i spytał:

- Powiedz mi tylko jedno. Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś?

Przyłożyła palce do skroni, potem do czoła.

- Moglibyśmy dokończyć tę rozmowę w sypialni? Okropnie boli mnie biodro.

- Psiakrew. Dlaczego wcześniej nic nie powiełaś? Może podać ci proszek?

- Nie, dzięki - pokręciła głową. - Połknęłam kilka tabletek tuż przed twoim przyjściem.

- No to chodźmy do łóżka.

Ostrożnie, by nie urazić jej obitego boku, wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. Potem spokojnie, jakby robił to tysiące razy, postawił ją i zdjął z niej szlafrok.

- Och! - Zaskoczona, skrzyżowała ramiona, by ukryć przed nim swą nagość. Zacerwieniła się od stóp do głów. Ciało ją paliło.

Max leciutko wygiął w uśmiechu kąciki ust.

- Co z ciebie taka skromnisia? Jestem twoim mężem, zapomniałaś? Oswój się z myślą, że będę oglądać cię oglądać bez niczego.

Taki mam zamiar. – Przesunął koniuszkiem palca po górze skąpych majteczek. - Ładne bikini - pochwalił, patrząc jej prosto w oczy.

Poczuła, że skóra jej płonie. Od tego dotyku, od jego spojrzenia, od tych słów. Przepęniało ją tyle sprzecznych uczuć, że nie wiedziała, co powiedzieć. Stała nieruchomo i w milczeniu patrzyła, jak Max podchodzi do komody i wyjmuje z szuflady nocną koszulę. Po chwili wrócił, założył jej koszulę przez głowę i ułożył Elizabeth na łóżku.

- No i jak? Już dobrze? - zapytał, otulając ją kołdrą.

- Tak. Dziękuję wymamrotała. Środki przeciwbólne już zaczęły działać. Czują ogarniającą ją senność, oczy same się jej zamykały.

Max przysiadł na łóżku, położył na nim zgiętą nogę. Elizabeth poczuła bijące od niego ciepło i otworzyła oczy. Już nie była senna.

- Opowiedz mi teraz, co się stało. Dokładnie niczego nie pomijając. Od chwili, gdy wyszłaś z hotelu - uściślił.

Starła się zachować spokój. Splotła na kołdrze.

- Dobrze. Najpierw pojechałam taksówką do kawiarni i tam zjadłam śniadanie. Potem na piechotę poszłam do muzeum...

Po kolei opowiedziała mu o wydarzeniach dzisiejszego dnia.

Gdy skończyła, Max przez dłuższą chwilę spoglądał na nią w milczeniu. Poczwała się nieswojo.

- I przez cały ten czas ani razu nie pomyślałaś, żeby do mnie zadzwonić? — zapytał w końcu.

- Już ci mówiłam, że nie chciałam ci przeszkadzać.

- Elizabeth, jesteś moją żoną. Jeśli coś ci się stanie, to chcę o tym wiedzieć.

- Ale... oderwałabym cię od pracy. Wiem, że to było ważne spotkanie. Inaczej nie wzięłabyś ze sobą w podróż poślubną asystenta. Domyślałam się, że nie byłbyś zadowolony, gdybym zaczęła zawracać ci głowę.

Popatrzył na nią przeciągle.

- Punkt dla ciebie. Chyba sam sobie na to za-służyłem.

- Nie, źle mnie zrozumiałeś. - Dotknęła jego ramienia. Max był bez marynarki i krawata, pod cienką tkaniną czuła jego ciepłe, muskularne ciało. - Nie zrozum mnie źle, nie krytykuję cię. Nie oczekuję, byś się o mnie troszczył. Wiem, że nasze małżeństwo nie jest takie.

- Jakie?

- No wiesz... w tradycyjnym stylu. Wprawdzie wybraliśmy się w tę niby podróż poślubną, ale tylko po to, by zachować pozory.

Znów wpatrywał się w nią długi czas w milczeniu. Widziała mięsień drgający na jego twarzy. Nie miała pewności, lecz intuicyjnie czuła, że nie jest zbytnio zadowolony.

- Bardzo się mylisz - odezwał się wreszcie. – Nie obchodzi mnie, co ludzie sobie pomyślą. Przyjechaliśmy tu, bo zależało mi, byśmy mogli się lepiej poznać. Wydawało mi się, że taki jest sens podróży poślubnej.

- No tak. Gdy ludzie się kochają.

Max wbił oczy w sufit, jakby modlił się o cierpliwość.

- Myślałem, że już to omówiliśmy. Może się nie kochamy, ale co to ma za znaczenie? Moim zdaniem ta cała miłość to gruba przesada. Nigdy jej nie doświadczyłem i Bogu dzięki. Dla mnie o wiele bardziej istotne są inne rzeczy: szacunek, podziw, lojalność, uczciwość. To jest naprawdę ważne, zarówno w małżeństwie, jak w interesach.

Wlepiła w niego wzrok. Czuła się jak bohater kreskówek, nad którym nagle rozbłyскуje żarówka.

- Dla ciebie to małżeństwo jest kolejnym interesem?

- Hm, w pewnym sensie tak. Oboje zyskujemy. Oczywiście małżeństwo ma jeszcze inne plusy, dodatkowe. - Popatrzył na nią uwodzicielsko. Przesunął palcem po jej policzku. - Jak to, co przeżyliśmy rano - dodał jeszcze łagodniejszym tonem. - Przez cały dzień czekałem, by to powtórzyć, ale chyba będziemy musieli poczekać, aż trochę wydobrzejesz.

Zarumieniła się. W milczeniu patrzyła na swoje splecione dłonie.

Poniewczasie uzmysłowił sobie, że porównanie małżeństwa do interesu nie było najszcześniejszym pomysłem.

- Są też inne plusy - dodał pośpiesznie. – Człowiek nie jest sam, ma

na kogo liczyć. I tego typu rzeczy.

Wpatrywała się w niego bez słowa. Max przegarnął palcami włosy.

- Elizabeth, coś ci powiem. Jestem biznesmenem, nie znam się na mówieniu o uczuciach, słaby jestem w te klocki. Ale to nie znaczy, że mi na tobie nie zależy.

- Jasne. Chcesz powiedzieć, że zależy ci na mnie tak, jak na jakiejś poważnej inwestycji. - Kiwnęła głową. - Oczywiście. W końcu sporo w to włożyłeś.

Max spochmurniał.

- Nie to miałem...

- Nie denerwuj się. Od tej pory będę informować cię o wszystkich zmianach dotyczących mnie i mojej sytuacji.

- Dobrze. Zaraz, poczekaj, nie o to mi chodziło. Do diabła, Elizabeth, ty wszystko przeinaczasz.

- Przecież sam przed chwilą powiedziałaś, że...

- Przestań! - wzniosł oczy do nieba, westchnął. Koniecznie chcesz mnie zmusić, żebym to powiedział, tak? No dobrze, niech ci będzie. Tylko słuchaj uważnie, bo nie zamierzam tego powtarzać. – Popatrzył jej prosto w oczy. - Ożeniłem się z tobą z powodów biznesowych i osobistych. Biznesowe znasz. Co do tych osobistych... Ożeniłem się z tobą, bo... bo bardzo mi pasujesz.

- Słucham?

- Powiedziałem, że bardzo mi odpowiadasz. Wszystko w tobie bardzo mi się podoba: wygląd, charakter, inteligencja, miłe brzmienie głosu, twój urok, te piękne gęste loki. - Jakby na potwierdzenie tych słów, wyciągnął rękę i ujął w palce pasmo rozsypanych na poduszce włosów. – Lubię twój zapach, słodki, kwiatowy i kobiecy.

Była tak zdumiona tym oświadczeniem, że tylko wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. Może nie była to deklaracja miłości, ale jak na Maksa było to bardzo wiele.

W tej właśnie chwili postanowiła, że postara się być dla niego naprawdę dobrą żoną, najlepiej jak potrafi. Dotrzyma swych zobowiązań. Wprowadzi go w kręgi houstońskiej elity i poinstruuje, jak najlepiej do nich przemówić. Zna tych ludzi, wie, jak do kogo trafić.

Już prawie przekonał ją, że naprawdę mu na niej zależy.

- Dodaj do tego jeszcze szacunek i podziw, jaki dla ciebie mam - dokończył. - Według mnie najlepsze podwaliny pod udane małżeństwo.

Elizabeth popatrzyła na niego podejrzliwie.

- Szanujesz mnie?

- I to bardzo. Obserwowałem cię cały ubiegły rok. To były dla ciebie trudne miesiące. Najpierw Edward porzucił cię i uciekł z Natalie Brussard.

Houston aż huczało od plotek. Zaraz potem wyszło na jaw, że Edward wyprowadził prawie cały twój majątek. To był kolejny cios, ale ty zniosłaś to wszystko z godnością i klasą.

- A miałam inne wyjście?

Max uśmiechnął się lekko.

- Niejedno. Mogłaś zamknąć się w domu, stronić od ludzi. Mogłaś wpaść w gniew i mścić się na byłym mężu. Mogłaś na prawo i lewo rozpuszczać o nim i tej panience niestworzone historie. Nie zrobiłaś tego. Znosiłaś to z dumnie uniesioną głową, jak przystoi damie, którą jesteś. Nie zważałaś na plotki i pomówienia, pozostawiałaś je bez komentarza. Według mnie to jest godne najwyższego uznania.

Elizabeth znowu wzruszyła ramionami.

- Nie bądź dla mnie zbyt łaskawy. Zachowałam się tak, jak zwykle się zachowuję. To moja naturalna reakcja.

- No właśnie. O tym mówiłem.

Odczekał moment, jakby spodziewał się, że Elizabeth coś dopowie, jednak ona milczała.

- Wróćmy do wcześniejszego tematu. Jak mocno zostałaś poturbowana? Domyślałam się, że w szpitalu cię prześwietlili?

- Tak. Lekarz powiedział, że miałam szczęście, żadnego złamania. Zostałam tylko mocno obita. - Wzdrygnęła się. - Gdyby nie starsza pani, która złapała mnie za płaszcz i odciągnęła na bok, ten samochód dobrze by mnie walnął. Dzięki niej tylko odrzuciło mnie na chodnik. Upadłam na tę panią.

- Masz jej nazwisko? Chciałbym jej to wynagrodzić.

- Nie mam, ale policja na pewno ją spisała.

- To dobrze. - Sięgnął po notes elektroniczny i coś sobie zapisał. -  
Co powiedział ci lekarz? Dał jakieś zalecenia?

- Przez kilka dni mam odpoczywać, żeby biodro się wygoiło. Gdyby bardzo bolało, mam przykładać zimne kompresy i w razie potrzeby brać coś na uśmierzanie bólu.

Ktoś zastukał do drzwi.

- Cholera, zapomniałem. To pewnie ten policjant - Podniósł się. Elizabeth też zaczęła wstawać, lecz Max powstrzymał ją, kładąc jej rękę na ramieniu.

- Hola! Dokąd to się wybierasz?

- Porozmawiać z tym policjantem - odparła.

- O nie. Ty zostajesz tutaj.

- Ale...

- Elizabeth, nie przekonuj mnie, bo nic ci z tego nie przyjdzie. Lekarz kazał ci leżeć, żeby oszczędzać biodro. Dlatego zostaniesz w łóżku - dopowiedział tonem wykluczającym wszelki sprzeciw. – Jeśli pan Gertski zechce cię o coś zapytać, sprowadzę go tutaj. Ty musisz odpoczywać.

- Ale...

Ku jej zaskoczeniu, pochylił się i delikatnie pocałował jej usta, ucinając protesty.

Odsunął się nieco i szepnął:



- Nie ma żadnego „ale”. No już, spróbuj zasnąć.

- Dobrze - wyszeptała potulnie. Nie miała ani sił, ani chęci, by mu się przeciwstawiać. Zmęczenie i leki zrobiły swoje: czuła się tak bezwolna i senna, czuła się tak bezwolna i senna, że z trudem podnosiła powieki.

- To nie powinno długo potrwać. Gdy on już sobie pójdzie, zamówię coś do jedzenia. - Zatrzymał się na progu i obejrzał się na Elizabeth. - Właśnie, na co byś miała ochotę?

- Na coś małego. Sałatkę albo zupę.

- Dobrze.

Zamknął drzwi i ruszył do przedpokoju. Wyjrzał przez wizjer. Lekko łysiejący mężczyzna w średnim wieku rozglądał się po wystawnie urządzonej korytarzu. Max otworzył drzwi.

- Pan Gertski, jak się domyślam - zagaił.

- Tak Pan Riordan?

Max skinął głową.

- Proszę wejść. Żona już opowiedziała mi całą historię

- Jak ona się miewa?

- Jest porządnie poobijana, ale poza tym dobrze.

- Cieszę się. To wyjątkowa kobieta.

- Zgadza się. Proszę usiąść. - Max wskazał kanapę. Gdy obaj usiedli, zagadnął: - W jaki sposób mogę być panu pomocny?

- Przede wszystkim muszę wykluczyć pana

z kręgu podejrzanych, dlatego chciałbym zadać kilka pytań - rzekł policjant. - Mam nadzieję, że nie weźmie mi pan tego za złe.

- Nie, proszę pytać. Nie mam nic do ukrycia.

- Gdzie pan był dziś o pierwszej dwadzieścia pięć?

- Miałem spotkanie biznesowe. Był mój asystent Troy Ellerbee i finansista Lloyd Baxter. Byliśmy w siedzibie pana Baxtera w biurowcu Colfax.

- Rozumiem. Czy pan Baxter i pan Ellerbee potwierdzą pana obecność, jeśli ich zapytam?

- Oczywiście.

- Czy zlecił pan komuś, by zabił pana małżonkę?

Jeśli detektyw liczył, że tak postawione pytanie zbije Maksa z nóg, to srodze się zawiódł. Twarz Riordana nie zmieniła się ani na jotę.

- Nie. Nie zrobiłem tego. Na Boga, dopiero wczoraj wzięliśmy ślub.

- Słyszałem. Pana żona mnie o tym poinformowała. Czy przychodzi panu do głowy, komu mogło zależeć na zgładzeniu pana żony?

- Nie. Ci, którzy ją znają, są dla niej pełni podziwu.

- Aha. - Policjant przez chwilę coś rozważał.

- Chciałbym pana o coś zapytać - przerwał ciszę Max. - Czy zwykle poświęcacie tyle czasu tego typu sprawom? Przecież w Nowym Jorku codziennie zdarza się wiele znacznie bardziej makabrycznych przestępstw, dlaczego więc ten incydent wywołał zamieszania?

- Zaraz panu odpowiem. Oczywiście, że policja nie ma czasu i środków, by zajmować się wszystkimi wydarzeniami. Na razie ten przypadek klasyfikujemy jako wypadek, którego sprawca zbiegł. Jednak im więcej danych wychodzi na jaw, tym bardziej zaczyna to wyglądać na robotę na zlecenie.

- Max zmarszczył brwi.

- Na jakiej podstawie pan to mówi?

- Kierowca taksówki, która znajdowała się tuż za samochodem, spisał numery. Sprawdziliśmy, że te numery należą do niebieskiej furgonetki, która została skradziona dzisiaj rano w Queens. Kierowca sedana prawdopodobnie już zdążył je zmienić, więc nie ma co marzyć, by udało się trafić na jego ślad. To typowe zachowanie przestępców.

- Rozumiem - wymamrotał Max.

- Mamy zeznania czterech naocznych świadków. Wszyscy potwierdzają, że kierowca sedana czekał na odpowiedni moment, by ruszyć prosto na pana żonę. Stał z włączonym silnikiem, blokując ruch. Zdenerwowani kierowcy zaczęli na niego trąbić, to zwróciło uwagę przechodniów. Gdy pana żona zeszła z krawężnika, kierowca sedana pełnym gazem ruszył na nią.

Max pokręcił głową.

- Nic z tego nie pojmuję. Elizabeth jest powszechnie lubiana i szanowana. Nikt nie ma żadnego powodu, by chcieć ją uśmiercić.

Policjant przez chwilę milczał.

- Być może zaszła pomyłka - rzekł. - Świadkowie potwierdzają, że pana żona miała płaszcz z kapturem. Jej twarz była słabo widoczna. Może została wzięta za kogoś innego.

- Chyba tak musiało być. - Max odetchnął lżej. - Żadne inne wytłumaczenie nie wydaje mi logiczne.

- Pana żona była jedyną osobą, która widziała twarz napastnika. Mógłby przywieźć ją pan jutro na posterunek? Chciałbym, żeby przejrzała zdjęcia. Może go rozpozna.

- Oczywiście. Przyjedziemy.

Kiedy pan Gertski wyszedł, Max podszedł do okna i zapatrzył się w rozciągające się w dole miasto. Zaczynał sypać śnieg. Wielkie białe płatki wirowały w powietrzu. Do rana pewnie cały Nowy Jork będzie biały.

Czuł dziwny niepokój. Myśl, że w tym mieście krąży ktoś, kto nastaje na życie Elizabeth, nie była przyjemna. Z pewnością musiała zająć pomyłka. Nie ma innego wyjaśnienia.

Niespokojnie przemierzał salon od ściany do ściany, w zamyśleniu spoglądając na jarzące w ciemności światła miasta przesłonięte przejrzystym woalem śnieżnych płatków. Dziś nie widział w tym piękna. Czuł się spięty i podminowany.

Ożenił się z Elizabeth również dlatego, że wydawała się bardzo samodzielna. Był pewien, że sama zadba o siebie, że nie będzie

musiał w nic się angażować. Zresztą dzisiaj tak było. Przez cały dzień miał ją z głowy.

Jednak wkurzyło go, że do niego nie zadzwoniła. Czemu nie szukała u niego wsparcia i pomocy? Zdenerwowało go to jeszcze bardziej niż jej wyznanie, że nie czuła się do tego uprawniona.

Pokręcił głową. Niby wszystko dokładnie sobie zaplanował. To miało być spokojne, obustronnie korzystne małżeństwo. Zakładał, że przy odrobinie szczęścia z czasem pojawi się coś w rodzaju uczucia czy przywiązania. A wyszło na to, że już po pierwszym dniu chce ją bronić i chronić. Pięknie.

Zirytowany na siebie, ruszył do sypialni. Panował w niej półmrok, rozjaśniany jedynie światłem nocnej lampki. Elizabeth spała. Podszedł bliżej i wpatrywał się w nią w milczeniu. Kotłowało się w nim od emocji.

Wyglądała prześlicznie. Delikatna i piękna jak anioł, który spłynął na ziemski padół. Taka kobieta budzi w mężczyźnie najbardziej pierwotne, opiekuńcze instynkty. Widać on nie był pod tym względem wyjątkiem.

Na samą myśl, że ktoś mógłby wyrządzić jej krzywdę, ogarniały go mordercze uczucia. Na Boga, ktoś chce ją zabić?

Obudził ją szum podniesionych męskich głosów. Ziewnęła, usiadła na łóżku, odrzuciła w tył włosy i popatrzyła na zegarek. Wielkie

nieba! Nie miała pojęcia, że aż tak długo spała. Było po ósmej.

Jeszcze oszołomiona i nie całkiem rozbudzona popatrzyła na drzwi. To chyba Max spierał się o z Troyem.

Nie zamierzała się tym przejmować. Ostrożnie wyszła z łóżka. Ledwie stanęła na podłodze, zakręciło się jej w głowie. Na szczęście zdążyła się przytrzymać wezglowia.

Dotknęła ręką czoła. To te tabletki tak ją zmogły. Jak przez mgłę pamiętała wczorajszą rozmowę z Maksem. Pamiętała, że poszedł rozmawiać z policjantem, a później obudził ją i nakłonił, by zjadła zupy.

Nie pamiętała nic więcej. Od razu zasnęła.

Wykorzystała moment i poszła do łazienki. Prysznic postawił ją na nogi. Wysuszyła włosy, umalowała się, założyła brązowe tweedowe spodnie i kremowy golf. Do tego złote kolczyki, łańcuszek i bransoletka.

Z salonu nadal dobiegały głosy, lecz już nieco cichsze. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie odczekać, lecz szybko zrezygnowała. Przecież nie będzie w nieskończoność siedzieć w sypialni.

Kiedy stanęła na progu, mężczyźni umilkli.

- Elizabeth, dlaczego wstałaś? - zapytał Max. - Lekarz kazał ci się oszczędzać.

Troy zacisnął usta. Rzucił jej przelotne spojrze

- Dzień dobry - mruknął.

- Dzień           dobry           -           odpowiedziała           uprzejmie.

Popatrzyła na męża. - Lekarz kazał mi odpoczywać, ale to nie znaczy, że mam cały dzień leżeć w łóżku. Mogę to robić tutaj.

- Jak twoje biodro? - Max obserwował jej ruchy. - Utykasz.

- Bo jeszcze trochę mnie boli. - Usiadła w fotelu, wyciągnęła nogi na pufie.

- Wybieramy się z Troyem na krótkie spotkanie panem Baxterem. Wrócę w południe.

Troy zmarszczył czoło.

- Nie wydaje mi się, byśmy do tej pory się uwinęli.

Max posłał mu ostre spojrzenie. Już wiedziała, co oznacza: Max ledwie hamuje gniew.

- Wrócę w południe - powtórzył, piorunując Troya wzrokiem.

Troy nie odezwał się, ale Elizabeth widziała, że mocno zacisnęła szczęki. W milczeniu zbierał porozkładane papiery.

- Jak wrócę, zjemy lunch, a potem pojedziemy na policję - ciągnął Max. - Pan Gertski chciałby, żebyś przejrzała zdjęcia.

- Oto pożyteczne spędzanie czasu - mruknął pod nosem Troy. Cicho, ale tak, by Elizabeth dosłyszała.

- Mówiłeś coś? - warknął Max.

- Nie - odparł, wkładając papiery do teczki.

Kiedy szli do drzwi, chciała wstać, lecz Max położył rękę na jej ramieniu.

- Nie podnoś się. Zostań tutaj i odpocznij.

- Pochylił się i delikatnie ją pocałował. - W razie potrzeby dzwoń po obsługę hotelową, dobrze? Będę koło południa - powtórzył.

Gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły, oparła wygodnie głowę i zamknęła oczy. Wydawało się jej że nie minęła minuta, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

Jęknęła. Z trudem podniosła się z fotela i pokuśtykała do przedpokoju. Wspięła się na palce, wyjrzała przez wizjer i zamarła.

Bezwiednie przytknęła rękę do ust, odskoczyła w tył. W jej oczach malowało się przerażenie.

Stojący po drugiej stronie to człowiek, który siedział za kierownicą czarnego sedana!

Zastukał jeszcze raz. Elizabeth stała jak skamieniała. Naraz, ku jej przerażeniu, brzęknęła klamka. O Boże! On zamierza wyłamać zamek!

Gwałtownie nabrała powietrza i cofnęła się. Rozejrzała się wokół. Musi się schować. Ale gdzie?



## ROZDZIAŁ ÓSMY

Zjeżdżali już windą, gdy Max nagle przypomniał sobie, że zapomniał wziąć skorygowaną kalkulację kosztów.

- Troy, poczekaj na mnie - rzekł, kiedy winda zatrzymała się na parterze. - Wrócę na górę po dokument. Został w faksie.

- Dobrze - szorstko odparł Troy i wysiadł.

Max westchnął. Troy nadal nie pogodził się z jego ślubem i dawał temu wyraz. Rano nieźle się pokłócili, gdy Max oznajmił, że nie spotka się z Baxterem, bo zostaje z Elizabeth. Troy omal nie eksplodował. Był jego asystentem od ponad dziesięciu lat, ale jeszcze między nimi nie doszło do tak poważnej wymiany zdań jak dzisiaj.

- Pan w górę?

Skinął głową. Do windy wsiadła para. Wysiedli na czwartym piętrze. Max skinął im głową, wciąż pogrążony w myślach. Nie rozumiał, dlaczego Troy jest tak negatywnie nastawiony do Elizabeth. Nie znosi jej. Wcześniej tego nie widział, ale dziś rano to do niego dotarło. Troy posunął się nawet do tego, że oskarżył Elizabeth o wymyślenie historii z wypadkiem, a przynajmniej przejawienie go.

- Nie widzisz, że to jej kolejna zagrywka? – Troy niemal krzyczał. - Jeszcze jej mało, że wyszła za ciebie dla kasy! Takie są kobiety jej pokroju. Chce owinać cię wokół palca, żebyś skakał przy niej na dwóch łapkach.

- Kobiety jej pokroju? Jak mam to rozumieć? - Max ledwie hamował gniew.

- Rozpuszczone panienki z bogatych domów - odparował Troy. - Od małego mają wszystko podane na tacy. Nie ma takiej zachcianki, która nie zostanie spełniona. Wyrastają w przekonaniu, że wszystko kręci się wokół nich.

- Elizabeth nie jest taka.

- Aha - skrzywił się szyderczo. - Max, nie mam nic przeciwko Elizabeth, ale żona, jakakolwiek by nie była, zabiera czas. A sam mnie uczyłeś, że czas to pieniądz.

Przełknął to. Troy był pojętnym uczniem.

- Bo to prawda - rzekł. - Rzecz w tym, że mam więcej pieniędzy, niż zdołam wydać do końca życia, więc mogę pozwolić sobie na trochę czasu z żoną.

- I dlatego chcesz machnąć ręką na ten interes z Baxterem? – zaatakował Troy. – Ze względu na nią? Mimo że nawet policja twierdzi, że Elizabeth pewnie została wzięta za

kogoś innego?

Przyjęli kompromisowe rozwiązanie, przekłada-potkanie z panem Baxterem na dziesiątą.

Winda zatrzymała się na jego piętrze, Max wysiadł. Po kilku krokach skręcił w korytarz prowadzący do apartamentu. Jakiś mężczyzna szedł stamtąd do windy. Potężnie zbudowany, wysoki, z opuszczoną głową i postawionym kołnierzem.

Max zmierzył go uważnym spojrzeniem. Sam nie wiedział, co nagle go tak zaniepokoiło. Mijając się, skinęli sobie głowami. Niepokój Maksa jeszcze się wzmógł. Nie ufał ludziom, którzy unikali patrzenia w oczy.

Wszedł do apartamentu. Elizabeth nie było w salonie. Może położyła się do łóżka? To by znaczyło, że czuje się gorzej, niż się do tego przyznaje. Uchylił drzwi sypialni. Nie było jej tam.

- Elizabeth?

Zrobił krok do środka. Nagle kącikiem oka dostrzegł jakiś ruch. Odwrócił się. Elizabeth wychyliła się zza drzwi, trzymała w rękach ciężki kryształowy wazon. Zamierzyła się nim z całej siły. W ostatniej chwili Max zdążył zasłonić się ramieniem.

Jęknął z bólu.

- Elizabeth, co ty wyrabiasz! Omal nie złamałaś mi ręki!

- Max? - wychyliła się mocniej. Miała szeroko otwarte oczy, twarz bladą jak papier.

Odstawiła wazon i przywarła do męża. - Max! Och, Max! dzięki ci!

- Spokojnie, już dobrze. - Otoczył ją ramieniem, a ona przyłgnęła do niego mocno, zaciskając dłonie na jego koszuli. - Cała się trzęsiesz. Co się stało? Powiedz.

- On... on tu był. I chciał...

- Kto tu był?

- Ten... ten mężczyzna. Och, Max! – załkała, wtulając twarz w jego pierś.

- Uspokój się, już dobrze. O jakim mężczyźnie mówisz?

- To on był w tym czarnym samochodzie. Max zeszywniał.

- W tym, który chciał cię przejechać? -Elizabeth potrząsnęła głową, zapytał: - Jesteś pewna? Może to był pracownik hotelu?

- Nie. To on siedział za kierownicą samochodu. Jestem pewna. Nigdy nie zapomnę jego twarzy. On... zapukał do drzwi, zaraz po tym jak wyszliście. Wyjrzałam przez wizjer i zobaczyłam go. Przeraziłam się! Max, uwierz mi! To był on!

- Wierzę ci. Już dobrze, już nic ci nie grozi.

- Siedziałam cicho, a on zaczął majstrować przy zamku. Złapałam ten wazon i schowałam drzwiami. Nie wiedziałam, co jeszcze mogę zrobić.

Przypomniał sobie człowieka spotkanego chwilą na korytarzu.

- Czy to był wielki facet w czarnym skórzanym płaszczu? Typ napakowanego osiłka z byczym karkiem?

- Tak! - Cofnęła się, by popatrzeć mu w twarz. - Widziałeś go?

- Minąłem go w korytarzu. Pewnie się spłoszył, gdy usłyszał winę. Cholera, miałem dziwne przeczucie gdy tylko go ujrzałem. Teraz już wiem. Przecież ten korytarz prowadzi tylko do naszego apartamentu. Nikt nie ma powodu, by tędy chodzić.

- Jak on mnie tu znalazł? I dlaczego na mnie poluje?

- Nie wiem, ale się dowiem. - Chciał odsunąć ją od siebie, lecz wpiła się palcami w jego ramiona.

- Gdzie chcesz iść? Nie zostawiaj mnie!

- Nie denerwuj się, nigdzie nie idę. Muszę tylko zadzwonić w parę miejsc. Najpierw do Gertskiego. Może idź się położyć, będę obok.

- Nie! Chcę być koło ciebie!

Niepokoiliła go jej bladość. Byłoby lepiej, gdyby się położyła, ale w jej oczach malowało się takie przerażenie, że uległ.

- No dobrze - rzekł, biorąc ją na rękę i zanosząc na kanapę. Przysiadł obok niej i wziął ją za rękę. Czuł, jak drży.

Szybko uporał się z telefonami. Zadzwonił Gertskiego, Troya, kierownika hotelu, pilota i pana Baxtera. Ledwie skończył ostatnią rozmowę, rozległo się pukanie do drzwi.

Elizabeth aż podskoczyła.

- Spokojnie, to pewnie Troy. - Z trudem oswobodził rękę z jej uścisku, podszedł do drzwi i zerknął przez wizjer. Wpuścił Troya.

- Co znowu się stało? - wybuchnął asystent. - Chodźmy szybko, bo się spóźnimy.

- Już przełożyłem spotkanie z Baxterem. Czeka na ciebie o drugiej.

- Na mnie? A ty? - Posłał Elizabeth pogardliwe spojrzenie. - Wiedziałem, że nie powinienem puszczać cię na górę samego. Przekabaciła cię co. Cholera, Max...

- Zamknij się i posłuchaj. - Max pokrótce powiedział mu, co się stało.

- I ty w to wierzysz? - Troy nie krył sceptycyzmu. - Ktoś chciał się tu włamać i ją zabić?

- Do diabła, Troy, widziałem tego człowieka. Minałem go po wyjściu z windy.

- To, że kogoś widziałeś, jeszcze nic nie znaczy. To pewnie był jakiś gość.

- Tutaj? Ten korytarz prowadzi tylko do tego apartamentu, nie ma tu żadnych innych pokoi.

- Na to może być wiele wyjaśnień. Może pomylił drogę. To dzisiejsze spotkanie jest ważne. Jeśli przekonamy Baxtera, w przyszłym tygodniu ruszymy z kopyta.

- Wiem. Mnie też na tym zależy, ale Elizabeth jest moją żoną. Nie zostawię jej samej.

- Zapomnieliście, że ja tu jestem? - weszła im w słowo Elizabeth. - Nie chcę wam niczego komplikować. - Troy skrzywił się ironicznie, lecz nie zważała na to. - Mogę wrócić do Houston rejsowym samolotem - rzekła, choć na samą myśl o tym robiło się jej słabo.

- Nie - z miejsca odparł Max.

- Nie? Dlaczego? - skontrował Troy. - To najbardziej sensowne słowa, jakie tu padły. Wyślij ją do domu i bierzmy się do roboty.

Nim Max zdążył odpowiedzieć, znowu rozległo się pukanie. Oczy Elizabeth zaokrągliły się z przerażenia.

- Nie denerwuj się - Max przemówił do niej uspokajająco. - To pewnie kierownik hotelu. Wie o wszystkim. Miał przynieść rachunek i przyprowadzić panie, które nas spakują.

- Wyprowadzasz się? - Troy ledwie nad sobą wał. - No nie, Max. Czy ty nie przesadzasz?

- Nie. I liczę, że doprowadzisz sprawę z Baxterem do końca. Pamiętaj, żeby mieć wszystko na piśmie. Jak już będzie po wszystkim, zadzwoń na moją komórkę. Jeśli jeszcze będziemy na lotnisku, będziesz mógł zabrać się z nami. Jeśli nie, wrócisz rejsowym samolotem.

Troy otworzył usta, lecz Max uciszył go gestem dłoni.

- Ani słowa więcej. Klamka zapadła. - Nie spuszczać oka z Troya, podszedł do drzwi. - O drugiej masz być w biurze Baxtera.

Kierownik hotelu przedstawił przybyłego z nim szefa ochrony, a dwie pracownice od razu poszły do sypialni, by spakować bagaże. Po chwili w apartamencie pojawił się pan Gertski.

Max opowiedział mu, co się stało; oficer wszystko sobie spisał.

- Nie pojmuję, dlaczego ten człowiek chce mnie zabić - powiedziała Elizabeth, gdy Max skończył mówić. - I jak on mnie tutaj namierzył?

- Prawdopodobnie jechał za panią. Najpierw do szpitala, a potem do hotelu. Przekupił kogoś w recepcji, by zdobyć numer pokoju. Dlaczego na panią czyha, trudno teraz stwierdzić. Postaramy się tego dowiedzieć.

Podszedł do drzwi, przykucnął i zaczął oglądać klamkę i zamek. Wyjął miniaturową latarkę i świecił do otworu na kartę magnetyczną.

- Niech pan popatrzy - skinął na szefa ochrony.

- Widzę - mruknął pan Greer, zajrzawszy do otworu.

- Co jest? - zainteresował się Max.

- Ktoś próbował wyłamać zamek. Zostały ślady.

- Wystarczy - oznajmił Max. – Wyjeżdżamy stąd.

- Rozumiem, co pan czuje - rzekł policjant –Na pana miejscu zrobiłbym dokładnie to samo. Choć byłoby dla nas wielką pomocą, gdyby pana żona zechciała pofatygować się na posterunek i obejrzeć zdjęcia. Na razie poruszamy się jak we mgle.



- Czy jeśli kogoś rozpozna, będziecie mogli go aresztować?
- Hm... niestety nie. Musimy mieć mocne dowody, nim...
- Tak przypuszczałem. Przykro mi, panie Gertski, jednak ryzyko jest zbyt duże. Zabieram Elizabeth z tego miasta. I to już, nim temu szaleńcowi się poszczęści.

Mężczyzna siedzący w czarnym samochodzie uważnie obserwował wejście. Kiedy pod hotel podjechała luksusowa limuzyna, kilku pracowników, część z nich po cywilnemu, eskortowała obiekt do czekającego auta. Mężczyzna, którego zidentyfikowano jako męża obiektu, też wsiadł do środka. Za nimi zniknął niewysoki łysiejący mężczyzna w znoszonym płaszczu.

Obserwujący prychnął z pogardą. Ten ostatni to jak nic glina.

Gdy limuzyna ruszyła, czarny sedan trzymał się za nią, zachowując bezpieczną odległość. Kierowca sięgnął po komórkę, wybrał numer.

- Tu Angel - zaczął bez wstępów. - Zrobiłem podejścia, lecz obiekt miał farta. Chyba się wystraszyła, bo wygląda na to, że razem z mężem pryskają z miasta. Jadę za ich limuzyną. Kierują się w stronę lotniska.

- Co się wydarzyło?

- Już powiedziałem. Miała farta.

- To znaczy?

Angel zacisnął usta. Przeciągająca się cisza nabrzmiewała złowrogo. Nie lubił, gdy ktoś zadawał zbędne pytania. Tylko szef, Tony Voltura, miał do tego prawo. Angel milczał, zastanawiając się. W końcu zdecydował się zrobić wyjątek. Tylko dlatego, że szefowi zależało na tej robocie.

- Potrafiłem ją wczoraj samochodem. Gdyby nie jakaś wścibska staruszka, już byłoby po niej. Ta stara w ostatniej chwili odepchnęła ją na bok. Dostała, ale słabo. Wyglądało to na wypadek.

Rozmówca nic nie powiedział.

- Dzisiaj schowałem się na schodach w pobliżu jej pokoju. Odczekałem, aż jej mąż wyjdzie, i kilka razy zastukałem. Obiekt nie zareagował. Uznałem, że może jeszcze śpi. Zabrałem się za zamek. Już prawie skończyłem, gdy przyjechała winda. To ten jej mąż po coś wrócił. Szedł prosto na mnie. Musiałem się szybko zmyć, by się nie skapował, co ja tam robię. Obiekt musiał nabrać jakichś podejrzeń, bo zaraz zaroilo się od ludzi. Przybiegł kierownik hotelu, szef ochrony, gliny. Pewnie zobaczyła mnie przez wizjer. Teraz też jedzie z nimi gliniarz.

- Cholera! - zaklął klient. - To co dalej?

- Jest przestraszona, więc najlepiej będzie od- czekać jakiś czas, miesiąc czy coś w tym stylu. Niech uzna, że już nic jej nie grozi. Przez ten czas wykonam inne robótki. Ona ochłonie, poczuje się bezpieczna. Wtedy ja się zjawię.

- Tylko tyle? Nic lepszego nie jest pan w stanie zrobić?

Znowu zaległa głucha cisza. Ciężka od napięcia.

- Jeśli to panu nie odpowiada, proszę znaleźć sobie kogoś innego. -  
W głosie kierowcy zabrzmiała groźba. - Tak czy owak, pieniędzy nie zwrócę.

- Nie, nie - pośpiesznie zapewnił klient. - Źle manie pan zrozumiał. Po prostu zależy mi, by sprawa była załatwiona jak najszybciej. Pana sposób jest dobry. Ma pan rację. Po kilku tygodniach w Houston, Elizabeth uspokoi się i jej czujność osłabnie.

- Właśnie. - Angel skrzywił, tracąc z oczu limuzynę. - Odezwę się, nim ruszę do Houston.

Limuzyna zatrzymała się przed wyjątkowo niepozornym blokiem.

- Gdzie jesteśmy? Dlaczego stajemy? - Elizabeth z przestraszeniem popatrzyła za szybę.

Max położył rękę na jej kolanie.

- Nie denerwuj się. Zatrzymaliśmy się tylko na chwilę. Pan Gertski zostanie z tobą, ja zaraz wracam.

- Gdzie on poszedł? - dopytywała się Elizabeth, nie odrywając oczu od Maksa, kiedy wbiegał na schody domu.

- Tu mieszka ta starsza pani, która wczoraj wyciągnęła panią spod kół  
- wyjaśnił policjant. - Pani mąż chciał jej osobiście podziękować za to, co zrobiła. I hojnie wynagrodzić.

- Och, to super. - Zrobiło się jej ciepło na sercu.

- Należy się jej nagroda. Wczoraj wszystko stało się tak nagle. Nawet nie pamiętam jej dobrze. Sądząc tym domu, pieniądze się jej przydadzą. Mam nadzieję, że Max ich nie poskąpi. Policjant roześmiał się pogodnie.

- Niech się pani tym nie kłopotuje. Stałem obok, gdy pani mąż wypisywał czek. Niechcący widziałem sumę. Pani Phelps już nie będzie mieć żadnych problemów finansowych.

Max wyszedł z budynku, obok niego szła drobna, zaokrąglona pani. Przepasana fartuszkami, ramiona otulała podniszczoną szydełkową chustą. Machała i uśmiechała się szeroko.

Max otworzył drzwi limuzyny.

- Proszę, niech pani wejdzie. W środku będzie cieplej.

Starsza pani wsiadła. Buzia się jej nie zamykała

- O mój Boże! Jak tu pięknie! - Z rozanieloną miną rozglądała się po luksusowo wykończony wnętrzu pojazdu. Przesunęła zniszczoną dłonią po miękkiej tapicerce. - Och, to prawdziwa skóra! Czy to jest barenka? Ojej! Moje przyjaciółki nigdy mi uwierzą, że siedziałam w prawdziwej limuzynie!

- Pani Phelps chciała na własne oczy upewnić się, że nic ci nie jest - wyjaśnił Max, wsiadając.

- No pewnie! - podchwyciła starsza pani. -brali panią do szpitala tak szybko, że nawet zdążyłam dowiedzieć się, jak się pani nazywa. Myślałam, że nigdy pani nie spotkam. Naraz do moich drzwi dzwoni pani mąż i wręcza mi czek. I to na sumę, jakiej w życiu nie widziałam.

Elizabeth ujęła jej spracowane dłonie.

- Zasłużyła sobie pani na to. Nie wiem, jak mam pani dziękować. Gdyby nie pani, pewnie byłabym już na tamtym świecie. Do końca życia będę pani wdzięczna.

- A ja tobie, moje dziecko. I twojemu mężowi. Te pieniądze spadły mi jak z nieba. Dla kogoś, kto już jest stary i ledwie wiąże koniec z końcem, to prawdziwy dar losu. Niech Bóg was błogosławi.

Elizabeth obiecała, że odezwie się przy okazji następnego pobytu w Nowym Jorku. Gdy odjeżdżali, rozpromieniona pani Phelps stała na chodniku i machała im na pożegnanie.

Elizabeth położyła dłoń na ramieniu Maksa.

- To było bardzo miłe z twojej strony. Dziękuję.

- Dbam o swoje - odparł, wzruszając ramionami.

Samolot już na nich czekał, gotowy do startu.

Limuzyna podjechała aż pod trap.

Elizabeth znów ogarnęła panika. W samochodzie miała pozorne poczucie bezpieczeństwa. Bała się z niego wysiąść.

- Poczekaj - przykazał Max. Wysiadł wraz z policjantem. Podszedł do pilota. Rozmawiał z nim, rozglądając się czujnie. Podobnie zachowywał się Gertski. Pilot przestał się uśmiechać, też zaczął uważnie patrzeć na prawo i lewo.

Chyba w porządku - zawołał do Maksa Gertski.

Max otworzył drzwi limuzyny. Walcząc z paniką, Elizabeth przesunęła się do wyjścia. Max wziął ją na rękę.

- Mogę iść sama - zaprotestowała, lecz on nie słuchał. Wyciągając nogi, szybko ruszył do samolotu. Tuż obok szedł policjant, przez cały czas obserwując otoczenie.

Max wszedł na pokład i zaniósł Elizabeth do niewielkiej sypialni. Położył ją na łóżku.

- Pora się pożegnać - odezwał się Gertski. – Dam państwu znać, jeśli pojawią się jakieś nowe fakty. Ubolewam, że państwa podróż poślubna została zakłócona, ale teraz już będzie pani bezpieczna.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Odetchnęła lżej, gdy tylko znalazła się na pokładzie samolotu. A gdy po chwili samolot wzbił się powietrze, wreszcie poczuła się naprawdę bezpieczna.

Patrzyła na malejące w dole domy i ulice; po paru minutach miasto pozostało daleko. Zdjęła kozaczki i z westchnieniem umościła się na poduszkach. Zamknęła oczy. Nareszcie. Już nic jej nie grozi. Jest bezpieczna.

Kiedy samolot osiągnął wysokość przelotową, Max wszedł do sypialni.

- Jak się czujesz? - zapytał.
- Już dobrze - odparła z uśmiechem.
- Teraz sobie odpocznij. Wołaj, gdybyś czegoś potrzebowała.
- Max, moglibyśmy porozmawiać?

- Jasne. O czym?
- O kilku rzeczach.
- Dobrze. Od czego chcesz zacząć?

Uśmiechnęła się. Oto rzeczowy biznesmen. Wszystko według planu, po kolei. Zachęcająco klepnęła w materac.

- Usiądź, proszę. Chyba że masz coś pilnego do zrobienia.
- Nic takiego, co by nie mogło poczekać. –Już wcześniej zdjął płaszcz, marynarkę i krawat. Wypiął spinki, schował je do kieszeni i zaczął podwijać rękawy. Popatrzył na żonę. - No śmiało, strzelaj.
- Najpierw chciałam się dowiedzieć, jakie masz plany na przyszły tydzień.

- Dlaczego chcesz to wiedzieć? - Jego ton świadczył, że nie lubił być rozliczany ze swojego czasu.

- Spokojnie, nie zamierzam cię w żaden sposób ograniczać. Chcę jednak wywiązać się z tego, do czego się zobowiązałam. Dlatego muszę wiedzieć czy i kiedy będziesz dysponował czasem, jeśli zechcę zaplanować u nas jakieś spotkanie towarzyskie.

Przez długą chwilę patrzył na nią, milcząc.

- U nas, czyli w River Oaks lub w Mimosa Landing, tak?
- Och, przepraszam - stropiła się. - Z góry przyjął, że zamieszkamy u mnie. Może wolisz, byśmy zostali u ciebie? Pewnie powinniśmy ustalić to przed ślubem.

- Nie przejmuj się. Wolę zamieszkać u ciebie.
- To bardzo dobrze - ucieszyła się szczerze. - Przyznam się, że nie



mogłabym sprzedać rezydencji. Gladys i Dooley zostaliby bez pracy, nie mogę im tego zrobić.

Max popatrzył na nią przeciągle.

- Od dawna są u ciebie, prawda?

- Nie tylko u mnie. Pracowali jeszcze u moich rodziców, zaczęli jako młodzi ludzie, tuż po ślubie. Z domem w Houston są bardzo związani, uważają go za swój.

- To miłe. Masz rację, że ze względu na życie towarzyskie twój dom będzie lepszy niż moje mieszkanie. Co do moich zajęć, to już skontaktowałem się z sekretarką, by wszystko odwołała. Niech Troy podziela samodzielnie przez następne tygodnie. Pewnie dostanie zawału, ale trudno. Znamy się od lat, razem kończyliśmy studia, jednak podział zadań jest jasny. Płacę i wymagam. Nie zostawię cię samej, póki nie będziemy pewni, że nic ci nie grozi.

Te słowa były jak balsam na jej udręczoną duszę. Przepęłniła ją wdzięczność i poczucie ulgi.

- Dziękuję, nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy. Mam skrupuły, że odciągam cię od pracy, ale naprawdę czuję się pewniej, gdy jesteś przy mnie.

- Zdawałem sobie sprawę, że małżeństwo łączy z ograniczeniami. Byłem na to przygotowany.

Wiedziała, że nie powinna brać sobie tego do serca, jednak zrobiło się jej przykro. Max był człowiekiem honoru, nie cofał się przed odpowiedzialnością. Teraz też działał z poczucia obowiązku.

Popatrzyła swoje dłonie.

- Jednak tak czy inaczej doceniam twoje starania.

Cisza zaczęła się przeciągać. Elizabeth chrząknęła.

- Jak wiesz, pojutrze przypada Święto Dziękczynienia.

- Tak? Jakoś to do mnie nie dotarło. Elizabeth popatrzyła na niego z jawnym zdumieniem.

- Niemożliwe, żebyś o tym zapomniał.

- Byłem pochłonięty czym innym. Ale co to za problem?

- Problem jest taki, że to święto rodzinne. W mojej rodzinie zawsze obchodziliśmy je bardzo uroczyście. To tradycja.

- Możemy tak zrobić, nie ma sprawy.

- Rzecz w tym, że nikt się nas nie spodziewa. Więc nic nie jest zaplanowane.

- No to co? Zostały jeszcze dwa dni, zaplanuj coś.

Elizabeth popatrzyła na niego dziwnie.

- O co chodzi? Skoro nic nie jest zaplanowane, to trzeba pomyśleć i coś ustalić. Zadzwoń do Gladys, że przyjeżdżamy.

Elizabeth wzniosła oczy do nieba.

- Gladys i Dooley pojechali odwiedzić syna. Mają wolne. Może zadzwonię do Marty. Jeśli nie ma planów, spróbuję namówić ją, by przygotowała wszystko co trzeba, choć czasu jest nie za wiele.

- No i już. Dzwon do niej - rzekł Max. - Wyjął z kieszeni komórkę.

Uprzedź ją i swoją ciocię, że przyjedziemy na farmę w czwartek rano. Jutro mamy coś do załatwienia w Houston.

- Dobrze - przystała. - A twoja mama? Wróci do czwartku?

- Nie. Jej rejs skończy się dopiero w połowie stycznia.

- A co z Troyem? - Wiedziała, że nie darzy jej sympatią, jednak nie chciała go przekreślać.

- Troy ma rodzinę, ale słabo się dogadują. Zmuszę go, by zrobił sobie długi weekend i pojechał do nich. Troy jest pracoholikiem, jak ja. Będzie się stawiać, ale w końcu go złamię.

- Czyli będziemy my dwoje, Mimi i ciocia Talita. Mimi jest na farmie, została z Talitą, by dotrzymać jej towarzystwa, póki nie wrócimy.

- Elizabeth rozmawiała, Max zdjął buty i rozłożył się obok niej. Oparł głowę na ręce i przypatrywał się żonie.

- No i co? - zapytał, gdy się rozłączyła.

- Sam słyszałeś. Obruszyła się, gdy powiedziałam, że jej ekstra zapłacę. Uważa mnie i Talitę za rodzinę, ale nie da się namówić, by razem z nami zasiąść do stołu.

- Czyli sprawa załatwiona?

- Tak. Marta jest w siódmym niebie. Już widzę jak miota się po kuchni i spisuje sobie, co i kiedy zrobić.

Max przypatrywał się jej badawczo.

- Czemu tak na mnie patrzysz?

- Intrygujesz mnie. Ze wszystkimi swoimi pracownikami jesteś ta

zżyta?

- Czy ja wiem? Nie zastanawiałam się nad tym. Chyba tak.  
A dlaczego pytasz? Czy to źle?

- Nie, skądże znowu. Po prostu jestem zaskoczony. Codziennie dowiaduję się o tobie czegoś nowego - wymamrotał.

- I co? To ci burzy obraz? - zapytała.

- Trochę tak - przyznał.

Przez kilka minut nie odrywała od niego spojrzenia, w końcu uciekła wzrokiem.

- Czy będziesz miał czas w przyszłą sobotę? Van Cleavesowie zawsze wydają przyjęcie w pierwszą sobotę grudnia. To takie nieoficjalne rozpoczęcie sezonu zimowego. Jakiś tydzień temu dostałam zaproszenie.

- Tak? - skrzywił się w uśmiechu. – Hm, moje pewnie się zapodziało w poczcie.

- No wiesz, Van Cleavesowie to snoby pierwszej wody. - Elizabeth machnęła ręką. - Są w Teksasie dopiero od dwóch pokoleń, ale gdybyś ich posłuchał! Tak się sadzą, jakby ich przodkowie walczy w bitwie o Alamo. Mimi się śmieje, że tak zadzierają nosa, że byle deszcz może ich przytopić.

Max wygiął usta w uśmiechu.

- Ta twoja Mimi wali prawdę prosto z mostu.

- O naszym ślubie na pewno już jest głośno – ciągnęła Elizabeth.-

Dobrze się składa z tym przyjęciem. Doskonała okazja, byśmy po raz

pierwszy publicznie pokazali się razem.

- Myślisz, że do soboty wydobrejesz?

- Na pewno.

- W takim razie idziemy.

- No to jedno z głowy. - Zaczęła bawić się pierścionkiem. - Ale to dopiero początek. Teraz zasypią nas zaproszeniami. Zaczyna się sezon, a poza tym są ciekawi. Wiesz, jak to jest w tych kręgach. Każdy jest żądny plotek. Będą nas obserwować, oceniać każdy gest i każde słowo. Szukać czegoś, co da pretekst do obmawiania.

- Hm, o tym nie pomyślałam. Dzięki, że mnie uprzedziłaś. - Zamyślił się. - Więc musimy postarać się, by wyglądać na szczęśliwą parę.

- Czyli... nie chcesz, by prawdziwe powody naszego związku wyszły na jaw?

- To jest wyłącznie nasza sprawa.

Odetchnęła z ulgą. Bała się publicznego upokorzenia. Na szczęście to zostanie jej oszczędzone.

- Co do tych zaproszeń, to zdaję się na ciebie –podjął Max.- Sama zdecyduj, z których skorzystać. Znasz tych ludzi, wiesz, kto ma środki i byłby skłonny zainwestować. Daj mi tylko znać, kiedy mam wkroczyć do akcji.

- Dobrze – powiedziała.

- To co, wyczerpaliśmy temat?

- Chyba tak. Przynajmniej na razie.

- Jeśli czujesz się teraz na siłach, chciałbym pogadać o twoich inwestycjach. Mam kilka pomysłów, które chciałbym przekazać tobie i twojemu prawnikowi.

- Na przykład jakich?

- No więc...

Przez następną godzinę, wygodnie rozłożeni na łóżku, dyskutowali o ewentualnych modyfikacjach portfela Elizabeth. Max radził pozbyć się niektórych akcji, a pieniądze zainwestować w inny sposób. Opowiedział jej o projekcie, który lada moment mieli z Troyem sfinalizować. Zamierzali zrewitalizować zapuszczony teren w centrum Dallas i wybudować kompleks mieszkaniowo-usługowy: luksusowe mieszkania, ekskluzywne sklepy, parki, ścieżki do biegania, eleganckie biura. Wszystko z nastawieniem na młodych, dobrze zarabiających profesjonalistów i pary, które zamiast wychowywać dzieci, wolą maksymalnie korzystać z życia. Max już skupił połowę terenu.

- Ten projekt jest obciążony dużym ryzykiem, stopa zwrotu powinna być naprawdę wysoka. Dlatego ci to proponuję.

- Brzmi bardzo ciekawie.

- Super. W takim razie może zadzwoń do Fossbindera i spotkajmy się z nim jutro?

- Dobrze.

Rozmowa trwała ledwie chwilę.

- Jesteśmy umówieni na drugą - poinformował oddając Maksowi komórkę.

Cisza znowu zaczęła się przeciągać. Elizabeth dotknęła palcem blizny przecinającej prawą brew Maksa.

- Miałeś wypadek?

- Nie. To pamiątka mojej burzliwej młodości.

- Aha.

- Czemu pytasz? Ten widok cię odstręcza?

- Nie. Przeciwnie, ta blizna dodaje ci uroku. Na pewno przemawia do kobiet.

- Do ciebie też?

Uśmiechnęła się.

- Jeszcze nie wiem. To jak, powiesz mi, skąd ją masz?

- Byłem tuż po wojsku, jesienią miałem zacząć studia. Zatrudniłem się na platformie wiertniczej u brzegów Luizjany. Po dwutygodniowej szychcie zszedłem z kumplami na ląd i poszliśmy do lokalnej spelunki. No wiesz, napić się piwa, ewentualnie wyrwać jakąś laskę.

Elizabeth zarumieniła się raptownie, lecz Max mówił dalej:

- Miałem wtedy dwadzieścia dwa lata, hormony buzowały. Nie będę wdawać się w szczegóły. Usiadłem przy barze obok ładnej dziewczyny. Nie miałem pojęcia, że przed chwilą pokłóciła się ze swoim chłopakiem. Gość wyszedł do łazienki, żeby ochłonać. Wkurzył się, gdy wrócił i zobaczył ją ze mną.

Max zamyślił się.

- Byłem wyższy od niego. Liczyłem, że dam mu raz czy dwa i po sprawie,

tańczymy dalej. - Uśmiechnął się psotnie. - Nie jestem w tym najgorszy.

- Tak? - z trudem tłumiała uśmiech, bo oczami wyobraźni widziała go płasającego na parkiecie.

- Nie spodziewałem się, że ten gość będzie taki krewki. Rzucił się na mnie z butelką po piwie, którą wcześniej walnął o bar. Dostałem po twarzy. Gdyby nie moi kumple, pewnie bym się wykrwawił na śmierć.

- Niemożliwe. Naprawdę cię uderzył? W barze? Max popatrzył na jej zszokowaną twarz.

- Chyba nigdy w życiu nie byłaś w obskurnym barze dla menelików, co?

- Nie, raczej nie, ale...

- Tak myślałem. Uwierz mi, to zupełnie inny świat niż ten, w jakim się wychowałaś.

Na chwilę oboje zamilkli.

- Skoro mówimy o wypadkach, to jak tam biodro? - zagadnął Max.

- Coraz lepiej. Boli już tylko wtedy, gdy stoję.

- Tak?

Uniósł głowę i popatrzył na nią przenikliwie. Widziała ogniki rozpalające się w jego oczach. Teraz wszystko zależało od niej.

Wystarczyłoby kilka słów, by ugasić ten ogień. Poznała już Maksę. Pozostawi wybór w jej rękach.

Przez te kilka dni przekonała się, że mu na niej zależy. Być może jedynie dlatego, że sporo w nią zainwestował, może czuł się zobowiązany jako mąż, a może z natury był



opiekuńczy w stosunku do kobiet. Jeśli wymówi się zmęczeniem, Max da jej spokój.

Jego niebieskie oczy fascynowały ją. Patrzyła w nie i czuła, że wcale nie chce się wymawiać. Nie zastanawiała się dlaczego. Potrzebowała bezpieczeństwa, ciepła drugiej osoby, poczucia, że żyje, że ktoś jej pragnie. Może chciała okazać się dobrą żoną? Uśmiechnęła się.

- Uhm - wymamrotała miękko. - Gdy leżę, to nic nie boli.

- Na pewno? - Jego ton przybrał zmysłowe brzmienie, od którego poczuła na plecach przyjemne dreszcze.

Skinęła głową, milcząc. Bo nagle nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- Chyba powinienem zerknąć na ten siniec.

Delikatnie odsunął jej dłonie, odpiął guzik jej spodni i rozsunął suwak.

- Unieś się trochę - polecił, a ona posłusznie usłuchała.

Nawet się nie spostrzegła, jak stanął w nogach łóżka i pociągnął jej spodnie za nogawki. Chciała zaprotestować, lecz Max już przysiadł obok i ściągnął z niej sweter. Wylądował na podłodze, tuż obok spodni.

Instynktownie podciągnęła kolana pod brodę, skrzyżowała ramiona. Popatrzyła na niego z urazą.

- Nie musiałeś ściągać ze mnie swetra, żeby obejrzeć stłuczone biodro.

- Nie musiałem - potwierdził, uśmiechając się zmysłowo. Zręcznie zrzucił z siebie ubranie i wyciągnął się na łóżku obok Elizabeth. Przygarnął ją do siebie.

- Nie musisz niczego przede mną ukrywać, już wszystko widziałem - wymruczał, odciągając na boki jej ręce. - Obejrzyjmy ten siniak.

Łaskotało ją w żołądku. Czuła się nieswojo, wystawiona na jego spojrzenia, lecz on zdawał się tego nie zauważać. W każdym razie niczego po sobie nie pokazał.

Z posępną miną patrzył na wielką ciemnosiną plamę.

- Wygląda gorzej niż wczoraj. Na pewno cię nie boli?

- Siniak zawsze gorzej wygląda na drugi czy trzeci dzień.

- Boli? - zapytał, delikatnie przesuwając palcami.

- Tylko trochę - odparła.

Zaskoczył ją, bo niespodziewanie pochylił głowę i leciutko pocałował ją w środek sińca. Zadrżała, a on popatrzył na nią z uśmiechem.

Przesuwał ustami po brzegach sonej plamy, obsypując ją drobnymi pocałunkami. Z niedowierzaniem przyjrzał się cieniutkiej bieliźnie z granatowego jedwabiu i koronki.

- Nigdy bym się nie domyślił, że elegancka arystokratka nosi takie seksowne rzeczy.

Elizabeth zarumieniła się pod spojrzeniem jego błyszczących oczu.

- Co ty opowiadasz? To bardzo przyzwoita bielizna. To, że jest ładna, wcale nie znaczy, że jest seksowna.

- Zależy, kto ją zakłada. Na tobie jest bardzo sexy. - Nawet się nie spostrzegła, jak rozpiął zapięcie na przodzie biustonosza. Uśmiechnął się na widok jej krągłego biustu. - A tak jeszcze bardziej - wyszeptał zmienionym głosem.

Dotyk jego gorących ust oszalał ją, wprawiał w upojenie. Poddawała się jego pieszczotom, coraz bardziej zatracając się w tym, co się z nimi działo. Płonęła w jego ramionach. W pewnej chwili uniósł ją nad siebie.

- Max, co...

- Nie chcę cię urazić - wyszeptał, opuszczając ją powoli i rozkoszując się każdą sekundą, a kiedy, krzyknąwszy bezwiednie, upadła na jego pierś, przytulił ją do siebie i łagodnie gładził po plecach. - Dobrze? - zapytał miękko.

- Uhm - wydusiła i naraz szerzej otworzyła oczy. - A ty?

- O mnie się nie martw - zaśmiał się. - Przetoczył ją na plecy. Ujął w obie dłonie jej zaróżowioną twarz, uśmiechnął się figlarnie. - To był dopiero wstęp.

Instynktownie przywarła do niego, jej ciało znowu ożyło. Nie wiedziała, co się z nią dzieje, nie pojmowała, jak coś takiego jest możliwe. Jakby Max obudził w niej coś, o czym wcześniej nigdy nie wiedziała, wyzwolił ją. Świat znów eksplodował, a z jej

piersi wyrwał się cichy krzyk.

Oboje leżeli nieruchomo, z trudem łapiąc powietrze, słysząc w uszach szum tętniącej krwi.

- Chyba właśnie zakwalifikowaliśmy się do klubu podniebnych kochanków.

- Oboje? - zapytała, podnosząc brew.

- Uhm. Możesz mi nie wierzyć, ale jesteś pierwszą kobietą, którą wzięłem na pokład. Za Troya nie ręcę, być może miał kogoś do towarzystwa pod moją nieobecność. Ale dla mnie to naprawdę pierwszy raz.

- Ojej, zapomnieliśmy o Tomie! - Poderwała się, osłoniła ramionami piersi. Z przerażeniem popatrzył na Maksa. - Myślisz, że on coś słyszał? Że się domyśla?

Max zachichotał.

- Nie zachowywaliśmy się zbyt cicho.

Elizabeth jęknęła z rozpaczą, opadła na łóżko.

- O Boże, jak ja mu teraz spojrzę w oczy? Max przekręcił się na bok, odsunął jej rękę.

- Nie chowaj się przede mną - wyszeptał miękko - Jesteś moją żoną i chcę na ciebie patrzeć.

Przeniósł wzrok z jej piersi, uśmiechnął się.

- Tylko się z tobą droczyłem. Tom nic nie słyszał, huk silnika wszystko zagłusza. Zresztą on ma na uszach słuchawki.

- Na pewno?

- Raczej tak. Ale nawet jeśli coś słyszał, co z tego? Jesteśmy małżeństwem.

Elizabeth prychnęła gniewnie.

- Och, mówisz jak mężczyzna!

Jeśli nawet pilot coś słyszał, był zbyt dobrze wychowany, by to okazać. Max przeniósł Elizabeth do samochodu i ruszyli do rezydencji. Dotarli na miejsce, gdy było już ciemno. Widząc pogrążony w mroku dom, Elizabeth poczuła gęsią skórkę.

- Gdzie wszyscy się podziali? - spytał Max, zapalając żyrandol w holu.

- Mówiłam ci. Gladys i Dooley pojechali odwiedzić syna.

Pierwsza weszła na szerokie schody. Na górze skrzyła w prawo i ruszyła długim korytarzem. Zatrzymała się, nie dochodząc do zamykających go podwójnych drzwi.

- Tu jest mój pokój. - Otworzyła drzwi po prawej.

- Spodziewałem się, że będzie większy. Jak na sypialnię jest dosyć mały.

- To nie jest główna sypialnia - wyjaśniła. - Edward chciał spać oddzielnie. Zaraz po ślubie kazał przerobić tę część domu. Tu wcześniej był pokój niani, a ta garderoba to był pokoik dziecinny. Teraz łączy się z główną sypialnią, a po drugiej stronie jest moja łazienka.

Max podszedł bliżej i zajrzał do garderoby.

- Ogromna. Większa niż typowa sypialnia.

Elizabeth, przestępując z nogi na nogę, zastanawiała się, jak zręcznie poruszyć delikatny temat.

- Hm, jeśli wolisz wziąć sobie główną sypialnię to bardzo proszę. Mnie tutaj jest całkiem dobrze.

Max popatrzył na nią, powoli pokręcił głową.

- O nie. Jesteś moją żoną. Śpię z tobą. – Wszedł do garderoby, otworzył drzwi po drugiej stronie i popatrzył na główną sypialnię. Elizabeth poszła za nim.

- Bardzo ładna - stwierdził, podchodząc do rzeźbionego łóżka z baldachimem. Popatrzył na nocne szafki, lustro i komodę. Zajrzał do przestronnej łazienki, drugiej ogromnej garderoby i niewielkiego saloniku. - Edward potrafił o siebie zadbać. Jego pokoje są urządzone luksusowo i według najnowszej mody. Zajmują całe skrzydło.

Znowu popatrzył na Elizabeth.

- Ty powinnaś tu mieszkać.

- Czy... chcesz powiedzieć, że powinniśmy się tutaj przenieść?

- Jeszcze nie. Najpierw trzeba to będzie na nowo urządzić. To ma być nasza sypialnia.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Do Mimosa Landing Elizabeth i Max przyjechali tuż po dwunastej w południe. Jeszcze dobrze nie weszli do środka, a ciocia Talita, Mimi i zwykle cicha Marta obrzuciły ich pytaniami.

- Co się stało?

- Dlaczego wróciliście tak wcześnie?

- Ciociu, nic mi nie jest. Poczekajcie, dajcie nam się rozebrać - prosiła Elizabeth. - Zaraz wam wszystko opowiemy.

Wreszcie zasiedli w salonie przed płonącym kominkiem. Tylko Marta stała w drzwiach.

Była absolutnym przeciwieństwem wysokiej, szczupłej i surowej Gladys. Nieduża i zaokrąglona, była cicha i skromna.

Ciocia Talita popatrzyła na Elizabeth, stuknęła łaską.

- No już, mów.

Nie chciała jej denerwować, jednak najlepiej zrobi, niczego nie ukrywając. Lepsza prawda niż gdyby później przypadkiem coś jej się wymknęło.

Bagatelizując sprawę, opowiedziała, co się zdarzyło. Słuchaczki wpatrywały się w nią z zaszokowanymi minami.

- O Boże. - Talita położyła na sercu wysuszoną dłoń. - To straszne. Ten... ten potwór chciał cię rozjechać samochodem?

- Tak. Gdyby nie pani Phelps, już by mnie tutaj nie było.

- Daj mi jej adres. Muszę jej za to podziękować.

- Ten bandzior pewnie jechał za tobą i wyszedł gdzie mieszkasz. Potem zaczął się i czekał, aż Max wyjdzie. - Mimi wzdrygnęła się, potarła ramiona. - Aż mam gęsią skórę.

- Nie rozumiem - odezwała się Talita. - Kto mógłby chcieć twojej śmierci?

Teraz Max zabrał głos.

- Policja uważa, że to była pomyłka. Elizabeth została wzięta za kogoś innego. Ja też tak myślę, ale po tych dwóch zamachach na jej życie, postanowiłem jak najszybciej zabrać ją z Nowego Jorku. Moglibyśmy pojechać w podróż poślubną gdzieś indziej, ale Elizabeth wolała wrócić do domu.

- To oczywiste. Gdzie jej będzie lepiej? Dobrze zrobiłeś, chłopcze. Po takich przeżyciach powinna być z rodziną.



Starsza pani popatrzyła na Maksa z sympatią. Poklepała go po ramieniu.

- Bardzo się cieszę, że teraz Elizabeth ma przy sobie prawdziwego mężczyznę, który potrafi się nią zaopiekować. Nie to, co ten niemrawy Edward. Nigdy go nie lubiłam - dodała, na potwierdzenie tych słów stukając laską.

- Cóż przystojniaku - śpiewnie zamruczała Mimi, badawczo przypatrując się Maksowi. - Mam nadzieję, że jesteś dobry w łóżku, bo ten wasz miesiąc zaczął się fatalnie.

- Mimi zachowuj się - znużonym głosem skarciła ją Talita. Starsza pani była bardzo przybita.

- Chyba zadzwonił minutnik - wymamrotała Marta i wybiegła z salonu. Po chwili wróciła, oznajmiając, że jedzenie gotowe.

Podczas posiłku rozmowa ciągle krążyła wokół wydarzeń w Nowym Jorku. Elizabeth z każdą chwilą czuła się lepiej. Tutaj, na rodzinnej farmie, była bezpieczna. Wspomnienia stawały się coraz bardziej odległe, zresztą świadomie starała się zapomnieć. Pod koniec obiadu miała już dość roztrząsania tego tematu.

Po posiłku, wypominając sobie nadmierny apetyt, panie przeszły do obszernego pomieszczenia dobudowanego pół wieku temu na tyłach domu. Max dołączył do nich.

- Może oprowadzisz mnie po farmie? – zaproponował żonie, nim jeszcze zdążyła wygodnie się usadowić. – Nie wiem jak ty,

ale ja chętnie się poruszam po tym pysznym jedzeniu.

- Doskonały pomysł - podchwyciła. Nie chciała już dłużej wdawać się w spekulacje, z których nic nie wynikało. Poza tym cieszyła ją myśl, że pokaże mu swą ukochaną posiadłość.

- Mimi, pójdziesz z nami? – zaproponował.

- Kotku, żartujesz sobie? W tych szpilkach mam chodzić po polu? Nie ma mowy.

- Możesz założyć sportowe buty.

Mimi prychnęła mało wytwornie.

- Czy ja wyglądam na kobietę, która kiedykolwiek w życiu miała sportowe buty? No, odpowiedz mi.

Wzdychając teatralnie, osunęła się na kanapę i wyciągnęła wygodnie. Talita jak zwykle usiadła w swoim ulubionym bujaku.

- Idźcie już. - Mimi machnęła upierścienioną dłońią. - Szczerze mówiąc, bardzo nam pasuje, że sobie pójdziecie, bo Max jeszcze by chciał oglądać mecz. A my wolimy obejrzyć telesprzedaż. Tylko uważajcie na krowie placki.

- Jak sobie chcecie - zaśmiała się Elizabeth. Popatrzyła na Maksa. - Pójdę tylko się przebrać, zaraz wracam.

- Poczekaj, pójde z tobą. - Mimi płynnie poderwała się z kanapy. - Przynajmniej będziemy miały okazję chwilę pogadać.

Wyszły ramię w ramię. Mimi obejrzała się i puściła oko. Max, który odprowadzał je wzrokiem, pokiwał głową.

- Jak to się stało, że one są z sobą takie zżyte?

- Nie pasują do siebie, prawda? - Starsza pani wskazała Maksowi fotel. - Usiądź, a opowiem ci historię ich przyjaźni.

Talita zapatrzyła się w dal, jakby przenosząc się myślami w dawne czasy.

- Zanim przejdę do rzeczy, muszę przybliżyć ci dzieje naszej rodziny – zagała.

- Jasne. - Kiwnął głową. - Bardzo proszę.

Nie był przyzwyczajony do wolnego tempa, zwykle działał szybko. Jednak czuł, że Talita ma swój własny rytm i nic tego nie zmieni.

- Było nas troje rodzeństwa: Pierce, ja i moja Mariah. Pierce był od nas dużo starszy. Miałyśmy po pięć lat, gdy on już miał syna. Ransom, ojciec Elizabeth, zawsze był dla nas bardziej jak brat niż bratanek. Wyrósł na świetnego, atrakcyjnego młodzieńca - z uśmiechem ciągnęła Talita. - Miał niezłomny charakter i płynęła w nim krew dawnych osadników. - W jej oczach malowała się tęsknota za tamtymi czasami. - Kiedy ożenił się z Victorią Trent, cała rodzina była w siódmym niebie. Jakaż to była cudowna dziewczyna! - westchnęła Talita. - Uosobienie łagodnej kobiecości. Stanowili wspaniałą parę. On silny, zaradny, pewny siebie, ona delikatna, subtelna i piękna. Elizabeth odziedziczyła ich najlepsze cechy.

- Umilkła na chwilę. - Jak ona kochała rodziców! Zwłaszcza mamę. - Zamilkła. - Victoria umarła na raka piersi, gdy Elizabeth miała dziewięć lat. To był dla niej ogromny cios. Nie płakała, nie rozpaczała. Zamknęła się w sobie, dusiła w sobie ból.

Tuż przed śmiercią Victorii nasz sąsiad, Horace Whittington, ożenił się z Mimi. Mimi miała wtedy dziewiętnaście lat, on pięćdziesiąt dwa. Był od dawna wdowcem.

- No tak. Dziewczyna z nizin społecznych złowiła sobie bogatego sponsora. Mniej więcej tego się spodziewałem. Stroje i biżuteria to jeszcze nie wszystko, brak jej ogłady, jaką człowiek wynosi z bogatego domu. - Wiedział to po sobie. Bo jemu też tego brakowało.

Spochmurniał. Elizabeth też wyszła za niego dla pieniędzy. Wprawdzie dotąd nie widział tego w ten sposób, bo to on wyszedł z propozycją małżeństwa. Poza tym oboje na tym korzystali. I doskonale wiedzieli, na co się decydują. Biedny Horace pewnie nie miał pojęcia, na co poleciała jego Mimi.

- Cóż. Jak to mówią, stary, a głupi.

- Możesz tak to oceniać - rzekła Talita. - Początkowo ja też tak myślałam. Podobnie jak inni. Jednak szybko przejrzelśmy na oczy. Mimi miała trudne dzieciństwo. Wcześniej straciła rodziców, potem zajmowali się nią krewni. Nikt jej nie chciał, przez rok przechodziła z rąk do rąk. Trafiła do rodziny zastępczej, potem kolejnej. Wreszcie miała już tego dość.

Kiedy skończyła szesnaście lat, uciekła z domu. Zaczęła pracować jako tancerka. Wtedy poznała Horace'a. Myślę, że był pierwszą osobą, która naprawdę okazała jej serce. A Mimi odpłaciła mu tym samym. Pokochała go całą sobą. Przez ponad dwadzieścia lat byli naprawdę szczęśliwym małżeństwem. Strasznie przeżyła jego śmierć.

Mimi ma wielkie serce, jest dobra i uczciwa. Horace zobaczył to w niej, nie dał się zmylić pozorom. Tak samo było z Elizabeth. Dziecko instynktownie wyczuwa, jaki kto jest. Mimi doskonale rozumiała jej ból, widziała, jak rozpaczliwie mała tęskni za mamą. Kiedy Elizabeth nie mogła sobie poradzić, ukradkiem biegła przez dziurę w żywopłocie do Mimi. Nie musiała nic mówić. Mimi wystarczyło tylko spojrzeć na jej buzię, by rzucić zajęcia i wziąć ją w ramiona. Zawsze wiedziałam, gdzie jej szukać. Ileż razy zachodziłam do Mimi i znajdowałam Elizabeth u niej na kolanach. Kołysała ją i uspokajała.

Otrząsnęła się ze wspomnień, popatrzyła uważnie na Maksa.

- Do końca życia będę jej wdzięczna za to, że pomogła Elizabeth przetrwać ten trudny czas. Od tamtej pory stały się sobie bardzo bliskie. Z biegiem lat ich relacje się zmieniły. Elizabeth dorosła. Jednak przyjaźń na tym nie ucierpiała. Rzadko się zdarza dzień, by się nie widziały. Poza obowiązkową lekcją tańca, oczywiście.

- Lekcją tańca?

- Elizabeth miała dziewięć lat, gdy Mimi zaczęła uczyć ją tańca. Do dziś codziennie spotykają się rano, w studio na poddaszu u Mimi albo tutaj, nad dawną wozownią. Elizabeth urządziła tam specjalną salę. Obie uwielbiają taniec, a w ten sposób dbają o kondycję.

- Chciałbym to kiedyś zobaczyć.

- Może ci się uda, choć wątpię, bo Elizabeth nie lubi widowni. Tak czy inaczej, Mimi była dla nas darem niebios. I do dziś są z Elizabeth najlepszymi przyjaciółkami.

- Dziękuję, że pani mi to powiedziała. Teraz zaczynam rozumieć.

- Prawda, że to ciekawe, jak bardzo nasza ocena zależy od okoliczności i kontekstu? - Talita popatrzyła na niego przewrotnie.

- Owszem. Tak jest.

- Mogę coś poradzić?

- Oczywiście. - Czuł przez skórę, że Talita i tak powie, co ma do powiedzenia, niezależnie od jego przyzwolenia.

- Mądry mężczyzna nie będzie chciał popsuć tej przyjaźni.

Przez chwilę przetrwał w milczeniu te słowa. Skinął głową.

- Ma pani rację.

Kiedy podeszły do schodów, Mimi ścisnęła ramię przyjaciółki i przysunęła się bliżej.

- Już nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie zostaniemy sam na sam. No mów, jaki on jest? - spytała szeptem.

- Kto?

- Max. No wiesz... w łóżku.

- Mimi! Jak możesz o to pytać? Opanuj się.

- Nie wygłupiaj się. No więc?

- Nie ma mowy. Nie zamierzam dyskutować na ten temat.

Były już na górze. Elizabeth uwolniła się z uścisku przyjaciółki i szybko ruszyła do sypialni. Mimi biegła za nią, wysokie obcasy stuknęły w podłogę.

Elizabeth weszła do garderoby, odgarnęła włosy. Mimi bez prośzenia odpięła jej suwak sukienki.

- Skarbie, przecież jestem twoją najlepszą przyjaciółką, możesz mi zaufać. Nikomu nie pisnę słowa, obiecuję. - Podniosła rękę. Słowo skautki.

Elizabeth ściągnęła długą suknię, powiesiła ją na wieszaku. Zdjęła pantofle i rajstopy.

- Nigdy nie byłaś skautką.

- Niech ci będzie. No to najwyżej powiem Doreen - skrzywiła się zabawnie. - Ale tylko dlatego, że się założyłyśmy.

- Co takiego? - Elizabeth odwróciła się na pięcie. Miała na sobie niebieskie koronkowe majtki i biustonosz. - Zakładałaś się o takie rzeczy? No wiesz, Mimi, przesadziłaś.

- Nie rzucaj się, daj mi powiedzieć - zaczęła Mimi i nagle urwała w pół zdania. - O Boże! - Na jej twarzy odmalowało się przerażenie.

- Mówiłaś, że ten samochód tylko się o ciebie otarł, ale to wygląda okropnie. Na pewno strasznie cię boli.

Elizabeth popatrzyła po sobie. Siniec rzeczywiście robił wrażenie. Zielonofioletowy, na brzegach żółty.

- Nie, nie aż tak. Wiesz, że łatwo robią mi się siniaki.

- Byłaś u ortopedy? - Mimi ostrożnie dotknęła palcem sianej skóry.

- Nie, w Nowym Jorku zrobili mi prześwietlenie. Nic mi nie będzie.

- Założyła dzinsy, sięgnęła na półkę po rdzawy golf i wciągnęła go przez głowę. Przysiadła, by założyć skarpetki i buty, popatrzyła z ukosa na przyjaciółkę. - Nie zmieniaj tematu, nie dam się zwieść. O co chodzi z tym zakładem?

- Znasz Doreen - Mimi machnęła ręką. - Jest po kolejnym rozwodzie i szuka sobie faceta. Przez ostatni rok próbowała poderwać Maksa, ale nic jej z tego nie wyszło.

- Naprawdę? Jesteś pewna?

- Na sto procent. Gdyby się jej udało, to wszyscy by o tym wiedzieli. Znasz Doreen. Strasznie się wkurzyła, jak usłyszała, że za niego wyszłaś. Próbowała zachować twarz, mówiąc, że tylko sobie żartowała, jeśli chodzi o Maksa. Upierała się, że on pewnie wcale nie jest takim gorącym kochankiem. Miałam puścić to mimo uszu? No i od słowa do słowa... w końcu założyłyśmy się.



- Aha. A skąd będziecie wiedziały, która wygrała? - Elizabeth przeciągnęła szczotką po włosach i ruszyła do drzwi.

- Od ciebie - odparła Mimi. - Uwierzymy ci na słowo. Każdy wie, że nie kłamiesz. Więc sama widzisz. No, skarbie, powiedz.

- Nie.

- Nie bądź taka - jęknęła błagalnie.

- Przykro mi, ale nie zamierzam zwierzać się na temat mojego pożycia z mężem. Ani tobie, ani nikomu.

Ruszyła na schody. Mimi ściągnęła szpilki, z rozmachem rzuciła je na dół, a sama kurczowo uczepliła się ramienia Elizabeth.

- Proszę, powiedz mi. Jeśli nie mnie, to komu?

- No właśnie. To, jak mój mąż sprawdza się w łóżku, to nie jest temat do plotek. - Były już na dole. Elizabeth okręciła się w tył i ruszyła przed siebie.

- Och! Mój mąż. Ale to zabrzmiało! Czyżbyś mi o czymś nie powiedziała?

- Nie.

- Elizabeth, daj spokój. - Wyciągała nogi, by ją dogonić. - Jeśli nie chcesz zdradzić szczegółów, to nie ma sprawy. Zrozumiem.

- Co za wspaniałomyślność.

- To powiedz chociaż, ile mu dasz w skali od jednego do dziesięciu? Dziesięć to najlepszy wynik.

Elizabeth westchnęła ciężko.

- Nie dasz mi żyć, póki ci nie powiem, co?

Mimi uśmiechnęła się szeroko.

- Żebyś wiedziała.

Weszły do pokoju, Max powstał.

- Gotowa?

- Tak. Tam są kurtki i płaszcze, przydadzą się. - Pochyliła się i cmoknęła Talitę w policzek. - Będziemy za jakąś godzinę.

- Uhm. No dobrze, idźcie już. Miłego spaceru.

Elizabeth już miała się odwrócić. Zatrzymała się w pół ruchu, popatrzyła na przyjaciółkę.

- Mimi, chciałaś, żebym podała ci numer.

Mimi rozpromieniła się.

- Tak?

Elizabeth uśmiechnęła się szeroko.

- Dwanaście.

Mimi głośno wypuściła powietrze, wytrzeszczyła oczy.

- O Boże! Moje serce - wyszeptwała, wachlując się dłonią.

Max przypatrywał się temu ze zdziwioną miną.

- O co chodziło? - zapytał, gdy wreszcie wyszli.

- O nic takiego. Cała Mimi.

- Niezła jest, co? - rzekł.

- Tak. Mimi jest jedyna w swoim rodzaju - odparła żarliwie. Zimny powiew wiatru uderzył ich w twarze. Oboje podnieśli kołnierze. –  
Pójdziemy nad rzekę?

- Bardzo chętnie. Prowadź.

Obejrzała się przez ramię. Zabudowania farmy były na niewielkim wzniesieniu, niecałe dwa kilometry od drogi. Za domem teren łagodnie opadał i schodził do rzeki.

- Nasza ziemia dochodzi do rzeki Brazos, ciągnie się na północ i południe wzdłuż lewego brzegu. Dom jest mniej więcej na środku. Cały teren ma kształt nieregularnego prostokąta - mówiła Elizabeth. - Jest zbyt duży, by obejść go na piechotę. Truman Sawyer, nasz zarządca, i jego ludzie zwykle jeżdżą terenówką. Jak chcesz, możemy tak zrobić.

- Nie, wolę się przejść.

- Ja też.

Szli w milczeniu, trzymając ręce w kieszeniach. Wiatr szarpał włosami Elizabeth, lecz ona zdawała się wcale tego nie zauważać. Na jej twarzy malowały się spokój i radość.

- Już wiem, czemu tak kochasz te strony - rzekł Max, rozglądając się i przesuwając wzrokiem po lekko falującym terenie, na którym gdzieniegdzie ciemniały wiekowe dęby, orzechy i mimozy. - To piękne miejsce.

Doszli do rzeki i zatrzymali się przy chylącej się ku ruinie budowli stojącej tuż przy wysokim tutaj brzegu. Muliste wody toczyły się dobre siedem metrów niżej.

- Zbudował to jeszcze mój prapradziadek Asa - rzekła Elizabeth, wskazując na budynek wzniesiony z drewnianych bali. - W dawnych czasach farmerzy zwozili tutaj bawełnę, stad, już w belach,

wywożono ją dalej. Na początku dziewiętnastego wieku dopływały tu łopatkowce. Osadnikom nie było łatwo. W pierwszym okresie produkowali niewiele, sprzedawali głównie orzechy pekany i potaż. Potem doszło indygo, produkty z trzciny cukrowej. Z czasem zaczęliśmy wprowadzać inne rośliny, by nie wyjałowić ziemi.

Zamyśliła się, wspominając dawne dzieje.

- To było jeszcze przed wybudowaniem tamy koło Minerál Wells. Wraz z nią zmienił się poziom wody i dla dużych statków zrobiło się za płytko. Przedtem rzeka była wartka i głęboka, oba brzegi były porośnięte mimozami. Niektóre z nich przetrwały do dziś. To od nich farma wzięła swoją nazwę.

Pokazała ręką w dół.

- Zobacz, tam jeszcze są resztki dawnego pomostu.

Max pochylił się nad stromym brzegiem. W połowie odległości do lustra wody w ziemi tkwiły pozostałości drewnianej konstrukcji.

- To miejsce i twoja rodzina to spory kawał historii

- Tak - potwierdziła z dumą.

- Ile jest tutaj ziemi?

- Trochę ponad tysiąc dwieście hektarów. Prapradziadek Asa przybył w te strony na początku dziewiętnastego wieku. Najpierw miał dwieście czterdzieści hektarów. Stopniowo skupił sąsiednie ziemie od innych osadników, którym nie bardzo szło. Z czasem trzykrotnie powiększył swój teren. Gdy tu przyjechał zaczął od wybudowania

chaty z bali. Potem pojechał do Savannah po swoją ukochaną, Talitę Camille Brown.

Elizabeth podeszła do ogromnej mimozy, stanęła pod rozłożystymi gałęziami.

- Pobrali się wiosną 1830 roku dokładnie w tym miejscu, ślubu udzielił im wędrowny pastor. Wszystko wtedy kwitło.

- Wiosną musi tu być naprawdę pięknie - rzekł Max, rozglądając się wokół.

- Tak. - Podeszła do niego, zapatrzyła się na rzekę. - Od 1833 do kwietnia 1836 Asa służył w armii teksańskiej. Został ranny pod San Jacinto.

- W ostatniej bitwie? - Max pokręcił głową. - Niefart.

- Na szczęście przeżył. Za zasługi na froncie dostał czterysta hektarów urodzajnej ziemi graniczącej z jego terenem.

Max gwizdnął cicho.

- Niezły kawałek gruntu. Nadal go macie?

- Tak. Nigdy nie sprzedaliśmy ani centymetra naszej ziemi.

- Domyślam się, że ty też tego nie zrobisz?

- Dobrze się domyślasz - potwierdziła z żarem. - Nigdy i za nic. Nawet gdybym musiała zacząć pracować jako kelnerka.

Już miał wybuchnąć śmiechem, lecz w ostatniej chwili się pohamował. Elizabeth była śmiertelnie poważna.

Popatrzył na jej profil. Była gotowa na wszystko. Łącznie z wyjściem za mnie, pomyślał.

Nie wiedział dlaczego, jednak ta myśl nie była mu miła.

Ruszyli wzdłuż rzeki, po jakimś czasie zawrócili w stronę domu. Dochodzili do zabudowań, gdy Elizabeth zwróciła mu uwagę na starą chałupę z bali.

- Te chatę zbudował Asa, tu mieszkali. Widzisz tę szopę nad strumykiem? Kiedyś, gdy nie było lodówek, tam przechowywano jedzenie. Woda przepływa dołem, dzięki temu temperatura jest stała.

- A to co? - Max wskazał na dziwne urządzenie stojące wewnątrz wydeptanego w ziemi koła.

- To stara prasa do trzciny cukrowej. Do tego drąga zaprzęgano muły lub woły, tak ją napędzano. Trzcina, wrzucona do pojemnika, przechodziła przez prasę. Tak uzyskiwano sok. Przez lata zwierzęta wydeptały tę ścieżkę.

- Niesamowite - wymruczał Max, podchodząc bliżej i z zainteresowaniem przyglądając się prasie.

- Tamten budynek to wędzarnia – rzekła Elizabeth.

- A ten, to pewnie stara wozownia. To tam urządziłaś sobie salę do tańców.

- Talita ci powiedziała?

- Uhm. Chętnie bym kiedyś popatrzył, jak sobie obie z Mimi ćwiczyście.

- O nie, nie ma mowy.

- Zobaczymy - zbył ją.

Oprowadziła go po oborze, pokazała wiatę, gdzie stały maszyny rolnicze. To też go zainteresowało.

- Wygląda na całkiem nową. - Przesunął palcami po jaskrawożółtej blasze. - Co to jest?

- Kombajn zbożowy. Jest nowy, dostarczono go w poniedziałek. Truman nie może się doczekać, kiedy go wypróbuje. Kocha ten kombajn niemal jak własne dzieci - dokończyła ze śmiechem.

Pokazała Maksowi stojące w głębi inne maszyny, a w końcu wspięła się do kabiny potężnego traktora.

- To też nowość - rzekła, sadowiąc się w fotelu. - Teraz na własne oczy widzisz, na co poszły twoje pieniądze.

Max mruknął coś, wspiął się na traktor i usiadła obok niej.

- Wygląda pierwsza klasa. To dobrze. Jestem za tym, by kupować rzeczy dobrej jakości.

- Truman będzie cię wielbić - zaśmiała się Elizabeth.

- Myślisz, że pozwoli mi kiedyś przejechać się tą ślicznotką?

- No nie wiem - droczyła się, zerkając na niego z ukosa. Truman jest bardzo czuły na punkcie tych maszyn.

- Chyba będę musiał jakoś przeciągnąć go na swoją stronę.

- Łatwo ci nie pójdzie. Najpierw musi się do ciebie przekonać. Ale jak to się stanie, to da się za ciebie pokroić.

Wyszli z obory, zatrzymali się. Na wybiegu sprężystym klusem biegał piękny źrebak. Elizabeth oparła się o drewniane ogrodzenie, stanęła na dolnej żerdzi. Jej twarz znalazła się na wysokości twarzy Maksa.

- Widzę, dlaczego tak ci tu dobrze. Mnie też tu się podoba, ale dojeżdżanie z Houston zabrałoby zbyt dużo czasu. Co powiesz, gdybym zbudował tu lądowisko dla helikoptera? Wtedy z lotniska byłbym w kilka minut.

- Nie ma sprawy. Ale na twoim miejscu spytałabym najpierw Trumana, gdzie jego zdaniem najlepiej to zrobić.

- Dobry pomysł.

- Tom ma licencję na helikopter?

- On nie, ale ja mam. Z lotniska będę przylatywać sam.

- Sam? Ale... czy to nie jest ryzykowne?

- Nie denerwuj się. Latałem helikopterem w wojsku. Stale odnawiam licencję.

W drodze do domu zerkał na Elizabeth ukradkiem. Wyglądała zupełnie inaczej. Była rozluźniona, zadowolona, ożywiona.

Od chłodu miała zaróżowione policzki, potargane od wiatru włosy. Oczy jej błyszczały, a uśmiech błędzący po twarzy nadawał jej tajemniczy wygląd Mony Lisy. Jakby dobrze wiedziała, co jest w życiu najbardziej istotne.

- Kochasz tę farmę, prawda?



- Tak, to dla mnie najlepsze miejsce pod słońcem.

- W takim razie czemu nie sprzedasz domu Houston i nie przeniesiesz się tutaj?

- Jest kilka powodów. Tamten dom był nam zawsze potrzebny, bycie w Houston ułatwiało prowadzenie interesów. Stał się naszą rodzową siedzibą, tak jak ta farma. Dla mnie jest ważny z jeszcze innego powodu: tuż obok mam Mimi. - Schyliła się, zerwała liść i przesuwiała go w palcach. - Poza tym muszę myśleć o Gladys i Dooleju.

Przyglądał się jej z ukosa. Jakże się mylił w jej wcześniejszej ocenie!

Zaproponował jej ten układ, wiedząc, w jak trudnej jest sytuacji finansowej. Był wtedy przekonany, że Elizabeth nie chce sprzedać farmy, bo boi się utracić twarz.

Mimosa Landing zawsze była symbolem bogactwa Stantonów, wyznacznikiem ich pozycji społecznej.

Był pewien, że przyjmie jego propozycję. Przyzwyczajona do życia w luksusie, zrobi wszystko, żeby nie zrezygnować z dotychczasowego stylu życia.

Bardzo się pomylił. I to nie dawało mu teraz spokoju.

Widział po jej oczach, jak mało znaczyły dla niej pieniądze. Najważniejsza była ta farma i ziemia. I ludzie, których kochała.

Wychodzi na to, że ślepym zrządzeniem losu wziął sobie za żonę niesamowitą kobietę.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Ciotka Talita była zagorzałą miłośniczką brydża i każdą nowo poznaną osobę od razu zagadywała, czy umie grać. Maksowi również nie przepuściła.

- Owszem, kiedyś grywałem. Rodzice mnie nauczyli. Na platformach wiertniczych to była jedna z niewielu rozrywek. Grałem też trochę, gdy byłem studentem.

- Wiedziałam! - triumfalnie oznajmiła Talita, stukając laską w podłogę. - Taki bystrzak musi umieć grać w brydża. Przy brydżu trzeba myśleć, wybierać skuteczną strategię. Będziemy grać razem - oznajmiła. - Elizabeth, daj karty.

- Mogę rozczarować - uprzedził Max. – Od lat nie grałem.

- Bzdura. To jak jazda na rowerze. Jak raz się nauczysz, to już nie zapomnisz.

Jak zwykle Talita miała rację.

Grali do dziesiątej wieczorem. Max i Talita stanowili zgrany duet, wygrywali wszystkie robry. Było późno, gdy wreszcie rozeszli się do swoich sypialni.

- Dzięki, że byłeś taki miły dla mojej cioci -powiedziała Elizabeth, siedząc przy toaletce.

- Nie ma sprawy - odparł, rozbierając się. - Lubię Talitę. Zresztą sam dobrze się bawiłem. Już zapomniałem, jak przyjemny może być brydż. Od co najmniej dziesięciu lat mam niewiele czasu na rozrywkę.

- To niedobrze. Ciągłe się słyszy, że nie należy przesadzać z pracą, że trzeba mieć trochę oddechu. A ty świetnie grasz.

- Ty i Mimi również. Zaskoczyła mnie, naprawdę. Nie spodziewałem się, że w ogóle gra.

- Talita nauczyła ją dawno temu, tak jak mnie. Uważaj z oceną Mimi, bo pozory mylą. To bardzo inteligentna osoba.

- Zaczynam to widzieć. - Zdjął koszulę, wrzucił ją do kosza na bieliznę stojącego w garderobie. - Poza tym zorientowałem się, że lepiej mieć Talitę po swojej stronie, jeśli chcę, by jej bratanica była szczęśliwa.

- To prawda. - Pochwyciła jego spojrzenie w lustrze. - Ale i tak dziękuję.

Max zbył podziękowania wzruszeniem ramion.

- Tutaj nie ma oddzielnych sypialni – zagał.

- Nie były potrzebne - odparła. - Edward nie lubił tu przyjeżdżać, rzadko bywał na farmie.

- Co za idiota - mruknął Max.

Patrzyła, jak idzie w jej stronę. Miał na sobie tylko czerwone slipki. Wyglądał fantastycznie. Mocno zbudowany, wysportowany, wspaniale umięśniony. Zatrzymał się obok niej, położył dłonie na barkach Elizabeth i zaczął je masować.

Po chwili podciągnął ją w górę, obrócił ku sobie i przytulił mocno. Oczy mu błyszczały.

Obejmując ją, niemal tanecznym krokiem pociągnął w stronę łóżka. Krzyknęła cicho, gdy oboje upadli na miękki materac.

- Chcesz mi podziękować? - wyszeptał Max obsypując pocałunkami jej szyję.

Elizabeth przymknęła oczy, rozkoszując się słodką pieśczołą, poddając się fali zalewających emocji.

- Dotknij mnie - wyszeptał chrapliwie. - Chcę cię pocać.

Nie dała się prosić. Jego gorące dłonie błędziły po jej ciele i jeszcze jak przez mgłę zdążyła pomyśleć, że w tej skali od jednego do dziesięciu Max zasłużył sobie na piętnastkę.

Przez resztę weekendu wieczorami codziennie grali w brydża, a potem, gdy zamykały się za nimi drzwi sypialni, cieszyli się sobą i swoją bliskością. Max był gorącym i namiętym kochankiem, Elizabeth topniała w jego ramionach.

Początkowo była tym skrępowana, dręczyły

ją wyrzuty sumienia. Nie mogła pojąć, jak to się dzieje, że czyni to z taką radością i żarem, bo przecież Max jest niemal obcym człowiekiem. Jednak poczucie winy szybko ją opuściło. Dlaczego odmawiać sobie przyjemności, przecież też ma prawo do szczęścia. Poprzednie małżeństwo pod tym względem nie było udane. Wspólne noce z Edwardem zdarzały się rzadko i nigdy nie czuła takiego uniesienia jak teraz. Czemu więc nie cieszyć się chwilą?

- Jaka szkoda, że już wyjeżdżasz - z żalem rzekła Elizabeth, obejmując przyjaciółkę.

- Niestety, muszę. Dziś jest poniedziałek, a ja mam mnóstwo spraw do załatwienia. Manikiurzystka, kosmetyczka, masaż. Chcę też położyć farbę na odrosty, żeby dobrze wypaść na przyjęciu u Van Cleavesów.

- Może chcesz pojechać do nich z nami?

- Dzięki, już się umówiłam z Dexterem Campbellem. Jest świeżo po trzecim rozwodzie i aż go roznosi. Boję się, co będzie, gdy mnie odwiezie. Pewnie wyciągnę pistolet, gdy zacznie się do mnie przystawać. No ale przynajmniej będę miała obstawę na przyjęciu.

- W razie jakichś problemów śmiało dzwoń do nas, dobrze?

Do środka wszedł Truman, wnosząc ze sobą powiew zimnego powietrza. Nie patrząc na nikogo, w milczeniu schylił się po walizki Mimi i wyszedł.

Mimi uśmiechnęła się.

- Jak można nie lubić takiego milczka?

- On odpada. Nie jest w pani typie.

Elizabeth i Mimi odwróciły się jednocześnie. Troy już zamykał drzwi. Elegancko ubrany, z teczką w rękę. Szykowny biznesmen w każdym calu. Chłodno skinął głową Elizabeth.

Mimi, której nigdy nie brakowało języka w gębie wzięła się pod boki i popatrzyła na niego szyderczo.

- A jaki jest mój typ, panie Ellerbee?

- Bogaty i stary.

Zszokowana Elizabeth głośno wciągnęła powietrze, ale Mimi nawet nie mrugnęła okiem.

- Aha. Cóż, to tylko świadczy, jak bardzo się pan myli. Dzięki mężowi jestem zabezpieczona do końca życia. Jeśli teraz zacznę rozglądać się za kimś, to raczej za młodym wysportowanym facetem, który będzie mógł mi dorównać.

Ruszyła do drzwi. Mijając Troya, pacnęła go w pierś.

-Uważaj, misiaczku. Bo może padnie na ciebie.

Kiedy drzwi się za nią zamknęły, Elizabeth odwróciła się do Troya.

- Panie Ellerbee, swoje opinie proszę zachować dla siebie. Nie życzę sobie, by w moim domu obrażał pan moich gości, zwłaszcza moją przyjaciółkę. Czy to dla pana jasne?

- Jak najbardziej. Jeśli już pani skończyła tę przemowę, to przyjechałem do Maksa.

- Chyba nie spodziewał się pana. Jest na terenie. - Wskazała na salon.  
- Proszę poczekać, wyślę po niego Trumana.

Nie czekając na odpowiedź, ruszyła w głąb domu i przez kuchnię wyszła na dwór. Poprosiła Trumana, by znalazł Maksa i przekazał, że ma gościa.

Talita, jeszcze w szlafroku, swoim zwyczajem siedziała przy kuchennym stole, popijając kawę i przeglądając gazetę.

Elizabeth zatrzymała się i z żalem popatrzyła na kuchenne schody. Najchętniej poszłaby na górę, unikając spotkania z tym nieprzyjemnym człowiekiem. Jednak była zbyt dobrze wychowana.

Mamrocząc do siebie, zaczęła zastawiać tacę do kawy. Szczękały wyciągane filiżanki.

Starsza pani zerknęła znad gazety.

- Może w czymś pomóc? - zaofiarowała się Marta.

- Nie, dziękuję, dam sobie radę.

Gospodyni popatrzyła na Talitę, lecz ta leciutko pokręciła głową. Marta znów zabrała się za sortowanie prania.

Troy przynajmniej na tyle się znalazł, że wstał, gdy Elizabeth weszła do salonu.

- Truman już poszedł poszukać Maksa. Powinien niedługo tu się pojawić. - Usiadła na kanapie, Troy usiadł w fotelu.

- Jaką podać kawę?

- Czarną. Ale nie musi się pani fatygować.

- Wiem o tym. - Podała mu filiżankę, drugą nalała sobie.

Zapadła cisza. Oboje starali się na siebie nie patrzeć. Wreszcie Elizabeth miała już tego dosyć.

- Nie lubi pan mnie, prawda?

- Nie - odparł, nawet nie siląc się na dyplomację.

- Hm... - Upiła łyk kawy. - Dlaczego? Przecież pan prawie mnie nie zna. Co pana tak do mnie zraża?

- Zaczniemy od tego, że wyszła pani za Maksa dla pieniędzy. On zasługuje na więcej.

- Aha. - Zacisnęła usta, koniuszkiem palca przesunęła po brzeжку filiżanki. - Chyba ma pan rację. Jednak pozwoli pan, że coś przypomnę. To Max wyszedł z tą propozycją. Ożenił się ze mną ze względu na moją pozycję społeczną. - Nie miałam zamiaru wspominać o innych, najbardziej osobistych aspektach. - Może pan w to nie wierzyć, lecz ja również zasługuję na coś więcej.

- Możliwe. Druga rzecz, to za bardzo go pani absorbuje. Powinien być teraz w biurze, prowadzić negocjacje, a gdzie on jest? Pewnie przechadza się po oborze. Na Boga! Dopóki się nie ożenił, to w życiu nie był w oborze.

Już miała odpowiedzieć, gdy w korytarzu rozległy się kroki i do salonu wszedł Max. Miał zaróżowione od chłodnego powietrza policzki, radość i zadowolenie aż od niego biły.

- Troy, co za niespodzianka! Co cię tu przyniosło? Coś ważnego?



- Mam dokumenty do podpisu. Jest też kilka rzeczy, które chciałbym z tobą omówić.

- Nie ma sprawy. Wezmę tylko kawę i idziemy do gabinetu. - Wziął filiżankę, gestem zaprosił, by Troy szedł za nim. Na progu zatrzymał się i popatrzył na żonę - Przyglądałem się, jak pies Trumana przegania bydło na drugie pastwisko. Coś niesamowitego! Powinnaś pójść popatrzeć.

Widziała to setki razy, lecz rozbawił ją jego entuzjazm.

- Pójdę.

Max zamknął się z Troyem w gabinecie. Co i raz słyhać było dochodzące stamtąd podniesione głosy, lecz o czym mówili, pozostało tajemnicą. Kiedy po dobrych kilku godzinach wyszli, Troy miał posępną minę.

Elizabeth poczuwała się do zaproszenia Troya, by został na lunch, jednak on, ku jej uldze, odmówił.

Zostali w Mimosa Landing dziewięć dni, aż do soboty, kiedy to miało się odbyć przyjęcie Van Cleavesów.

Talita choć zaproszona, została na farmie. Nie miała już tyle energii co dawniej, poza tym nie znosiła Cleavesów.

Kiedy ruszyli, Elizabeth przez długi czas oglądała się za siebie. Rzadko się zdarzało, by zostawiała Talitę.

- Nie martw się - uspokajał ją Max. - Marta

i Truman mają nasze numery. W razie czego dadzą nam znać.

- Wiem. Tylko że Talita tyle dla mnie znaczy. A widzę, że siły ją opuszczają.

- Chyba lepiej jej tego nie mów - zachichotał Max.

Odpowiedziała śmiechem. Milczenie, jakie po chwili zapadło, nie ciążyło im.

- Czujesz się pewniej? - przerwał ciszę Max, zerkając na Elizabeth z ukosa. - Z Nowego Jorku wyjechaliśmy dziesięć dni temu. Przez ten czas nic niepokojącego się nie wydarzyło.

- Powiem szczerze, że odkąd przyjechaliśmy na farmę, w ogóle się nad tym nie zastanawiałam. Ale skoro już o tym wspomniałeś, to myślę, że ten Gertski miał rację. Ten bandzior musiał mnie z kimś pomylić.

- Na to wygląda. - Max skinął głową.

- Przykro mi tylko, gdy pomyślę, że w Nowym Jorku jest podobna do mnie kobieta, która nie wie, że na nią polują.

Z farmy do Houston była mniej więcej godzina drogi. Przejeżdżali przez niewielkie miasteczko, gdy zadzwoniła komórka. Elizabeth pospiesznie wyjęła telefon z torebki.

- Witaj, skarbie - zaczęła Mimi. – Przepraszam, że przeszkadzam, ale dowiedziałam się czegoś i koniecznie muszę ci o tym powiedzieć. Tylko się nie załam. Podobno Natalie rozstała się z Edwardem.

I wybiera się na dzisiejszą imprezę. Chciałam cię uprzedzić, w razie gdybyś zmieniła zdanie.

- O nie. Na pewno będziemy.

- To mi się podoba! - pochwaliła Mimi. – Wejdź z dumnie podniesioną głową, pod rękę z twoim seksownym mężem i pokaż jej, że ona nic dla ciebie nie znaczy.

Elizabeth roześmiała się. Mimi umiała być obrazowa.

- Spotkamy się wieczorem.

- Co się stało? - spytał Max, gdy skończyła rozmowę.

Mimi chciała mnie ostrzec. Natalie wróciła. Bez Edwarda.

Kącikiem oka widziała, że Max przypatruje się jej uważnie. Czuła na sobie jego badawcze spojrzenie.

- Jeśli wolisz uniknąć konfrontacji, możemy zawrócić na farmę. Moje interesy zaczekają.

- Nie, pójdziemy na przyjęcie. Z Natalie prędzej czy później się spotkam, tego się nie da uniknąć. Poza tym ona nie będzie mi dyktować, co mam robić. To się nigdy nie stanie. - Odwróciła się i zaczęła wyglądać przez okno, starając się uciszyć wzburzone emocje.

- Zgoda - podsumował Max. - Ty decydujesz.

Osiem godzin później szykowali się do wyjścia. Elizabeth, upinając włosy, dostrzegła w lustrze wychodzącego z garderoby Maksa. Mruczał coś do siebie, próbując zawiązać muszkę. Wyraźnie mu jednak nie szło.

- Poczekaj, pomogę ci - zaproponowała.

Patrzył, jak zbliża się do niego w długiej sukni z ciemnoniebieskiej jedwabnej krepy, wysoko rozciętej z jednego boku. Kiedy szła, suknia poruszała się, odsłaniając kształtną nogę. Pasy materiału krzyżujące się na piersi podkreślały wąską talię i uwypuklały pełny biust.

Elizabeth wprawnie zawiązała muszkę. Chciała się cofnąć, lecz w tej samej chwili na biodrach poczuła dłonie Maksa.

- Wyglądasz cudownie - wyszeptał, z żarem patrząc na jej delikatną twarz, zielononiebieskie oczy ocienione ciemnymi rzęsami, wysokie kości liczkowe i stanowczą linię szczęki. Klasyczna piękność, pomyślał i aż zaparło mu dech.

- Dziękuję - odparła, nie patrząc na niego.

- I pięknie pachniesz. - Zapach jej włosów zawsze kojarzył mu się z wonią kwiatów. Do tego dochodził świeży zapach mydła, pasty do zębów i subtelnych kwiatowych perfum.

Jej bliskość działała na niego. Tak mocno, że mógł się oprzeć. Nie chciał się oprzeć. Pochylił się i pocałował ją za uchem.

- Może darujmy sobie to przyjęcie i zostanemy w domu - wyszeptał. - Zabawimy się tutaj, tylko we dwoje - kusił.

- Nie ma mowy. - Poprawiła mu muszkę i koł-

nierzyk, popatrzyła na niego. - Będzie kilka osób, które powinieneś poznać, więc przestań mnie czarować i weź się w garść.

- Do diabła, wiedziałem, że tak powiesz. W takim razie gdy wrócimy, przypomnij mi, na czym skończyliśmy.

Elizabeth odeszła do toaletki dokończyć makijaż. Max przyglądał się jej, przechylając głowę z boku na bok.

- Masz na sobie bieliznę? – zapytał.

- Max, na litość boską, co za pytanie? Oczywiście, że tak.

- A wygląda, jakbyś pod tą sukienką niczego nie miała - Zmarszczył brwi. - O nie! Założyłaś stringi?

Elizabeth zarumieniła się raptownie, lecz nie odwróciła od niego głowy.

-Do takiej obcisłej sukienki nic innego się nie nadaje. Byłoby widać.

- Wiedziałem! Daj zobaczyć. - Podbiegł i już chciał unieść jej suknię, ale Elizabeth uderzyła go po palcach.

-Nie. Max, uspokój się. Już i tak zrobiło się późno. Poza tym to tylko bielizna. Zobaczysz, jak wrócimy do domu.

-Jak mam przez cały wieczór rozmawiać o interesach, skoro wciąż będę myślał o tym, że pod tą suknią masz stringi.

Usiadła przy toalecie, pochwyciła w lustrze jego spojrzenie.

- Biedactwo - użaliła się. - Na pewno jakoś przeżyjesz. Poza tym dziś nie będziesz z nikim rozmawiał o interesach.

- Jak to? Przecież chyba po to idziemy na to przyjęcie?

-Nie. Dzisiaj tylko rzucaamy przynętę. Wyczuła gwałtowną zmianę, jaka zaszła w jego nastroju.

- Wydawało mi się, że mamy umowę.

- Mamy. - Odwróciła się i popatrzyła mu prosto w oczy. - Chcesz, bym pomogła ci dotrzeć do tych ludzi?

- Przecież wiesz, że tak, ale...

- W takim razie musisz mi zaufać. Wiem, że szukasz inwestorów do tego przedsięwzięcia w Dallas, ale trzeba wziąć się do tego w odpowiedni sposób. Inaczej nici. Uwierz mi, dobrze znam tych ludzi. Dzisiaj musimy trzymać się razem i krążyć wśród gości. Ja tylko coś niektórym napomknę, ale bez szczegółów. Może kogoś zaproszę na kolację... powiedzmy na wtorek. Ale dzisiaj na tym musimy poprzestać. Zgoda?

- Skoro tak uważasz. - Nie wyglądał na przekonanego.

- Max, ci ludzie nie lubią być do czegokolwiek namawiani, nie można ich naciskać - tłumaczyła Elizabeth. - Jeśli będziesz natrętny, potraktują cię z uśmiechem i z wdziękiem zatrzasną przed tobą drzwi.

Max skrzywił się kwaśno.

- Od ponad roku dokładnie tak jest.

- Większość tych ludzi wywodzi się od pierwszych osadników. Nie wszyscy mają smykałkę do biznesu, nie wszyscy są etyczni jak ich przodkowie, jednak za takich się uważają. I każdy z nich chce mieć przekonanie, że dana inwestycja to wyłącznie jego pomysł. W dodatku doskonały.

- Zaczynam łapać. - Zastanawiał się przez chwilę. - Zgoda, zrobimy, jak uważasz.

Elizabeth upudrowała nos. Otworzyła kuferek z biżuterią.

- Nie wiem, co założyć. Najlepszą biżuterię wyprzedalam.

- Poczekaj. - Zniknął w garderobie, a po chwili wszedł, niosąc w ręce płaskie pudełeczko.

- Miałem ci dać na Gwiazdkę, ale chyba przyda się dzisiaj.

- Co to jest?

- Zamknij oczy.

Uśluhała, a on założył jej naszyjnik.

- Już.

Podniosła powieki i po chwili gwałtownie wciągnęła powietrze.

- O Boże. Brylanty Stantonów! - wykrztusiła zduszonym szeptem. - Boże, Max... jak ty... kiedy...?

- Mój człowiek wytropił je dla mnie. Gdy mi powiedziałaś, że musiałaś je sprzedać.

- Pewnie zażądali za nie fortuny.

- Najważniejsze, że znowu są tu, gdzie powinny być.
- Och, Max. - Łzy zamazywały jej obraz. Poderwała się, zarzuciła mu ręce na szyję. – Dziękuję, dziękuję, dziękuję. Bardzo ci dziękuję. Nawet wiesz, ile to dla mnie znaczy.
- Elizabeth, proszę, nie płacz. No już, daj spokój. Rozmażesz sobie makijaż, a przecież idziemy przyjęcie.



## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Angelo Delvechio od dobrej godziny siedział przy stoliku w głębi sali niewielkiego lokalnego baru. Odwrócony plecami do ściany, bawił się szklanką wody, nie spuszczać wzroku z wejściowych drzwi.

Odkąd tu przyszedł, nie odezwał się ani słowem, goście trzymali się od niego z daleka. Jakby instynktownie czuli, że lepiej nie ryzykować.

Ci, co go znali, zwali go Aniołem Śmierci. Budził lęk, ludzie wzdrygali się na jego widok. Metr dziewięćdziesiąt wzrostu, prawie sto czterdzieści kilo wagi, grubo ciosane rysy, blisko osadzone oczy i twarz pozbawiona wyrazu niemal na każdym wywierali przerażające wrażenie.

Dorastał w tej okolicy. Już od wczesnych lat dał poznać się ze złej strony. Nikogo nie zdziwiło, że stał się kryminalistą.

Egzekutorem na usługach rodziny Voltura.

Popatrzył na zegar nad barem. Cholera, gdzie ten Tony Minelli? Jego informator zaklinał się na wszystkie świętości, że Tony co wieczór wpada tu po flaszkę whisky.

Na jego twarzy pojawił się nieprzyjemny uśmiezek. Tony nigdy nie nadużywał alkoholu, dopiero ostatnio. Krążyły plotki, że zaczął nieźle pociągać. Boi się. Wpadł w panikę, gdy tydzień temu wykończył jego kumpla, Szczęściarza Lorenzo. Angelo znów się uśmiechnął. Lorenza szczęście opuściło.

Zmrużył oczy. Mężczyzna siedzący obok wziął swego drinka i przeniósł się dalej. Cholera, zdenerwował się Angelo. Zmarnował tyle czasu, by wpaść na trop Tony'ego. Ten szczur musi mu za to zapłacić.

Na jego twarzy pojawił się półuśmiech. Przyjaciel Tony'ego, Leo Vittoli, szybko dał się przekonać, że nie warto udawać chojraka. Wystarczyło, że poczuł w ustach lufę pistoletu. Od razu wyśpiewał, gdzie jest Tony.

Znowu popatrzył na zegar, przesunął wzrok na wejście. Akurat w tej właśnie chwili jego przyszła ofiara ukradkiem wchodziła do środka. Tony'ego trudno było poznać. Zawsze rzucał się w oczy, lubił krzykliwe stroje i zwracający uwagę sposób bycia. Teraz lękliwie rozglądał się na boki, przydługie włosy sterczały nieporządnie, był nieogolony, ubranie miał pomięte, jakby w nim spał.

Zatrzymał się na progu i przebiegł wzrokiem po Sali. Jak tchórzliwa spłoszona fretka, z odrazą pomyślał Angelo. Pochylił się nad szklanką, jakby zbyt wiele wypił, lecz spod oka uważnie śledził każdy ruch Tony'ego.

Tony, co i raz zerkając na boki, z wahaniem podszedł do baru i kiwnął na barmana. Barman bez słowa wziął pieniądze i podał butelkę. Minelli przycisnął do piersi brązową torbę i szybko wymknął się na zewnątrz.

Kiedy szczęknęły za nim drzwi, Angelo podniósł się z miejsca, rzucił na stół kilka banknotów. W barze zaległa cisza. Większość gości wbiła wzrok w swoje drinki, słychać było tylko grający telewizor. Kilku mężczyzn ukradkiem zrobiło znak krzyża, lecz nikt nie zdobył się na to, by popatrzeć na potężnego draba chodzącego na ulicę.

Trzymając się w cieniu budynków, Angelo podążał za swoim obiektem. Czekał na dogodny moment. Wiedział, że taka chwila nadejdzie. Musiał być tylko cierpliwy.

Przeszli kilka przecznic. Tony kluczył. Skręcił raz w jedną stronę, potem znowu, doszedł do Times Square, gdzie próbował wmieszać się w tłum widzów wychodzących z teatru.

Rozbawił tym Angela. Nieźle próbujesz, ale i tak nic ci z tego nie przyjdzie, pomyślał. Ofiarę łatwo było kontrolować. Tony, przyciskając do siebie butelkę, poruszał się nerwowo jak szczur miotający się w

labiryncie. Bał się, Angelo wręcz czuł zapach tego obezwładniającego strachu.

Po kilku przecznicach, oglądając się za siebie niespokojnie, Tony wbiegł między dwa budynki. Angelo ruszył truchtem. Przy swojej masie nie mógł biec szybciej. Na rogu przycisnął się do ściany, wyrzwał w wąską uliczkę. Kilka kroków dalej jakiś pijaczek wynurzył się z mroku i zaczął nagabywać Tony'ego.

- Co tam masz, dobry człowieku? Czy to nie flaszka? Daj łyka.

- Spadaj, nygusie! - Tony odtrącił go i pobiegł pędem przed siebie.

Klnąc pod nosem, menel przeczłapał na chodnik. Minał Angela, nie zauważając go.

Tony zniknął w ciemności. Powietrze w wąskim przejściu na tyłach domów było przesycone zapachem rozkładających się śmieci i odchodów. Angelo poruszał się bezszelestnie. Nie spuszczał oczu z obiektu, wyjął z kabury pistolet, z kieszeni wyciągnął tłumik. Był coraz bliżej ofiary. Wprawnie nakręcił tłumik na lufę glocka.

Wolałby inny sposób. Nigdy dobrze nie strzelał a ostatnio wzrok zaczął mu szwankować. Trafiał, gdy cel był blisko, inaczej pudłował. Oczywiście nikomu się z tego nie zwierzał. Przestałby być przydatny panu Volturze. Aż za dobrze wiedział, czym to by się skończyło.

Gdyby tak mógł dopaść Tony'ego i po prostu

udusić frajera. To był jego ulubiony sposób. Jednak Tony jest tak spanikowany, że szansa, by go złapać za gardło, jest bliska zeru. Szedł więc za nim krok w krok, zmniejszając dzielącą ich odległość.

Chyba byli już blisko jego kryjówki, bo Tony wyraźnie się rozluźnił. Już nie oglądał się za siebie co chwila. Może dlatego, że w panujących tu ciemnościach czuł się pewniej.

Kiedy dzieliło ich jakieś sześć metrów, Angelo zatrzymał się, podniósł broń i wycelował.

Jego palce już zaczęły naciskać spust, gdy w ciszy zabręczała komórka.

- Cholera! - zaklął.

Tony odwrócił się błyskawicznie, w jego oczach błysnęło śmiertelne przerażenie. Jak szalony rzucił się do ucieczki.

Angelo oddał dwa strzały. I dwa razy chybił.

Tony zniknął za rogiem. Angelo popędził za nim, lecz nie zdołał go dogonić. Tony rozpułnął się w mroku.

Klnąc jak szewc, Angelo ze złością kopnął pojemnik, na śmieci, wysypując jego zawartość. Trzy koty, wrzeszcząc wniebogłosy, przemknęły obok niego, spłoszony szczur przemknął mu pod nogami i zniknął w załamaniu muru.

Angelo oparł ręce na kolanach, oddychał głośno.

- Cholera, robisz się nieuważny - łajał sam siebie. Całkiem zapomniał o tej komórce. Powinien ją wyłączyć albo zostawić w domu.

Telefon nie przestawał dzwonić. Angelo wyprostował się, wyjął komórkę z kieszeni.

- Co jest, do cholery? - ryknął wściekle.

Na chwilę w słuchawce zapadła cisza. Potem rozległo się chrząknięcie.

- Minęły już prawie dwa tygodnie. Chciałem dowiedzieć się, kiedy zabierze się pan za moje zlecenie. Chodzi o Stantonów.

- Do diabła, powiedziałem przecież, że mam jeszcze dwie inne roboty. Pierwszą już załatwiłem, a drugą właśnie bym zakończył, gdyby nie ten pana cholerny telefon. Jutro byłbym w Houston. Teraz muszę zaczynać od nowa.

- Ja tylko chciałem...

- Nie obchodzi mnie, co pan chciał. Niech pan więcej do mnie nie dzwoni. Gdy zrobię swoje, dam znać.

Elizabeth i Max weszli do sali balowej w country clubie. Gospodarze pośpieszyli ich przywitać.

- Witaj, Elizabeth! Tak się cieszę, że cię widzę! - Helen ujęła ją za rękę, przyciągnęła do siebie i z afektacją ucałowała powietrze tuż przy policzkach Elizabeth. - I twojego męża, rzecz jasna - dodała, obrzucając Maksa uważnym spojrzeniem. - Gdy dowiedzieliśmy się o waszym ślubie, baliśmy się, że jeszcze będziecie w podróży poślubnej.

- Skróciliśmy ją z kilku powodów. Jednym z nich było wasze przyjęcie – wyjaśniła Elizabeth.

- Nie chcieliśmy stracić największego wydarzenia sezonu.

Max z rozbawieniem obserwował efekty tego pochlebstwa. Helen puszyła się z dumy jak paw.

- Och, moja ty kochana! - szczebiotała. Popatrzyła na Maksa. - Pana żona to prawdziwy skarb, mam nadzieję, że pan o tym wie.

- Wiem. Jestem szczęściarzem.

Przyszli kolejni goście i gospodarze pośpieszyli ich witać. Elizabeth i Max zaczęli przesuwając się po sali. Elizabeth rozglądała się czujnie, wypatrując Natalie. Max nie odstępował jej i milcząc, podziwiał żonę w akcji.

Wśród zgromadzonych gości Elizabeth czuła się jak ryba w wodzie. Wiedziała, jak do kogo zagadnąć, co i jak komu powiedzieć. W kluczowych momentach rzucała na męża rozkochane spojrzenie, ścisnęła jego rękę i od niechcenia napomykała, jak bardzo się cieszy, że teraz ma eksperta od finansów, na którym może polegać.

- Max ma rękę do pieniędzy i interesów. Naprawdę czyni cuda - mówiła z przekonaniem do niewielkiej grupki. Dwóch z obecnych mężczyzn uważało się za wybitnych speców od inwestycji. Elizabeth ujęła Maksa pod ramię, uśmiechnęła się do niego z dumą. - Tak się cieszę, że wciągnął mnie do swego najnowszego projektu.

- Tak? A co to za projekt? - zapytał jeden z mędrców, nie kryjąc sceptycyzmu.

- Ojej! - Elizabeth zasłoniła dłonią usta. Popatrzyła na Maksa ze skruchą. - Kochanie, przeprasza. Wiem, że na razie nie powinnam nic

mówić.

- No właśnie - odparł, podejmując jej grę. Elizabeth popatrzyła na pytającego.

- Warren, przepraszam cię, ale nie mogę niczego zdradzać. Sprawa dopiero zaczyna się rozkręcać

- Daj spokój, Elizabeth. Zainteresowałaś nas teraz się wycofujesz. No, powiedz.

- Przepraszam, ale nie mogę. Naprawdę nie. Zapomnijcie o tym, co powiedziałam. To mi się niepotrzebnie wyrwało. Wybaczcie, ale muszę iść przywitać się z Martinami.

- Naprawdę jesteś niezła - z podziwem szepnął Max, gdy szli do kolejnej grupki.

- Bo znam tych ludzi od zawsze. Wiem, jacy są, znam ich mocne i słabe strony. Po prostu trzeba do każdego mieć odpowiednie podejście. Niektórzy uważają się za znawców, więc żeby do nich dotrzeć, najlepiej poprosić ich o radę. Inni, jak Warren czy Simon, zawsze muszą o wszystkim wiedzieć. Poza tym stale ze sobą rywalizują.

Popatrzyła na Maksa z uśmiechem.

- Założę się, że najpóźniej jutro Warren namówi żonę, by zadzwoniła i zaprosiła nas na kolację. Zdziwię się bardzo, jeśli Simon nie zrobi tego samego.

- I co, pójdziemy?

- Zobaczymy - odparła, robiąc niewinną minkę. - Boję się jednak, że cały tydzień już mamy zajęty.



Może zaproszę ich do nas, by nie poczuli się urażeni. Ale nie od razu. Niech najpierw zmiękną. Kiedy się u nas pojawią, będą wyrywać się, by wejść do twojego projektu.

- Och, ty mój mały spryciarzu! - Max odrzucił głowę i roześmiał się serdecznie. Kilka osób popatrzyło z zainteresowaniem w ich stronę. Elizabeth zrobiło się ciepło na sercu.

Max opanował się, z uśmiechem popatrzył na żonę i potrząsnął głową.

- Myślałem, że twoja rola zakończy się na poznaniu mnie z właściwymi ludźmi, a dalej będę skazany na siebie. Kto by pomyślał, że pod tą piękną buzią kryje się zręczny negocjator.

Uśmiech Elizabeth nieco zbladł, twarz przybrała uprzejmy, lecz zdystansowany wyraz.

- Przepraszam, pośpieszyłam się. Wydawało mi się, że w małżeństwie ludzie starają się wspierać. Zapomniałam, że nasz układ jest inny. Przestanę...

- Poczekaj, poczekaj! - wszedł jej w słowo. - To nie była krytyka. Może źle się wyraziłem. Chciałem tylko powiedzieć, że zaczyna do mnie docierać, jaki ze mnie szczęściarz. Dzięki temu małżeństwu dostałem znacznie więcej, niż się spodziewałem.

- Tak uważasz?

- Zapewniam cię, że tak. Działasz wspaniale. Nic nie zmieniaj.

Zajrzała mu głęboko w oczy, szukając potwierdzenia. Wreszcie skinęła głową.

Obeszli salę, zagadując do gości, wymieniając uprzejmości, przyjmując gratulacje i życzenia. Dotarli do stojącej w rogu Mimi. Była sama i sączyła szampana.

- Witam! - Uścisnęła Elizabeth i cofnę się na odległość ramienia. Oczy się jej rozszerzyły - Brylanty Stantonów? Myślałam...

- Max je dla mnie odkupił. Z wyprzedzeniem dostałam prezent gwiazdkowy.

- To piękny gest. - Obrzuciła Maksa spojrzeniem od stóp do głów. - Hej, przystojniaku, super wyglądasz w smokingu.

- Dziękuję. - Od kelnera, który właśnie przechodził, wziął z tacy dwa kieliszki szampana. Podał jeden żonie. - Uff, cieszę się, że już skończyliśmy ten obchód.

Mimi roześmiała się wesoło.

- Świetnie cię rozumiem. Można zważyć, nie? Miałam dobrą zabawę, obserwując, jak ludzie was oglądają. Umierali z ciekawości, jak sobie poradzicie. Ale już możecie wyluzować, bo najgorsze za wami. Pora się zabawić.

- A gdzie twój kawaler? - zdziwiła się Elizabeth.

- Dałam sobie z nim spokój. - Mimi machnęła ręką. - Ledwie przyszliśmy, wlał w siebie cztery martini. I wcale nie zamierzał na tym poprzestać. A, właśnie. Jak upchnę go do taksówki, zabiorę się z wami do domu, dobrze?

- Jasne, nie ma sprawy - odparł Max.

Mimi popatrzyła na coś ponad ramieniem Elizabeth.

Twarz jej się zmieniała

- Uważaj, idzie tu ta zdzira.

- Słucham? - zdumiała się Elizabeth, lecz w tej samej chwili i ona spostrzegła zbliżającą się do nich Natalie. Goście zebrani na sali umilkli.

- No nie, co za bezczelny babsztyl – wymamrotała Mimi.

- Cześć Elizabeth - z zimnym uśmiechem zagadnęła Natalie.

Elizabeth skinęła głową.

- Cześć, Natalie. Jak się udał wyjazd?

Na twarzy Natalie odmalowało się zaskoczenie. Najwyraźniej nie spodziewała się ataku.

- Ho, ho. Aż mi się nie chce wierzyć, że zrobiłaś się taka ostra.

Elizabeth pomięła tę uwagę milczeniem.

Natalie nieco się stropiła.

- Skoro pytasz... było nie najgorzej, na początku. Ale później Edward zaczął za bardzo marudzić. Wszystkiego się czepiał. No ale od tej strony chyba go znasz?

- O co ci chodzi, Natalie? - ucięła Elizabeth. – Chyba nie przyszłaś po to, by wymieniać uprzejmości czy skarżyć się na Edwarda.

- No nie. Chciałam jakoś nawiązać z tobą kontakt, po tym... co zaszło. Pora machnąć na to ręką. Jesteśmy dorosłe. Poza tym poruszamy się w tych kręgach, więc będziemy się spotykać.

- Niestety.

Teraz Natalie zignorowała jej uwagę.

- Zaskoczyła mnie wieść o waszym ślubie. - Przesunęła wzrok na Maksa, taksując go od stóp do głów. - Muszę powiedzieć, że twój gust w stosunku do mężczyzn bardzo się poprawił.

Elizabeth nie raczyła jej odpowiedzieć.

- Słuchaj, Max, gdybym rok temu wiedziała, że szukasz żony, to pewnie bym do ciebie uderzyła.

- To by nic nie dało. Nie jesteś w moim typie

- Tak? Zaskoczyłeś mnie. To dla mnie wyzwanie. - Popatrzyła na Elizabeth. - Nie będziesz miała nic przeciwko temu, jak porwę ci męża?

Kilka osób głośno wypuściło powietrze.

- Tylko do tańca - dodała Natalie.

Natalie zrobiła niewinną minę, lecz Elizabeth doskonale wiedziała, co się pod nią kryje.

- Ha, tym razem ma przynajmniej tyle taktu, by zapytać - prychnęła Mimi.

Natalie spiorunowała ją wzrokiem.

- Zawsze musisz zachowywać się po chamsku?

- Ja zachowuję się po chamsku? - zachichotała Mimi. - No, może, ale nie rozbijam małżeństw.

- Nie zwracaj na nią uwagi - rzekła do Maksa Natalie, ujmując go pod ramię. - Chodź, zatańczymy.

- Nie - padła krótka odpowiedź. Nie silił się na grzeczność czy dyplomację.

Natalie, która już zrobiła krok w stronę parkietu zatrzymała

się jak wryta. Zamrugła.

- Co takiego?

- Powiedziałem: nie. - Uwolnił ramię z jej uścisku. - To byłby afront dla mojej żony.

- No nie - wymamrotała Natalie. Popatrzyła po przyglądających się tej scenie gościach. - Z Edwardem to już zamknięta historia. Zresztą przecież to tylko taniec.

- Przykro mi, ale już nie mam żadnego wolnego. - Demonstracyjnie wyjął kieliszek z rąk Elizabeth, odstawił go na stolik, a potem objął ją w talii, skarbie, właśnie zaczynają grać naszą piosenkę.

Płynęła w powietrzu, gdy prowadził ją na parkiet. Max otoczył ją ramionami.

- Dziękuję - wyszeptała z wdzięcznością.

- Nie masz za co dziękować. Jesteś moją żoną  
żoną. Zawsze będę cię chronił.

Czyli nie kierował się uczuciem, jedynie poczuciem odpowiedzialności. Zrobił to z obowiązku.

Nie zależało jej, by ją pokochał. Zwłaszcza że sama go nie kochała. Jednak przez te ostatnie tygodnie poznała go. Max stał się jej bliski, darzy go szacunkiem i uznaniem. Bywa obcesowy, jednak można na nim polegać. Przy nim czuje się bezpieczna, ufa mu.

Po tym, co ją wcześniej spotkało, była pewna, że nigdy nikomu nie zaufa, a jednak, choć byli małżeństwem dopiero od dwóch tygodni, miała do Maksa absolutne zaufanie.

Westchnęła. Jaka szkoda, że Max nie odwzajemnia jej uczuć. Byłoby im razem o niebo lepiej.

- Wiesz co? - zagaił Max. - Wprawdzie z niechęcią, jednak przyznaję, że Mimi ma rację. Zostawmy interesy na boku, zapomnijmy o Natalie i zabawmy się. Zgoda?

- Zostawmy interesy? Niemożliwe? Coś ci dolega? - przekomarzała się Elizabeth, dotykając jego czoła.

- Ale śmieszne - mruknął, obracając ją w tańcu. - Zapłacisz mi za to, gdy wrócimy do domu - wyszeptał jej do ucha. - Nie licz, że zapomniałem o stringach.

Elizabeth roześmiała się, przytuliła głowę do jego piersi. Ale z niej szczęściara! Ma takiego wspaniałego męża. Tylko się cieszyć.

Nie spodziewała się, że będzie tak dobrze się bawić. Max okazał się wyśmienitym tancerzem. Mimo swej potężnej postury poruszał się lekko i z wdziękiem, miał doskonale wyczucie rytmu. Tańczył rewelacyjnie.

On też był mile zaskoczony. Doskonale mu się tańczyło. Chętnie tańczyłby tylko z nią, jednak potańczył też z Mimi.

- Wiesz co, przystojniaku? - zaczęła Mimi, gdy poprowadził ją na parkiet. - Muszę cię przeprosić.

- Za co?

- Bo początkowo nie byłam do ciebie przekonana. Starłam się zniechęcić Elizabeth do tego małżeństwa. Jednak już tak nie myślę.

- Tak? A to dlaczego?

- Z powodu kilku rzeczy. Podoba mi się, że jesteś taki opiekuńczy, że myślisz o niej. Odkupiłeś dla niej brylanty. Nawet nie masz pojęcia, ile to dla niej znaczy. I jak trudno było Elizabeth się z nimi rozstać. Ale ta zagrywka z Natalie, to był dopiero majstersztyk! Aż chciałam cię za to ucałować! - Mimi przechyliła głowę, popatrzyła na niego przymrużonymi oczami. - Myślę, że jesteś dla niej dobry. A ona dla ciebie jeszcze bardziej.

Utwór się skończył i już mieli zejść z parkietu, gdy orkiestra zagrała skoczny rytm. Mimi złapała Maksa za rękę.

- Chodź, przystojniaku, pokażemy im, jak się tańczy.

- Z przyjemnością.

Elizabeth stała z boku parkietu, zajęta rozmową z Drexelami.

- O nie - jęknęła Nell. - Mimi zaraz zacznie się popisywać. - Za późno ugryzła się w język, przypomniawszy sobie, że Mimi jest przyjaciółką Elizabeth. - Nie krytykuję jej, ale trochę przesadza - dodała pośpiesznie.

- Chociaż przyjemnie na nich popatrzeć.

- To prawda - potaknęła Elizabeth, z uśmiechem patrząc na tańczących. - Mimi przed laty była tancerką.

Max i Mimi rzeczywiście tańczyli świetnie. Ludzie na parkiecie rozstąpili się, robiąc im miejsce. Mimi tańczyła żywiołowo, ciesząc się tańcem.

Wycięcie z boku sukni odsłaniało jej długą zgrabną nogę.

- Robi z siebie szopkę.

Elizabeth odwróciła się, słysząc tę uwagę. Tuż obok niej stanął Wyatt Lassiter.

- Przestań się zżymać, Wyatt. Dobrze się bawią, a przecież o to chodzi.

Wyatt przywitał się z Drexelami, ujął Elizabeth za łokieć.

- Wybaczcie, ale chciałbym zamienić z nią słowo.

- My już i tak wychodzimy - rzekł Etan.

- Elizabeth, zadzwoń do mnie w tygodniu! - zawołała na odchodne jego żona.

Wyatt popatrzył na parkiet.

- Piękna para, nie ma co. Jedno warte drugiego.

- Wyatt, wypraszam sobie. To mój mąż i moja przyjaciółka.

Popatrzył na Elizabeth gniewnie.

- Och, jasne. Oboje dobrze wiemy, dlaczego za niego wyszłaś. A co do niej... Edward powinien się postawić i zmusić cię do zakończenia tej żalosalnej przyjaźni. Ja na jego miejscu na pewno bym tak zrobił.

- Och tak?

- Nieważne. Nie przyszedłem tu po to, by rozprawiać o Mimi. -

Popatrzył znowu na parkiet. Utwór właśnie się skończył i ludzie zaczęli bić brawo. - Cóż teraz już nie zdążymy, idą tu. Ale musimy porozmawiać.



- Wyatt nie wydaje mi się...

- Zadzwoń - rzucił i oddalił się, nim Mimi i Max podeszli.

- Dziewczyno, ale ten twój mąż tańczy! – entuzjasmowała się Mimi, wachlując się dłonią. - Trochę ćwiczeń i mógłby być zawodowcem.

- Dzięki. Zapamiętam to sobie, w razie gdybym szukał innej roboty - uśmiechnął się Max. - Czego Lassiter? - zapytał Elizabeth, patrząc za oddalającym się Wyattem.

- Nic, przyszedł się przywitać. - Położyła mu rękę na ramieniu. - Zanim zapomnę: Drexelowie zaprosili nas na piątek na kolację. Etanowi już coś się obiło o uszy na temat twojej nowej inwestycji i chciałby z tobą pogadać.

- Mieliśmy już dzisiaj nie mówić o interesach - mruknął, ale w jego oczach widziała uznanie. Zrobiło się jej miło.

- Powoli zaczynają się rozchodzić – zauważyła Mimi.

Max otoczył Elizabeth ramionami.

- Jeszcze ostami taniec z moją żoną i możemy wracać.

W jego ramionach czuła się cudownie. Zarzuciła mu ręce na szyję, oparła policzek na jego piersi, zamknęła oczy i dawała się prowadzić w rytm muzyki.

Kiedy dźwięki ucichły, Max pochylił się i musnął jej usta.

- To jak, jedziemy?

Nie mogła wydobyć z siebie głosu, skinęła tylko głową.

Dziesięć minut później wsiedli do bmw Maksa.

- Och - wymruczała Elizabeth, opadając na fotel. - Nie pamiętam, kiedy się tak wytańczyłam. Ani kiedy ostatnio tak dobrze się bawiłam.

- Było nieźle - przyznała Mimi. - Ale cieszę się, że już po imprezie. Wicie, że stanowicie wspaniałą parę? Naprawdę - powtórzyła. - Wyglądacie bosko.

Elizabeth tylko prychnęła cicho, a Max nic powiedział.

- Max, grasz w golfa? - zagadnęła ni stąd, ni zowąd Elizabeth.

- Nie. Jakoś nie widzę sensu we wbijaniu piłeczki do dołka. Nie wiem, co w tym jest zabawnego.

- Szkoda. Zdziwiłbyś się, ile interesów załatwia się podczas gry w golfa.

- Ma rację - potwierdziła Mimi. - Sama coś o tym wiem.

- Cóż, raczej nie nauczę się grać. To dla mnie zbyt powolna gra. Dostałbym szału przy trzecim dołku.

- Aha - mruknęła Elizabeth. - A tenis? Wprawdzie podczas gry nie ma czasu na rozmowy o interesach, jednak wielu panów gra w tenisa. Po grze można pogadać przy lunchu w klubie.

- To bardziej do mnie przemawia. Tylko że nie umiem grać.

- A w co umiesz? - zapytała Mimi.

Nie zdążył odpowiedzieć, bo Elizabeth pochyliła się gwałtownie i krzyknęła:

- Max, zatrzymaj się!

Nacisnął natychmiast na hamulec. Mimi aż poleciała do przodu.

- Co się stało? - zawołał, ale Elizabeth, zrzucając z siebie futro, już wyskoczyła z samochodu.

- Co ona wyrabia? - zdenerwował się Max, wyglądając przez tylną szybę. - Zaraz przemoknie na tym deszczu.

- Pewnie wypatrzyła jakiegoś zgubionego psa czy kota.

- Co?

Mimi poklepała go po ramieniu.

- Musisz się do tego przyzwyczaić, przystojniaku. Elizabeth ma bardzo miękkie serce.

Kilka chwil później Elizabeth wskoczyła do środka. Tuliła coś do piersi. Coś małego i rozpaczliwie miauczącego.

- Do diabła, co to jest? - Max wlepił wzrok z mokrego futerka.

- To kociak.

- A nie mówiłam? - śpiewnie odezwała się Mimi.

- Kociak? Wygląda jak utopiony szczur.

- Biedactwo - pieszczotliwie przemówiła Elizabeth. - Jest zmarznięty i przemoczony. - Delikatnie głaskała zwierzątko. - Już dobrze, koteczku. Już nic złego ci się nie stanie.

- Super. - Max wznosił oczy do nieba. - To biedactwo zniszczy ci

suknię.

- Sukienkę można zmienić. A to jest bezradna kruszynka.
- Co chcesz zrobić? Schronisko pewnie już jest zamknięte.

Elizabeth spiorunowała go wzrokiem.

- Nie oddam tego kociaczka do schroniska. Uśpią go, jeśli w ciągu kilku tygodni nikt go nie przygarnie.

- Chcesz go zatrzymać?

- Może - odrzekła, hardo unosząc brodę – Jeśli nie znajdę nikogo, kto go zaadoptuje.

- Hm. Fajnie. - Max ruszył z miejsca.

- Tu niedaleko jest całodobowa apteka. Mógłbyś podjechać? Muszę kupić dla niego jedzenie i kilka rzeczy.

- Jasne. Czemu nie? - odparł z rezygnacją.

Pod apteką Elizabeth wcisnęła mu w rękę kociaka.

- Potrzymaj go chwilę, ja zaraz wracam.

- Ale... poczekaj...

Elizabeth już wybiegła.

- Cholera! - Odsunął od siebie dłoń, w której trzymał miauczącego kotka. - Co ja mam z nim zrobić?

- Módl się, żeby nie nasiusiał ci na ubranie ani na futro Elizabeth - zachichotała Mimi. – Ostrzegałam cię, koleżko. Twoja żona to stalowa magnolia o miękkim sercu. Ale to składa się na jej urok. Postaraj się być ciepły, to moja rada.

Elizabeth wybiegła z apteki z wielką torbą w rękę. Osłaniając się przed strugami deszczu, wpadła do samochodu. Max położył jej na kolana kociaka.

- Co tam masz? - zapytał, wskazując na torbę. Jedzenie dla kota i żwirek.

Max o nic więcej już nie zapytał. Podczas jazdy tuliła kociaka i przemawiała do niego czule. Podwieźli Mimi pod dom i pojechali do siebie. Samochód jeszcze dobrze nie stanął, jak Elizabeth wyskoczyła i pobiegła do domu. Kręcąc głową, Max wziął zapomnianą torbę i futro.

Elizabeth była w kuchni. Wycierała kociaka ręcznikiem.

- O Boże, w życiu nie widziałem takiego szkaradztwa - skrzywił się, patrząc na kota. Położył torbę na blacie, pochylił się, by spojrzeć na niego z bliska. - Przez te czarno-białe pręgi wygląda jak zebra.

- Nie przejmuj się nim, skarbie - ćwierkała do kociaka Elizabeth. - Jak cię podtuczymy i wyczyścimy to będziesz śliczniutki, prawda?

Max oparł się o granitowy blat, skrzyżował ramiona na piersi i w milczeniu przyglądał się tej scenie. Gdy patrzył na Elizabeth, przemknęło mu przez myśl, że byłaby cudowną matką.

Elizabeth zdjęła buty i zaczęła szykować miseczki z jedzeniem i wodą. Kociak chodził za nią krok w krok. Na jedzenie rzucił się jak szalony.

- Och, biedaczynko! Jaki byłem okropnie głodny - pieszczotliwie przemawiała Elizabeth.

- Jeśli tu zostanie... to jak go nazwiesz? - zapytał Max.

- Może Bar Code, bo wygląda jak kod kreskowy.

Max wybuchnął śmiechem.

- Jesteś niesamowita, wciąż mnie zaskakujesz. Kiedy proponowałem ci małżeństwo, nawet nie przypuszczałem, że masz poczucie humoru.

- Myślałaś, że jestem zimna i tak skoncentrowana na sobie, że nic mnie nie rozśmiesza?

- Mniej więcej - przyznał.

Elizabeth przymrużyła oczy, lecz nie miała czasu na dyskusje, bo kociak już wylizał miseczkę do czysta. Wyścieliła mu ręcznikami stary koszyk i nasypała żwirku do pojemnika. Kociak przez cały czas chodził za nią jak błędny. Okazał się bardzo pojętny, bo od razu zrobił, co miał zrobić. Elizabeth nie mogła się go nachwalić, a on ocierał się o jej kostki. Kiedy włożyła go do koszyka, umościł się wygodnie, zwinął w kłębuszek i usnął.

- No popatrz! Czyż on nie jest słodki? - roztkliwiała się szeptem Elizabeth.

Max podszedł bliżej i popatrzył w dół przez jej ramię.

- Owszem, bardzo słodki. - Położył dłonie na jej talii i wyszeptał do ucha: - A teraz... te twoje stringi...

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Elizabeth! - Drzwi wejściowe trzasnęły z takim impetem, że aż zadźwięczał żyrandol. - Elizabeth! Gdzie jesteś?

Mimi popatrzyła na przyjaciółkę, uniosła brwi.

- Hm, co go ugryzło? - Odstawiła filiżankę i wstała. - Lepiej się stąd ewakuuję. A ty spróbuj go udobruchać - dodała, sięgając po futro i ruszając do wyjścia na ogród.

Elizabeth odstawiła kawę, zdjęła z kolan śpiącego kociaka i poszła do przedpokoju. Omal nie zderzyła się Maksem. Jego ponura mina nie wróżyła niczego dobrego.

Troy, idący tuż za nim, uśmiechał się złośliwie.

- To ty krzyczałeś? - spokojnie zagadnęła Elizabeth, choć w środku się w niej gotowało. Nie pozwoli, by w taki sposób się do niej

odnosił. A już na pewno nie w obecności Troya.

- To nie żarty. Muszę z tobą pomówić.

- Bardzo proszę. Może przejdziemy w bardziej odpowiednie miejsce. Gladys i Dooley są w kuchni.

Nie czekając na odpowiedź, weszła do salonu i usiadła w fotelu przed kominkiem. Wydawała się całkowicie spokojna, jednak czuła silne skurcze w żołądku.

Troy stanął przy kominku, Max nerwowo przemierzał salon.

- Mój agent w Dallas właśnie dał mi znać, że ktoś chce wykupić teren, o który tak się staram.

- Ale... czy ty już nie dałeś zaliczki?

- Owszem, dałem. Jednak ktoś chce przebić moją ofertę. Jeśli tak się stanie, mam związane ręce. Cały projekt upadnie. A wiesz dlaczego? Bo ten teren leży wokół gruntów, które już kupiłem. Ci, którzy chcą mnie teraz przebić, planują zagospodarować budynki. Ma tam być hurtownia nawozów, naprawa kosiarek, stolarnia, produkcja materacy i poduszek. Wyobrażasz sobie? Dzień i noc hałas pracujących maszyn, samochody dostawcze, spaliny, smród parzonego pierza. Nie mówiąc już o widoku z okien. Okolica w sam raz na apartamenty.

- Ale przecież ty byłeś pierwszy, dałeś zaliczkę. Nie da się zmusić właściciela, by sprzedał grunt tobie?



- Trudno powiedzieć. Zależy, jak bardzo ci ludzie są zdeterminowani. Może ktoś ich wspiera finansowo.

- Kim oni są? Mógłbyś z nimi pogadać.

- Konsorcjum biznesmenów z Houston - odparł, krzywiąc się. - Myślisz, że nie próbowałem do nich dotrzeć? Ich rzecznik nie chce zdradzić nazwisk. Po rozmowie z nim jestem przekonany, że ci ludzie po prostu chcą mnie zniszczyć.

- To może im się udać?

- W najlepszym razie przez miesiące, a może lata będziemy się ciągać po sądach.

- Okropnie ci współczuję. Ale dlaczego jesteś na mnie zły?

- Poza mną i Troyem tylko cztery osoby wiedziały o projekcie: sekretarka, Lloyd Baxter, z którym rozmawialiśmy w Nowym Jorku, ty i twój prawnik. Troy i Carly pracują ze mną od lat, nigdy nie zawiedli. Baxter nie ma żadnego interesu, by torpedować ten projekt, bo sam w niego sporo zainwestował. - Max patrzył na nią zimno. - Zostajesz ty i John Fossbinder.

- John nigdy by nie zdradził poufnych informacji.

- Też mam takie wrażenie - potaknął Max.

Elizabeth szeroko otworzyła oczy.

- Myślisz, że ja coś komuś powiedziałam? Że chcę doprowadzić cię do ruiny?

- Musi pani przyznać, że na to wygląda - odezwał

Elizabeth odwróciła się gwałtownie, zmierzyła go ostro.

- Niczego nie muszę przyznawać. Zwłaszcza panu. Ani tobie -  
dodała, piorunując Maksa wzrokiem - Podniosła się i z godnością  
ruszyła do drzwi.

- Dokąd idziesz? - zawołał. - Jeszcze nie skończyliśmy.

- Ty może nie, ale ja owszem. – Trzasnęła drzwiami.

Gladys wychyliła się z kuchni.

- O Boże, co tu się dzieje? – wymamrotała.

Elizabeth wbiegła na schody, ale po kilku krokach odwróciła się i  
pobiegła na dół. Złapała płaszcz:

- Będę u Mimi! - zawołała do Gladys i wypadła na dwór.

- Tak jakbym nie wiedziała – zamruczała do siebie gospoia.

Elizabeth grała z Talitą w scrabble, gdy zadzwoniła sekretarka Maksa.  
Szukała szefa.

Elizabeth nie miała pojęcia, gdzie Max się teraz podziewa. Kiedy  
przedwczoraj wróciła od Mimi on już wyjechał. Powiedział Gladys, że  
ma pilne interesy w Dallas i nie wie, kiedy wróci. Była na niego  
wściekła. Nie dość że zarzucił jej nielojalność, to jeszcze wyjechał bez  
pożegnania. Kiedy już zaczynała myśleć, że całkiem dobrze im się  
układa. Co za dupek.

- Niedobrze - zmartwiła się Carly. – Matka Maksa złamała sobie  
nogę.

Na statku założono jej gips, jednak lekarz uważa, że powinna jak najszybciej trafić na ortopedię. Już załatwiłam przewiezienie jej samolotem do Houston. Szukam Maksa, żeby ją odebrał, ale ani on, ani Troy nie odbierają telefonów.

- Pojadę po nią - skwapliwie zaofiarowała się Elizabeth, szczerze przejęta nieszczęściem. – Zawiozę do szpitala, a potem wezmę do domu. O której przylatuje?

Pośpiesznie streściła rozmowę zaniepokojonej Talicie.

- Oczywiście, że trzeba ją tu przywieźć - poparła ją ciotka. - Jesteśmy rodziną, zaopiekujemy się nią. Jadę z tobą.

Przyjechały w samą porę. Elizabeth podjechała po Ionę wózkiem inwalidzkim.

- Och, moja kochana, nie spodziewałam się ciebie. – Iona rozejrzała się. - A gdzie mój syn?

- Wyjechał w interesach i nie mogłam się z nim skontaktować. Dlatego my przyjechałyśmy.

-Och, jest i twoja ciocia. Strasznie mi przykro, że tak was fatyguję.

- Jesteśmy rodziną - uspokajała ją Elizabeth, popychając wózek. - Miło nam, że możemy się tobą zaopiekować.

- Elizabeth już umówiła lekarza – dodała Talita. – Czeka w szpitalu. Doktor Ron Watson jest doskonałym ortopedą i przyjacielem naszej rodziny. Kilka lat temu operował mi staw

biodrowy, więc mogę osobiście za niego ręczyć.

- Bardzo wam dziękuję. Jednak robię wam taki kłopot.

- Przestań! - Talita stuknęła laską w podłogę. - Już ci mówiłyśmy, że to żaden kłopot. No, wsiadajmy wreszcie.

W szpitalu poszło gładko. Lekarz zarządził natychmiastową operację. Musiał usunąć odłamki kości i założyć śruby. Obiecał, że jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, będą mogły zabrać Ione do domu, gdy tylko się ocknie z narkozy.

Czekając, Elizabeth kilka razy dzwoniła do Maksa, lecz nie odbierał. Wreszcie się poddała.

Do River Oaks dotarły dobrze po szóstej. Iona została umieszczona w gościnnej sypialni. Po lekkiej kolacji zaczęła grać z Talitą w karty, lecz niemal od razu zasnęła. Elizabeth też padała z nóg. Postanowiła wcześniej się położyć. Idąc do siebie, po cichutku zajrzała do Iony. Starsza pani spała.

Elizabeth też szybko usnęła. Po północy obudził ją telefon.

- Słucham? - zapytała, jeszcze nie całkiem rozbudzona.

- Co z moją mamą? Gdzie ona jest? Właśnie przyjechałem do hotelu i dostałem wiadomość Carly, że mama miała wypadek, a ty się nią zajęłaś.

Chciała spytać, gdzie jest, ale ugryzła się w język.

- Wszystko z nią dobrze. - Usiadła, oparła łokieć na kolanie, drugą ręką przeczesła potargane włosy. - Złamała nogę na statku.

Carly załatwiła samolot, a my z Talitą odebrałyśmy ją z lotniska i zawiozłyśmy do szpitala. Doktor Watson umieścił w kości śruby. To jeden z najlepszych ortopedów i bliski przyjaciel naszej rodziny.

- Mama dobrze się czuje?

- Już tak.

- Mogę z nią porozmawiać?

- Teraz śpi. Pewnie jeszcze działa znieczulenie. Chyba lepiej, żebyś zadzwonił do niej rano.

- Może powinienem przyjechać?

- Tylko jeśli sam chcesz - powiedziała chłodno. - Jeśli mi nie ufasz i obawiasz się, że nie troszczę się o nią właściwie.

Zapadła długa cisza.

- Ufam ci, Elizabeth.

- Tak? To coś nowego.

- Posłuchaj, nie chciałbym rozmawiać o tym przez telefon.

- Nie ma sprawy. Zrobisz, co zechcesz.

- Dziękuję, że się nią zajęłaś. I przepraszam, że to na ciebie spadło. Jeśli chcesz, poproszę Carly, żeby zabrała mamę do jej mieszkania i załatwiła całodobową opiekę.

Zagryzła usta. Chyba nie wytrzymam z tym facetem. Dopiero co był taki miły, a w następnej sekundzie wszystko psuje.

- Musisz być taki przykry? Naprawdę sądzisz, że zostawię twoją matkę pod opieką

obcej osoby? Albo, że Iona jest dla mnie ciężarem? Zaręczam ci, że tak nie jest. Twoja mama jest urocza i obie z Talitą cieszymy się, że gościmy ją pod swoim dachem. Może tu zostać tak długo, jak będzie miała ochotę. A teraz przepraszam cię, ale idę spać.

Nie czekając na odpowiedź, rozłączyła się i opadła na łóżko. Niech on sobie myśli, co chce

Nazajutrz Iona już całkiem wróciła do siebie i sprawnie poruszała się z pomocą kul. Elizabeth schodziła na dół, gdy Gladys zawołała do Iony, że dzwoni syn.

Elizabeth zatrzymała się. Nie miała ochoty rozmawiać z Maksem. Iona szczebiotała radośnie. Cieszyła się, że wreszcie może z nim pogadać. Opowiedziała mu całą historię, nie omieszkła wspomnieć o wyznaczonej na piątek wizycie u doktora Watson i planowanym wyjeździe do Mimosa Landing.

- Jeśli mnie tu nie zastaniesz, to będzie znaczyło, że już jesteśmy na farmie – wyjaśniała skrupulatnie. - Twoja kochana żona wciąż mnie namawia, bym tu została, póki nie wydobrzeję. Kiedy przyjedziesz? No tak, rozumiem. Masz trudne negocjacje i nie da się niczego przewidzieć. No dobrze. Przyjedziesz, jak ci się uda.

Kiedy się rozłączyła, Elizabeth odczekała chwilę.

- Och, przed chwilą dzwonił Max!

- Rozmawialiśmy późnym wieczorem, więc nic się nie stało.

- Nie wie, kiedy wróci do domu, bo coś mu się sypie.
- To niedobrze, ale na pewno da sobie radę.
- Tak! Mój syn jest świetnym biznesmenem – z rozjaśnioną twarzą oświadczyła Iona.

Po sutym śniadaniu obie starsze panie zasiadły w wygodnych fotelach. Zerkając na teleturniej, rozprawiwały na różne tematy, Iona szydełkując, a Talita dziergając na drutach. Wkrótce ich głosy umilkły, bo obie panie usnęły. Elizabeth uśmiechnęła się na ten widok.

Zadzwoił dzwonek. Szybko pobiegła otworzyć. Nie chciała, by hałas obudził śpiące.

- Wyatt? Co ty tu robisz? Miałeś zadzwonić.
- Przejeżdżałem obok i postanowiłem zobaczyć, czy przypadkiem cię nie zastanę.
- Aha. Wejdiesz? - Z ociąganiem wpuściła go do środka.

Wyatt rozejrzał się dookoła.

- Domyślam się, że Gladys jak zwykle w środę wybrała się na zakupy?

- Tak. - Zdziwiła się w duchu, skąd on to wie. - Napijesz się czegoś? - zapytała, by przerwać nieprzyjemną ciszę. - Może kawy? Moja nie jest tak dobra jak Gladys, ale da się wypić.

- Nie, dziękuję. Przyszedłem, bo musimy porozmawiać.
- Dobrze. - Usiadła w swoim ulubionym fotelu i wskazała mu miejsce na kanapie, lecz Wyatt nie usiadł.

Zaczął przechadzać się po salonie. Po chwili zatrzymał się, popatrzył na nią zmrużonymi oczami.

- Elizabeth, jak mogłaś to zrobić? - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Jak mogłaś wyjść za tego człowieka?

- Wyatt...

- Po naszej ostatniej rozmowie wyszedłem w przekonaniu, że przemyślisz moją propozycję. I nagle ni z gruszki, ni z pietruszki słyszę, że wyszłaś za tego typu i pojechaliście w podróż poślubną do Nowego Jorku.

- Wyatt, przemyślałam twoją propozycję. Nie odpowiadała mi. Powiedziałam ci o tym od razu, ale nie chciałam przyjąć tego do wiadomości. Wyjaśniłam, że nigdy nie oddam Mimosa Landing. Ani tobie, ani nikomu innemu. Wydawało mi się, że to do ciebie dotarło.

- Wyszłaś za Riordana dla pieniędzy. Oboje to wiemy.

Nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć. Taka była prawda, lecz małżeństwo z rozsądku z Maksymem było dla niej o wiele bardziej do przyjęcia niż małżeństwo z Wyattem.

- Wyatt, proszę...

- Wściekłem się, gdy zobaczyłem cię z nim na przyjęciu. Na samą myśl, że poszłaś z nim do łóżka, gotowało się we mnie. Do cholery, Elizabeth, miałaś być dla mnie.

- Wyatt, przykro mi, że... – Popatrzyła na niego bezradnie, splotła dłonie.

- Teraz widzę, że popełniłem błąd, nie godząc się na ślub na twoich



warunkach. - Znow zaczął krążyć po salonie. - Ale jeszcze nie jest za późno - ciągnął, nie odrywając od niej oczu. - Wystarczy, że będziemy mieć romans, a ten prostak od razu cię rzuci. Zachowasz farmę i fundusz, a jego się pozbędziesz. Jest szansa, że uda się unieważnić przynajmniej część intercyzy i spora część jego majątku przypadnie tobie.

Elizabeth wlepiła w niego szeroko otwarte oczy.

- Przeczytałeś naszą umowę przedślubną, tak?

- No więc...

- Skąd inaczej byś o tym wiedział? - Nie odrywała oczu od jego twarzy. - O Boże, przeczytałeś? Nie mów! - nalegała, gdy milczał.

- Leżała na biurku Johna. Wszedłem po coś do jego gabinetu, gdy go nie było. Zobaczyłem twoje nazwisko i to mnie zainteresowało. Nie mogłem nie przeczytać.

- Jak śmiałeś!

Przez chwilę miał niewyraźną minę, lecz szybko uporał się z wyrzutami sumienia.

- Nie mam zamiaru przeproszać - rzekł wyniośle. - Chciałem się z tobą ożenić. To, co dotyczyło ciebie, bezpośrednio mnie obchodziło. Poza tym pracuję w tej firmie, mam prawo przeglądać dokumenty. Mój ojciec jest jednym ze wspólników.

- To żadne tłumaczenie - obruszyła się Elizabeth. - Ani ty, ani twój ojciec nie prowadzicie moich interesów.

- Nie życzę sobie, byś wtykał nos w moje sprawy. Zachowałeś się

nieetycznie i niegodnie.

- Jeszcze nie łapiesz? Zrobiłem to dla ciebie. Dla nas! - ryknął Wyatt.

Popatrzyła na niego zwężonymi oczami.

- Och! Już rozumiem... To ty zacząłeś ryć pod projektem Maksa, przyznaj się.

- Tak.

Głośno wciągnęła powietrze. Spodziewała się, że Wyatt zaprzeczy, jednak w swej arogancji posunął się jeszcze dalej. Wręcz był dumny z siebie.

- Ja za tym stoję. Bez trudu znalazłem kilku chętnych do zainwestowania w ten teren – przyznał. - Chcę zniszczyć Riordana, niech padnie. Zrobiłem to dla...

- Przestań! Nie waż się powiedzieć, że zrobiłeś to dla mnie! Nie wierzę, że kiedykolwiek mnie kochałeś. Przyznaj się. Chciałeś się ze mną ożenić tylko ze względu na farmę.

- I co z tego? - zareplikował. - Mimosa Landing już dawno powinna należeć do Lassiterów.

- Co takiego? - Ze zdumienia zabrakło jej słów. Nim zdążyła oprzytomnieć, Wyatt schwycił ją za rękę, poderwał z fotela i przywarł do jej ust.

Jej zduszone krzyki na nic się nie zdały. Starła mu się wyrwać, tłukła pięściami o jego pierś, lecz Wyatt nie puszczał. Od tego brutalnego pocałunku robiło się jej niedobrze. Skoczyła na jego wypolerowane buty, próbując go odepchnąć, lecz nie miała z nim szans.

Z siłą napierał na jej zaciśnięte usta. Kiedy poczuła jego język, ugryzła go z całej siły.

- Och!

Wykorzystała moment i wyrwała się, odskakując w dal. Otarła usta wierzchem dłoni.

- Mówiłam ci, żebyś przestał - wydusiła bez tchu.

- Krew mi leci. Och, ty małpo! - ryknął, przyskakując do niej i uderzając na odlew. Poczowała przeraźliwy ból. Upadła na stolik, przewróciła lampę i wylądowała na kanapie.

Z przerażenia nie mogła się poruszyć. Nigdy nikt nie podniósł na nią ręki. Twarz pulsowała bólem. Naraz tuż nad sobą ujrzała wykrzywioną złością twarz Wyatta. Klęczał, trzymając ją obunóż kolanami. Szarpnął jej satynową bluzkę, rozrywając ją. Na podłodze zabrzęczały guziki.

- Nie! Przestań! - krzyknęła, uderzając go.

- Myślisz, że będziesz się ze mną droczyć - wydusił, rozpinając jej pasek. - Że nie dasz tego, co powinno być moje. Gdy się z tobą rozprawię, to nawet ten nafciarz nie będzie chciał na ciebie spojrzeć.

- Przestań! Nie! - Szarpała się nieprzytomnie, lecz nie miała z nim szans. Zrozpaczona, przeorała paznokciami jego twarz.

Wyatt zawył z bólu. Przesunął drżącymi palcami po policzkach, a gdy zobaczył krew, aż pobladł z wściekłości.

- Och, ty...

Zamachnął się, ale w tej samej chwili coś huknę go po głowie.

- Och! Co to...

- Odsuń się od niej, ty zwyrodnialcu! - na cały głos zawołała Talita.

- A masz! - Iona z mocą walnęła go kulą. - Zabieraj to swoje cielsko!

I to już, bo zaraz wezwę policję!

Obie panie okładały go ile wlezie. Talita laską, Iona kulą.

- Już dobrze! - zawył Wyatt, zsuwając się z kanapy. - Już wychodzę.

Przestańcie! - krzyczał, lecz nie na wiele zdały się jego błagania. Uciekał jak zmyty, a one nie przestawały go okładać.

Wybiegł na dwór i kulejąc, dobiegł do samochodu.

- I nie waż się tu więcej pokazać! – zawołała za nim Talita, wygrażając mu laską.

Wyatt odjechał z piskiem opon.

Obie pani popatrzyły na siebie triumfująco, ale jęki dobiegające z głębi domu natychmiast je otrzeźwiły. Ruszyły do salonu. Elizabeth siedziała na kanapie, i jedną dłoń przyciskała do piersi, drugą zakrywała twarz.

- Moja dziecinka - użaliła się nad nią Talita.-

Nic ci nie jest? Nie płacz, skarbie. Już go przegoniłyśmy. Już nigdy nie zrobi ci krzywdy.

- Gdyby... gdyby was tu nie było, to...

- Ciii... - uspokajała ciocia, z czułością gładząc po głowie. - Nie myśl już o tym. Na szczęście byliśmy. I dałyśmy mu niezłe wciry. Nie tak, Iona?

- Popamięta nas sobie. Co za drań! Kto to był?

- Wyatt Lassiter, potomek zasiedziałej w Houston rodziny. Nie aż tak szacownej, w każdym razie w odniesieniu do męskiej części rodu - prychnęła Talita. - Ten Wyatt już dawno nie dawał Elizabeth spokoju, kręcił się wokół niej jak parszywy kundel, odkąd jej pierwszy mąż prysnął z inną damulą. Teraz pewnie nie mógł odżałować, że wyszła za Maksa. Do licha! Aż mi szkoda, że nie możemy jeszcze bardziej mu przylać!

- Mnie też - poparła ją Iona. - Ale niech tylko mój syn się o tym dowie. Nie chciałabym być w skórze tego drania.

- Nie, nie mówcie o tym Maksowi - odezwała się Elizabeth.

- No jakżeż! - obruszyła się ciotka. - Przecież to twój mąż, trzeba mu powiedzieć. Zadzwońmy do niego niech wraca. Potrzeba ci teraz jego wsparcia.

Wątpiła. by po ostatniej awanturze Max się nią przejął. Jest przekonany, że zawiodła jego zaufanie. Poza tym ich małżeństwo niezupełnie jest takie, jak starsze panie.

- Talita ma rację - powiedziała Iona. - Nie ukryjesz tego przed Maksem. Jesteś poobijana, a za parę godzin twarz będzie wyglądać jeszcze gorzej. Chyba podbił ci oko.

- Na to wygląda - stwierdziła Talita, przyjrząwszy się z bliska Elizabeth.

- O Boże. - Elizabeth dotknęła palcami policzka. - Mam nadzieję, że nic mi nie złamał. Ale boli strasznie.

- Przymknęła oczy. - Domyślałam się, że Wyatt będzie wściekły, że nie wyszłam za niego, jednak nie przypuszczałam, że posunie się tak daleko. Zachowywał się, jakby stracił rozum. Gadał bez sensu. Wspomniał nawet, że Mimosa Landing już dawno powinna należeć do jego rodziny.

- Tak mówił? - Talita westchnęła. – Mogę ci to wyjaśnić. Nie wracałam do tamtych wydarzeń, bo nie chciałam o nich pamiętać. Nie mogłam sobie darować, że kiedyś dałam się tak otumanić. Czterdzieści kilka lat temu przez krótki czas byłam zaręczona z ojcem Wyatta, Henrym.

- Co takiego? - Elizabeth nie wierzyła własnym uszom. Dotąd sądziła, że historia rodziny nie ma dla niej tajemnic.

- To było po śmierci mojego Martina. Lubiłam Henry'ego, choć go nie kochałam. Było mi wszystko jedno, skoro straciłam ukochanego. Liczyłam, że Henry da mi dzieci. Na szczęście w porę się wycofałam. Jego matka mnie ostrzegła. Henry, podobnie jak jego ojciec był skłonny do przemocy. Ile ta biedaczka się wycierpiała! Znęcał się nad nią fizycznie i psychicznie. Stale była poobijana, żyła w strachu. Schodziła mężowi z drogi, ale to nic nie pomagało. W tamtych czasach nie miała dokąd pójść, była skazana na niego. Dzisiaj mogłaby szukać schronienia w schronisku dla kobiet, ale wtedy...

- Biedna kobieta - powiedziała Iona.

- Na szczęście wzięła mnie kiedyś na bok i wyznała, dlaczego jej syn chce się ze mną ożenić.

Chodziło mu tylko o farmę. Mimosa Landing graniczy z terenami Lassiterów. Powiedziała mi, że jej mąż ożenił się z nią, by zyskać ziemię jej rodziny. Syn chciał podążyć tym śladem. Ostrzegła, co mnie czeka. Nie chciała, bym przeszła przez to samo piekło co ona. Tego samego dnia zerwałam zaręczyny, Henry wpadł we wściekłość. Gdyby nie twój ojciec, nie wiem jak to by się skończyło. Od tamtej pory unikam go, ale on wciąż ma do mnie pretensje o farmę. Widać jego synalek to po nim przejął.

- Teraz rozumiem - wyszeptała Elizabeth. Do tej pory sądziła, że Talita po prostu nie znosi Henry'ego Lassiter, dlatego z nim nie rozmawia.

- Trzeba ci zrobić zimny okład - rzekła Iona. A może pojedziemy na ostry dyżur? - podsunęła

Elizabeth zaproponowała. Lekarz mógłby powiadomić policję, a nie chciała takiego rozgłosu.

Wsparta na Ionie i Talicie, ruszyła do kuchni, i usiadła przy kuchennym stole, gdy do środka weszła Gladys, a za nią obładowany sprawunkami Dooley.

Starsze panie opowiedziały im całą historię. I o tym, że Elizabeth nie chce powiadomić policji.

- Hej, jest tu ktoś? - w przedpokoju rozległo się wołanie - Mimi, zastukały jej obcasy. - Ach, tutaj jesteście! - wpadła do kuchni i stanęła jak wryta. - Co się stało? - wykrztusiła, patrząc na spuchniętą i zaczerwienioną twarz przyjaciółki.

- Ach, niech no ja dorwę tego...! - wycodziła usłyszawszy o tym, co się stało.

Podczas gdy Gladys dezynfekowała rozciętą skórę Elizabeth, Dooley pstryknął kilka zdjęć.

- Świetny pomysł - pochwaliła Mimi. - Niech no tylko Max dopadnie Wyatta, da mu niezły wycisk. Chciałabym przy tym być.

- Nic takiego nie będzie - odezwała się Elizabeth. - Obiecujcie mi, że Max o niczym się dowie.

- Skarbie, Wyatt napadł cię, próbował zgwałcić. Należy mu się kara - przemawiała jej do rozsądku Mimi.

- Skończy się tym, że to Max trafi za kratki. Proszę was, obiecujcie, że nie piśnecie słowa - prosiła. - On szybko tu nie przyjedzie, pewnie nie wcześniej niż za tydzień. Przez ten czas wydobrzeje.

Niechętnie przystali na jej prośbę.

- Najlepiej będzie, jak teraz pójdziesz do łóżka. Weź aspirynę albo te proszki, które dostałaś w Nowym Jorku - rzekła Mimi. - Zostały ci jeszcze, prawda?

- Tak, zażyłam tylko kilka.

- Chodź, odprowadzę cię. - Mimi wzięła torbę z lodem.

Ledwie weszły na górę, Elizabeth pobiegła do łazienki. Wstrząsnęły nią torsje. Mimi podtrzymała ją, podała zwilżony ręcznik.

- Spodziewałam się tego - rzekła. - Zawsze tak



reagowałaś na stres. Gdzie te proszki? - Mimi już otwierała szuflady.

- Wezmę aspirynę. Na wszelki wypadek nie chcę brać nic mocniejszego.

Mimi znieruchomiła.

- Dlaczego? - Popatrzyła na przyjaciółkę czujnie. - Czyżbyś coś przede mną ukrywała? - Naraz szeroko otworzyła oczy. - O Boże, jesteś w ciąży?

- Nie wiem... może. Nie mam pewności, ale wolę nie ryzykować. Mam nieregularne cykle, a teraz tyle się dzieło...

I przez większość nocy miałaś przy sobie swojego przystojniaka.

- Mimi! Ty ciągle tylko o jednym!

Mimi skrzywiła się zabawnie.

- A co w tym złego? Elizabeth zaśmiała się, ale zabrzmiało to blado.

- No dobrze, w takim razie weź aspirynę. – Pomogła jej przebrać się w nocną koszulę. - Pod kołdrą będzie ci lepiej - przekonywała. - Zobaczysz, aspiryna ci pomoże, zaraz zaśniesz.

Elizabeth trzymała się, póki nie znalazła się w łóżku. Mimi usiadła obok niej, wzięła ją za rękę.

- No i co, kotku? - zagadnęła serdecznie.

- Och, Mimi, to było coś potwornego - żałośnie rzekła Elizabeth i łzy popłynęły jej po policzkach.

- Wiem, skarbie, wiem. - Mimi objęła ją i kołysała łagodnie, tak jak wtedy, gdy Elizabeth była jeszcze dzieckiem. - Wyrzuć to z siebie - szeptała, delikatnie gładząc ją po plecach.

- Masz prawo do płaczu. I do gniewu. Wyrzuć to z siebie. Zobacysz, poczujesz się lepiej.

Już nie powstrzymywała płaczu. Szloch wstrząsał jej ciałem, z oczu płynęły strugi łez. Wtulona w przyjaciółkę, szukała w niej ukojenia.

Mimi milczała. Nawet jeśli domyślała się, że Elizabeth szlocha tak rozpaczliwie nie tylko z powodu Wyatta, lecz wszystkiego, co stało się przez ostatni rok, zwłaszcza przez ostatnie miesiące, nic nie mówiła. Kołysała ją tylko w ramionach.

Po jakimś czasie płacz przeszedł we łkanie, Elizabeth uspokoiła się. Mimi podała przyjaciółce pudełko chusteczek.

- Dzięki - wymamrotała. Wytarła nos. - Chyba było mi tego trzeba - wyszeptała, kładąc się i przykrywając kołdrą.

- Też tak myślę. - Mimi odgarnęła jej włosy z twarzy. - Już od dawna tego potrzebowałam.

- Dzięki, Mimi - wyszeptała, pociągając nosem. - Dzięki, że przy mnie jesteś.

- A niby gdzie miałabym być?

Z uśmiechem patrzyła, jak powieki Elizabeth powoli opadają. Jeszcze przez kilka minut siedziała przy niej, uspokajająco gładząc ją po ramieniu. Elizabeth oddychała coraz równiej. Mimi powoli wstała, otuliła przyjaciółkę kołdrą i na palcach wyszła z sypialni.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Max wszedł do hotelowego apartamentu, rzucił na fotel teczkę i płaszcz.

- Dzisiaj posunęliśmy sprawy do przodu - rzekł, zdejmując marynarkę. Rozparł się na kanapie, wyciągnął nogi.

Troy zamknął drzwi, popatrzył na zadowoloną minę szefa.

- Tak, poszło nieźle - potaknął z uśmiechem. - Jeszcze tylko ten ostami właściciel i możemy ruszać.

Podszedł do barku i nalał sobie drinka.

- Napijesz się czegoś? - Popatrzył na Maksa.

- Nie, dzięki.

- Mamy co świętować - zagadnął Troy. - Co byś powiedział, gdybym umówił jakieś fajne laski? Pójdziemy na kolację i dancing, a potem kto wie...?

Pewna blondyneczka, Monique, wszystko rzuci, by się z tobą znowu zobaczyć.

Max popatrzył na niego spod oka.

- Nie zapomniałeś o czymś? Jestem żonaty.

- Żartujesz sobie? Przecież to małżeństwo tylko na papierze. Układ dobry dla obu stron.

- Wzięliśmy normalny ślub, złożyliśmy przysięgę. Dla mnie to prawdziwe małżeństwo.

- Dobrze wiesz, o czym mówię. Ona nic dla ciebie nie znaczy. I vice versa. Pobraliście się, lecz każde idzie swoją drogą.

- Hm... - Max zapatrzył się w swoje błyszczące buty. Na początku też tak zakładał, jednak mimo to zamierzał dochować Elizabeth wierności.

To miał być wzajemnie korzystny układ; nic dziwnego, że Troy nadal tak to widzi.

Jednak przez te kilka tygodni wiele się zmieniło. Sam nie wiedział, jak to się stało. I nie umiał sobie tego wyjaśnić. Tym bardziej Troyowi.

- Otóż mylisz się - zagaił. - Nawet jeśli to tylko formalny związek, będę wiernym mężem. Dotrzymuję słowa. Poza tym w dzisiejszych czasach bezpieczniej jest ograniczyć liczbę partnerów seksualnych do jednej osoby. - Uśmiechnął się do asystenta. - Może powinieneś spróbować?

- Nie bajeruj, za dobrze się znamy. - Wzdrygnął się. - Prędzej wyciąłbym sobie tępy nożem, niż związał się z kimś na stałe. Max roześmiał się. „Na stałe”. Na Troya te słowa działają jak płachta na

byka, a dla niego są spełnieniem marzeń.

Zawsze tęsknił za prawdziwym domem, miejscem, do którego zawsze będzie wracać, gdzie znajdzie spokój i odprężenie, gdzie będzie u siebie. Z taką myślą kupił apartament. Niestety to nadal nie było miejsce kojarzące się z domem.

Może to jego wina. Od dziecka wędrował z rodzicami z miasta do miasta, z kraju do kraju. Nigdzie nie zagrzali miejsca. Może dlatego nie potrafi stworzyć sobie domu.

Apartament w Houston był tylko namiastką domu; nie czuł szczególnej potrzeby, by jak najszybciej do niego wracać. Nikt tam na niego nie czekał.

Od ponad dziesięciu lat pracował tak intensywnie, że wieczorem marzył tylko o prysznicu i wygodnym łóżku. Jeździł po świecie, a luksusowe hotele niczym się od siebie nie różniły.

Od ślubu z Elizabeth jego nastawienie zaczynało się zmieniać. Coraz częściej łapał się na tym, że stara się jak najszybciej załatwić interesy, by wracać do żony. Co więcej, w trakcie ważnych negocjacji zdarzało mu się wyłączyć, a jego myśli płynęły wtedy do Elizabeth. Widział przed sobą jej twarz, zielono-niebieskie oczy, zgrabny nosek, policzki, gęste lśniące włosy. Wyobrażał sobie, że zanurza w nich palce... Dzisiaj było podobnie. Na szczęście mógł polegać na Troyu. Gdy on łopatologicznie wbijał rozmówcy do głowy argumenty, Max zastanawiał się, jak miewa się Elizabeth, jak jest teraz ubrana, czy jej też trudno zasnąć

samotnie. Coraz bardziej go do niej ciągnęło.

Popatrzył na Troya nalewającego sobie kolejnego drinka.

- Powiedz mi, co właściwie masz do Elizabeth - zapytał. - Nie zaprzeczaj, bo przecież widzę, że coś ci nie leży.

Troy upił łyk whisky, wzruszył ramionami.

- Nie chodzi konkretnie o nią, a o ten typ.

- Mógłbyś dokładniej?

- Mam na myśli kobiety z wyższych sfer. Kochają cię, gdy masz pieniądze, lecz gdy tylko je stracisz natychmiast odpływają do następnego bogatego nieroba.

- Mówisz to z własnego doświadczenia? - przyglądał mu się bacznie.

Poznali się na ostatnim roku studiów. Troy przeniósł się z prestiżowego Yale na uniwersytet i Texas Tech. Co już samo w sobie było nie do pojęcia. Z półsłówek rzucanych przez Troya wynikało, że jego bogaty tatuś niespodziewanie zbankrutował i popełnił samobójstwo, zaś przykre konsekwencje jego działań spadły na rodzinę.

Max, który do wszystkiego doszedł własnymi siłami, miał dość wysłuchiwania ciągłych żalów i utyskiwań chłopaka z bogatego domu, któremu nagle usunął się grunt spod nóg. Po tygodniu mieszkania we wspólnym pokoju wreszcie nie wytrzymał i nie przebijając w słowach, powiedział mu, co o tym myśli.

- Nie ty pierwszy i nie ostatni dostałeś kopa od losu, więc weź się w garść i idź do przodu! - wykrzyczał mu prosto w twarz.

Nie spodziewał się, że od tej pory staną się najlepszymi kumplami.

- Masz rację. - Troy wzruszył ramionami. - Jak wiesz, wychowałem się w bogatym domu, jak Elizabeth. Czyli najlepsze szkoły, spełniane zachcianki, te rzeczy. Zadurzyłem się bez pamięci w dziewczynie, którą znałem jeszcze z liceum. Myślałem, że ona też mnie kocha. Gdy okazało się, że z naszej fortuny nic nie pozostało, miłość się skończyła.

Odwrócił się od okna, popatrzył na Maksa.

- Wtedy postanowiłem postawić na wykształcenie. Obiecałem sobie, że zrobię duże pieniądze, najszybciej jak się da. Żeby zobaczyła, ile straciła.

- I co?

- Dzięki tobie stałem się bogaty, jednak wciąż mam poczucie, że to jeszcze za mało. I że nigdy nie będę wystarczająco bogaty. Nie czuję się na siłach do konfrontacji.

Zadzwoiła komórka Maksa. To był Dooley.

- Co się stało, że dzwonisz? - Max od razu zeszywniał. - Tylko nie mów, że pojawił się ten z Nowego Jorku.

- Nie proszę pana. Jestem czujny, tak jak pan przykazał. Proszę się nie niepokoić.

- W takim razie w czym rzecz?
- Nie mogę powiedzieć. Obiecałem, że dochowam tajemnicy.
- Obiecałeś? Komu?
- Pani Elizabeth. Wymogła na nas, że o niczym panu nie piśniemy słowa. Powiem tylko, że na pana miejscu wróciłbym na farmę. Jak najszybciej - Urwał. - Nic więcej nie mogę powiedzieć. I proszę o dyskrecję.
- Jasne. Obiecuję. Dzięki za sygnał, Dooley.

Obudził ją ból pulsujący w policzku. Elizabeth zerknęła na zegarek na szafce obok. Dochodziła szósta po południu. Podniosła się, poszła do łazienki. Na widok swego odbicia w lustrze jęknęła głucho. Wyglądała jak po meczu bokserskim. Lewa część twarzy była spuchnięta i już podbiegła krwią, kącik oka rozcięty, oczy czerwone od płaczu.

Połknęła dwie aspiryny, ochlapała twarz zimną wodą i przeczesała włosy. Żaden makijaż nie ukryje opuchlizny i siniaka.

Założyła prostą sukienkę z zielonkawej wełny i zamszowe sandałki na obcasie. Do tego kolczyki i łańcuszek.

- Kogo my tu widzimy! - na dole przywitały ją słowa Mimi. - Nasza Śpiąca Królewna. Jak się czujesz, kotku?
- Poobijana i zmarnowana, ale jeszcze się nie poddaję.



- Zuch panna - pochwaliła ją Talita. - Kobiety z naszego rodu są z twardego materiału.

- Och, Elizabeth, wciąż nie mogę uwierzyć, że ten drań podniósł na ciebie rękę - rzekła Iona. - Nie mógł ci darować, że wybrałaś mojego syna, a nie jego. Nic dziwnego.

Gladys już wołała do stołu, więc ruszyły do jadalni. Zasiadły przy stole, Elizabeth na swoim miejscu na wprost szerokich drzwi wychodzących na hol. Gospodyni wniosła ostatni parujący półmisek, gdy zachrobotał zamek frontowych drzwi. Elizabeth wciągnęła powietrze, popatrzyła po zebranych.

- To Max. Pamiętajcie, ani słowa o tym, co się stało

- Ale...

- Proszę - rzekła błagalnie.

Max od razu podszedł do matki. Ucałował ją serdecznie.

- Szkoda, że rejs ci się nie udał. Jak się czujesz? Jak noga? - zarzucił ją pytaniami.

- Dobrze. Twoja kochana żona wspaniale się mną zajęła.

Max przeniósł wzrok na Elizabeth.

- Dziękuję.

Elizabeth skinęła głową. Celowo odwracała się bokiem. Max skinął głową Talicie i Mimi, cmoknął żonę w policzek.

- Pójdę się umyć i zaraz wracam. - Zniknął w korytarzu.

- Widzisz? Mówiłam, żeby do niego zadzwonić. - Wyszepiała

Talita, ledwie zamknęły się za nim drzwi łazienki.

- Och, Elizabeth! - załamywała ręce Iona. - zaraz się wścieknie, już ja go znam.

- Co myślisz zrobić, skarbie?

- Nie mam wyjścia, muszę mu powiedzieć. Wolałabym tylko zrobić to na osobności. Najlepiej w sypialni.

- Dobry pomysł - Iona żarliwie pokiwała głową. - Jego ojcu też wolałam mówić o złych rzeczach, gdy już się dobrze spracował w sypialni. Lepiej je wtedy przyjmował.

Mimi omal nie zachłysnęła się wodą. Talita jęknęła i udała, że z ciekawością ogląda wzór na sztućcach. Elizabeth zarumieniła się po czubek włosów.

- Od razu lepiej - zagaił Max, wchodząc do jadalni. Usiadł na wprost Elizabeth.

- No więc, co się dzieje?

- Nic - cztery kobiety odparły zgodnym chórem i od razu wbiły wzrok w talerze.

Max przestał nakładać sobie ziemniaki, przesunął wzrokiem po siedzących. Unikały jego spojrzenia.

- Aha. - Podał półmisek Mimi, nałożył sobie kotlet z kurczaka, sięgnął po sos. Czuł, że coś jest nie tak.

Rozmowa przy stole się nie kleiła, co i raz zapadała przeciągająca się cisza. Nawet Mimi była dziwnie milcząca.

- Elizabeth, boli cię szyja? - zapytał.

- Nie, dlaczego?

- Bo cały czas odwracasz się do mnie bokiem.

- Wydaje ci się.

Odłożył sztucce, popatrzył na nią przez stół.

- Spójrz na mnie.

Popatrzyła na niego z ukosa.

- Patrzę.

Max odsunął krzesło, okrążył stół. Elizabeth zamarła, pozostałe panie też milczały jak trusie.

- Odwróć się do mnie - rzekł, ujmując ją za brodę. Odwrócił ją ku sobie i w tej samej sekundzie na jego twarzy odmalował się szok, a potem gniew. – Cholera! Kto ci to zrobił?

- Dlaczego sądzisz, że ktoś mi to zrobił? Mogłam upaść.

- Nie opowiadaj bzdur. Widziałem bójkę w barze, wiem po czym tak się wygląda. Kto ci to zrobił?

- Wyatt Lassiter.

- Ciociu!

- Zabawa skończona, moje dziecko. Nie da się dłużej tego ukrywać.

- Wyatt Lassiter? Co za skur... Czemu cię napadł?

Talita i Iona na wyścigi zaczęły zdawać mu relację, łącznie z dawną historią zerwanych zaręczyn Tality.

Max ledwie hamował wściekłość. Poderwał się, szybkim krokiem ruszył do przedpokoju i złapał płaszcz.

- Max, Max, dokąd chcesz iść?

- A jak myślisz? Dorwę tego Lassitera i dam mu taki wycisk, że na zawsze mnie popamięta!

- Max, nie! - Elizabeth dogoniła go, złapała za rękę. - Proszę, nie rób tego. To bardzo wpływowa rodzina. Jeśli wystąpisz przeciwko nim, pożegnaj się z twoimi planami.

- Do cholery, Elizabeth! Uważasz, że to dla mnie ważniejsze niż ty? - Aż się w nim gotowało ze złości. Ręce go świerbiły.

- Tak - powiedziała, zniżając głos. - Przecież po to się ze mną ożeniłeś. Więc nie rujnuj swoich szans.

Oddychając ciężko, wpatrywał się w nią bez słowa. Pragnął powiedzieć, że jest dla niego ważna, że jest kimś więcej, niż początkowo przypuszczał, jednak wątpił, by chciała to usłyszeć. Trzymała się ram, jakie sami wyznaczyli.

Sam nie był do końca pewien swoich uczuć. Ani tego, czy zdoła znaleźć właściwe słowa.

Iona i Talita podeszły do nich.

- Max, ona ma rację - zaczęła Talita. - Z Lassiterami lepiej nie zadzierać. Zrobisz sobie wrogów na całe życie.

- Synku, musisz ochłonać - poparła ją Iona. - Jesteś zdenerwowany, niechący przesadzisz. I jeszcze cię aresztują.

- Mam puścić mu to płazem? Ten łajdak przyszedł do naszego domu i napadł moją żonę, a ja mam nawet nie kiwnąć palcem? Niedoczekanie!

- Wręcz przeciwnie - łagodziła Iona. – Oczywiście, że musisz stawić mu czoło, ale dopiero wtedy, gdy się uspokoisz.

- Twoja mama ma rację. Wyatt ci nie ucieknie. Najpierw na spokojnie obmyśl sobie plan – dodała Talita. - Och, tu mamy dowód. W razie gdyby się wypierał. - Wyjęła z kieszeni kopertę. – Dooley wykazał się bystrością i zrobił parę zdjęć tuż po tym, jak twoja mama i ja wygarbowałyśmy Wyattowi skórę. Nieźle mu przysoliłyśmy, co, Iona?

- Oj, nieźle! Uciekał jak niepyszny.

Max popatrzył na starsze panie i jego złość opadła. Wyobraził je sobie, jak z całych siły okładają tego nadętego pyszałka.

- No dobrze, niech wam będzie - poddał się niechętnie. - Poczekam do rana. Ale Lassiterowi to nie ujdzie na sucho, choćbyście nie wiem jak mnie powstrzymywały. Jasne?

Panie wymieniły spojrzenia, z rezygnacją kiwnęły głowami.

- Dobrze, nie będę się wtrącać - obiecała Elizabeth.

- Ja też nie, synu.

- Ja również - włączyła się Talita. - Choć chętnie bym popatrzyła, jak ten gnojek dostaje za swoje.

- I ja - dodała Mimi. - Założę się, że wielu ludzi chętnie by zapłaciło, żeby to zobaczyć na własne oczy.

- No, skoro już wszystko ustaliliśmy, wracajmy do stołu - zarządziła Talita.

Max sięgnął po nóż i widelec, popatrzył na żonę.

- Trzeba odwołać kolację z Drexelami i pozostałe spotkania - rzekł. -  
Minie trochę czasu, nim zejdzie ci ten siniec.

- Wiem - cicho potwierdziła Elizabeth. - Już to zrobiłam.

Dopiero gdy znaleźli się w sypialni, wróciła do tematu, który nie dawał jej spokoju od tylu dni.

Zdejmując kolczyki, podeszła do toaletki.

- Max, chciałabym z tobą porozmawiać.

- Bardzo proszę - odparł, znikając w garderobie.

Elizabeth zdjęła łańcuszek, włożyła biżuterię do miseczki ze rżniętego szkła i weszła do przestronnej garderoby.

- Chodzi mi o tę inwestycję w Dallas.

- A dokładniej? - Zdjął krawat i zaczął rozpinać koszulę.

- Ja nikomu nic nie powiedziałam. Ani mój prawnik. To Wyatt jest sprawcą przecieku.

- Wiem o tym. - Wrzucił koszulę do kosza na bieliznę.

Elizabeth, rozpinająca suwak na plecach, znieruchomiała.

- Wiesz? - Wlepiała w niego wzrok.

- Tak. Pomóc ci? - Nie czekając na odpowiedź, stanął za nią i zręcznie rozpiął suwak.

- Od kiedy?

Jak zahipnotyzowany patrzył, jak zdejmuje sukienkę i wiesz ją na wieszaku. W tych skąpych majteczkach z zielononiebieskiej

koronki wyglądała bosko. Drobna, lecz jakże harmonijnie zbudowana. Te apetyczne krągłości, cudowne nogi...

- Max? - Stanęła przed nim z rękami na biodrach. Od kiedy wiesz, że to Wyatt?

- Hm, zaraz... Chyba od poniedziałku. Boże, Kobieto, ale ty potrafisz dobrać bieliznę.

- Czy mógłbyś skoncentrować się i odpowiadać? - prychnęła.

- No dobrze. Od poniedziałku. - Zaczął wieszać spodnie.

- Od poniedziałku? I nawet nie raczyłeś do mnie zadzwonić?

Zaskoczyła go, widziała to po jego minie.

- Hm, tak wyszło. Nie myślałem, że to taki problem.

- Nie myślałeś... och, ty bezmyślny tumanie! - wybuchnęła. - To ja przez trzy dni się zadręczam, zastanawiam, czy przypadkiem nie chlapnęłam czegoś, co mogłoby kogoś naprowadzić... A ty przez cały czas wiedziałeś, że niesłusznie mnie oskarżyłeś!

- No, może rzeczywiście masz trochę racji.

- Trochę racji? – odparowała. Zrzuciła sandały i zaczęła krążyć po garderobie. - Zarzuciłeś mi nielojalność i ...

- Poczekaj, nigdy tego nie powiedziałem.

- Akurat.

Skrzyżował ramiona na piersi i przyglądał się

Elizabeth z zachwytem. W tym przystępie furii wyglądała fantastycznie.

- Wszystko ci wyjaśnię. W niedzielę doszły mnie słuchy, że ktoś chce storpedować mój projekt. To mnie strasznie wkurzyło. Nie zdawałem sobie sprawy, jak to odebrałaś. Że cię uraziłem.

- Że mnie uraziłeś? - Zatrzymała się i popatrzyła na niego, jakby naraz wyrosła mu druga głowa. - Uważasz, że tylko o to chodzi? W takim razie wiedz, że jeszcze nigdy w życiu nie zostałam tak obrażona. Poddałeś w wątpliwość moją uczciwość, moją lojalność - wydusiła przez zaciśnięte gardło. - Mój własny mąż zarzucił mi nieuczciwość i nielojalność i zamiast stanąć po mojej stronie...

Max podszedł do niej z tyłu, objął ją w talii.

- Wiem, kochanie.

Elizabeth znieruchomiała.

- Co ty robisz?

Przysunął twarz do jej karku.

- Masz rację. Byłem bezmyślny. Przepraszam. Ale nie zrobiłem tego celowo. - Zaczął muskać ustami jej szyję i ucho, gładzić dłońmi jej skórę.

- Czyś ty oszalał? - Szarpnęła się. - Jeśli myślisz, że coś teraz wskórasz, że mnie w ten sposób udobruchasz, to bardzo się mylisz.

- Dlaczego? - wyszeptał, niezrażony jej reakcją.

- No wiesz! Wydaje ci się, że wystarczy powiedzieć „przepraszam”, a ja od razu padnę ci w ramiona? Nic z tego!



Elizabeth, nie denerwuj się. Zaszło nieporozumienie

- Nie, ty naprawdę jesteś beznadziejny!

- Masz rację. Absolutną rację. Przepraszam. Należą mi się baty - zapewniał, lecz w jego głosie pobrzmiwał śmiech.

- To wcale nie jest zabawne! Przestań! – parsknęła, uderzając go po palcach, bo znów zaczął przesuwac nimi po jej ciele. – Jeśli naprawdę myślisz, że dzisiaj coś zwojujesz, to jesteś jeszcze większym idiotą, niż sądziłam.

Chciała się wyrwać, lecz on nie wypuszczał jej z objęć. Zaśmiał się cicho, obrócił ją ku sobie. Jego seksowny uśmiezek jeszcze bardziej ją rozdrażnił.

- Chcesz się założyć? - zapytał niskim, zmysłowym tonem.

Jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

- Chyba... nie ośmielisz się mnie zmusić.

- Oczywiście, że nie. - Spochmurniał, słysząc wahanie w jej głosie. - Do niczego nie muszę cię zmuszać, oboje dobrze to wiemy. Ciągnie nas do siebie nie zaprzeczysz.

- Och!

Jego sposób na rozładowanie sytuacji doprowadzał ją do obłędu. Max wcale się tym nie przejmował. Zaczął całować jej szyję, barki, policzki.

- Stęskniłem się za tobą - wyszeptał między pocałunkami.

Trzymał ją delikatnie. Gdyby chciała, mogłaby się wycofać.

- Puść mnie - wydusiła, nacierając na jego pierś.

- Za minutę - wyszeptał, przygarniając ją jeszcze mocniej i całując coraz goręcej. Czuł, że jej opór słabnie. Jej palce dotykały teraz jego torsu, przesuwając się pieszczotliwie. Po chwili oddała pocałunek.

Zatracili się w pieszczotach, zapomnieli o słowach, jakie niedawno padły. Max porwał Elizabeth na ręce i ruszył z nią do sypialni.

Nieco później, kiedy leżeli obok siebie w ciemnościach, jeszcze łapczywie łapiąc oddech, Elizabeth wyszeptała:

- Max?

- Tak?

- Seks niczego nie zmienia. Nadal jestem na ciebie zła.

Przekręcił się na bok, przygarnął ją lekko.

- Elizabeth, nie umiem przeproszać, więc słuchaj uważnie. Przepraszam, że zachowałem się jak bałwan. A szczególnie za to, że w ciebie zwątpiłem. Jeszcze nim poleciliśmy z Troyem do Dallas, widziałem, że ty nic nie powiedziałaś Wyattowi.

- Skąd to wiedziałeś? - zapytała, nadal nadąsana. Z roztargnieniem bawiła się włoskami na jego przedramieniu.

- Jak tylko ochłonałem, zdałem sobie sprawę, że nigdy byś czegoś takiego nie zrobiła.

To nie leży w twojej naturze.

- Naprawdę?

- Naprawdę. - Skrzywił się z goryczą. - Chyba szukałem kogoś, na kim mógłbym się wyładować. Choć wiedziałem, że to nie ty. - Ujął jej dłoń, przesunął ją sobie do ust i ucałował. – Przebaczysz mi? - zapytał, patrząc na nią błagalnie.

Nieco ją udobruchał, ale jeszcze się opierała.

- Chyba tak - wymruczała.

Sięgnęła po szlafrok, założyła go.

- Gdzie idziesz? - zapytał Max.

- Umyć zęby i twarz - odparła i zniknęła w łazience.

Oparł się o poduszki, westchnął przeciągle. Był szczęśliwy, teraz to do niego dotarło. Naprawdę głęboko szczęśliwy. I po raz pierwszy całkowicie zadowolony ze swego życia.

Wszystko z powodu jednej drobnej kobietki.

Jak to, do diabła, możliwe? Od samego początku ma z nią same problemy. A jednak... dzięki niej jest szczęśliwy. I bądź tu mądry.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Ja do pana Wyatta Lassitera - bez wstępów  
rzekł do recepcjonistki Max.

- Był pan umówiony? - Dziewczyna popatrzyła czujnie.

- Nie.

- Pan Lassiter jest teraz zajęty. W sali konferencyjnej ma spotkanie z klientami.

Max rozejrzał się. Na drzwiach w końcu korytarza spostrzegł napis „Sala konferencyjna” i ruszył w tamtą stronę.

- Jeśli chce pan umówić się na spotkanie.... Zaraz, niech pan poczeka!  
Proszę pana, tam nie można wchodzić!

Nawet nie zwolnił. Po kilku krokach był przy

drzwiach. Pchnął je bez pukania. Osiem głów odwróciło się w jego stronę.

- O co chodzi? - surowym tonem odezwał się Henry Lassiter. - Jesteśmy w trakcie spotkania. Nie może pan tak wpadać.

- Już to zrobiłem. - Max okrążył stół, podszedł do Wyatta i chwyciwszy go za klapy marynarki, poderwał go z krzesła i wymierzył mu cios prosto w nos.

Wyatt zaskowyczał z bólu, z nosa puściła mu się krew. Zachwiał się i upadł na podłogę.

- Mój nos! Złamał mi nos! - Jęcząc, zakrył twarz rękami.

Siedzący przy stole, Henry, dwie kobiety i czterech mężczyzn, nerwowo poderwali się z miejsc.

- Ty... ty barbarzyńco! - ryknął Henry. – Wynoś się stąd natychmiast!

Max, nie zwracając na niego uwagi, złapał Wyatta za koszulę, szarpnął go w górę i przygniół do ściany. Trzymając go nieco nad ziemią, przysunął twarz do jego twarzy.

- To zapłata za to, co zrobiłeś Elizabeth – wycedził przez zęby.

- Wszystko, co ci powiedziała, to kłamstwo!

- Zamknij się, gnido. Widziałem jej posiniaczoną twarz. Damski bokser, psiakrew! Przy słabej kobiecie jesteś odważny, ale z facetami to już co innego, od razu oblatuje cię tchórz. Podśłuchaj mnie uważnie. Jeśli jeszcze raz zbliżysz się do mojej żony, to dopiero mnie popamiętasz.

- Grozisz mi?
- Żebyś wiedział.

Wyatt przesunął wzrok na wpatrzonych w tę scenę gapiów.

- Słyszeliście? Groził mi. Jesteście świadkami.
- Dzwonię po policję - ostro rzekł Henry.

Max z obrzydzeniem puścił Wyatta, odwróci się powoli do Henry'ego i popatrzył na niego zwężonymi oczami.

- Proszę bardzo. Chętnie popatrzę, jak policja aresztuje tego łajdaka, którego zwiesz synem, za napad na moją żonę.

- Nie masz na to dowodów! – wybuchnął starszy Lassiter.

- Tak sądzisz? Dwie urocze, powszechnie szanowane starsze panie aż się rwą, by świadczyć w sądzie przeciwko Wyattowi.

Henry odłożył słuchawkę.

- Spodziewałem się, że tak zareagujesz – rzekł Max. - W razie gdyby przyszło ci do głowy mścić się na mnie, rozpuszczając plotki czy nadal sabotując mój projekt, ostrzegam, że mamy zdjęcia twarzy Elizabeth po tym, jak twój syn rzucił się na nią z pięściami. Nasz pracownik zrobił kilka fotek tuż po tym ataku, a na taśmie mam nagrania osób, które przy tym były. Wyobraź sobie, jakie wrażenie zrobią na sądzie dwie miłe staruszki, gdy staną na miejscu dla świadków.

Max wycelował palcem w skulonego Wyatta, jęczącego w zakrwawioną chustkę.

- Ciesz się, że tylko dostałeś w nos. Jeszcze raz cię ostrzegam: nie waż się podejść do mojej żony, bo się policzymy.

Odwrócił się i wyszedł. Od razu poszedł do gabinetu Johna Fossbindera. John podniósł głowę znad biurka.

- Witaj, Max. Jak leci? Nie spodziewałem się ciebie.

- Nie zajmę ci dużo czasu. - Uścisnął mu dłoń. – Chciałem cię tylko poinformować, że

przed chwilą przyłożyłem Wyattowi i złamałem mu nos.

- Słucham? - John był w takim szoku, że aż się poderwał z miejsca. - Spodziewam się, że miałeś powód?

- Jak cholera. - Pokrótce opowiedział mu całą historię. Z każdą chwilą twarz Johna pochmurniała.

- Domyślasz się zapewne, że w związku z tym oboje z Elizabeth zaczynamy się zastanawiać nad zmianą kancelarii. Skoro nie panujesz nad swymi pracownikami...

- Obiecuję ci, że wszystko załatwię - z ogniem zapewnił John. - Masz na to moje słowo.

Przedpołudnie Elizabeth i Mimi spędziły na zakupach, szukając gwiazdkowych prezentów. Elizabeth starała się nie myśleć, jak wypadła konfrontacja Maksa z Lassiterem.

Do domu wróciły tuż po drugiej, Maksa jeszcze nie było. Wyobraźnia podsuwała Elizabeth coraz bardziej dramatyczne obrazy. Zaczynała się bać, że został aresztowany za napaść.

- Nie dzwonił? - zapytała Ionę. Kociak, słysząc głos pani, z miauczeniem rzucił się w jej stronę, ślizgając się po parkiecie. Wzięła go na ręce i zaczęła, głaskać.

- Dzwonił. Powiedział, że wpadnie do biura i zaraz wraca.

- Widział się z Wyattem?

- Powiedział tylko, że załatwił co trzeba.

- Co za człowiek! Przepraszam, że tak mówię o twoim synu, ale jest taki oszczędny w słowach, że czasami doprowadza mnie do rozpacz.

- Nie denerwuj się, świetnie cię rozumiem. Jego ojciec też był taki skryty. Czasami aż mnie korciło żeby go walnąć patelnią po głowie.

- Kto jest taki skryty? - od progu rozległ się głos Maksa.

- Max! - Elizabeth odetchnęła z ulgą dobrze, że jesteś! Nic ci się nie stało? - Obrzuciła go niespokojnym spojrzeniem.

- A co się miało stać?

- No wiesz! - Ujęła się pod boki, spiorunowała go wzrokiem. - Wyszedłeś rano, dysząc żądzą zemsty, gotów rozerwać Wyatta na strzępy. Przez cały dzień wyobrażałam sobie wszystko co najgorsze, łącznie z tym, że któryś z Lassiterów cię postrzelił albo, że wylądowałeś



w więzieniu. A ty robisz zdziwioną minę.

Mimi przeniosła wzrok na Maksa, uśmiechnęła się szeroko.

Nieźła z niej zadzióra, jak jej ktoś dopiecze, co, przystojniaku?

- Widzę. Generalnie nie przepadam za paniami z temperamentem, ale jej z tym do twarzy.

- Możecie się opanować? I nie wymieniać takich uwag w mojej obecności?

Max popatrzył na żonę z uznaniem.

- Martwiłaś się o mnie? - W jego głosie zabrzmiało zaskoczenie. - To miło. - Przygarnął ją do siebie razem z kociakiem. Rozbrykany zwierzak zabawnie pacnął łapką muszkę Maksa. Max, wpatrzony w Elizabeth, nie zwracał na to uwagi. Siedzące w pokoju panie zamilkły.

- Hm... oczywiście, że się o ciebie martwiłam - powtórzyła Elizabeth. - Jesteś moim mężem.

- Jestem - wyszeptał i pocałował ją.

Dotyk jego ust obudził jej zmysły. Zatopiła się w jego ramionach, zapomniawszy o bożym świecie, o siedzących w pokoju paniach, o mruczącym kociaku wtulonym w Maksa. Sama niemal mruczała z zadowolenia.

Zachwiała się, gdy cofnął głowę, na szczęście podtrzymał ją w talii. Z czułością dotknął palcem jej sinego policzka, w oczach przemknął mu groźny błysk.

- Za każdym razem, gdy widzę, co ten drań ci zrobił, mam ochotę udusić go gołymi rękami.

- Wcale się nie dziwię - poparła go Iona. – Ale teraz mów, jak ci poszło.

- Nie dacie mi żyć, póki nie zdam szczegółowej relacji?

- Żebyś wiedział - z mocą oświadczyła Talita.

- No już, mów! - pośpieszała Mimi.

Max z westchnieniem przysiadł na kanapie i pokrótce opowiedział im o przeprawie z Lassiterem.

- Myślisz, że nie podadzą cię do sądu? - z niepokojem spytała Elizabeth.

- Nie zrobią tego. Mamy zdjęcia i świadków. Zresztą nawet gdyby zdecydowali się na taki krok, to John im na to nie pozwoli. Bardzo mu na tobie zależy, to po pierwsze. Po drugie, gdyby sprawa wyszła na światło dzienne, wizerunek firmy bardzo by ucierpiał. Straciliby klientów.

Przyznawała mu rację, jednak w głębi duszy lękała się. Max upokorzył Wyatta, w dodatku przy świadkach. Lassiterowie z pewnością nie puszczą im tego płazem.

Obawiała się, że zechcą się zemścić, i przez kolejne dni podskakiwała nerwowo na dźwięk dzwonka czy telefonu. W porównaniu z tym, co teraz przeżywała, nawet wcześniejsze przykre zdarzenia z Nowego Jorku odeszły w cień. Przypomniwał o nich dopiero telefon od Gertskiego. Inspektor chciał się upewnić, czy nie wydarzyło się nic podejrzanego.

Zgodziła się, by przysłał zdjęcia kryminalistów, bo być może rozpozna napastnika.

Po tej rozmowie poszła na górę, by zapakować rzeczy dla Maksa i Iony. Sama nie musiała szykować się do wyjazdu. Na farmie miała wszystko, co było jej potrzebne, podobnie jak Talita i Mimi. Wczoraj wraz z Mimi kupiła sporo ciuchów dla Maksa, a Gladys przywiozła z mieszkania Iony ciepłe rzeczy. Kończyła je pakować, gdy do sypialni weszła Mimi.

- Cześć, Gladys powiedziała mi, że tu cię znajdę. - Przysiadła na łóżku Iony. - Zawsze podobał mi się ten niebieski pokój - powiedziała, rozglądając się. - Pakujesz jej tyle rzeczy - skomentowała, patrząc na sterty ciuchów.

W głosie przyjaciółki zabrzmiała dziwna nuta. Elizabeth popatrzyła na Mimi. Wydawała się bardzo zgaszona.

- Bo ona na farmie nic nie ma - wyjaśniła. - Tak jak Max. Nie wyjeżdżamy na długo, najwyżej na tydzień, a i to może nie.

- Wiem. - Westchnęła. - Ale tak nie lubię, jak wyjeżdżasz.

- No to jedź z nami.

- Hm. Nie wiem, czy Max byłby zadowolony.

Nim zdążyła odpowiedzieć, z korytarza dobiegło wołanie.

- Elizabeth! Gdzie jesteś?

Zerknęła na Mimi przepraszająco.

- W sypialni twojej mamy!

- A, tu jesteście. Cześć, Mimi. - Max wszedł do środka i cmoknął Elizabeth w usta. Tak naturalnie, jakby to czynił od lat. - Co robicie?

- Gladys przywiozła rzeczy Iony, pakuję je. Twoje już są w bagażniku. - Widząc jego minę, wyjaśniła: - Kupiłam ci trochę ciuchów. Buty, skarpetki, bieliznę. Zostaną na farmie.

Patrzył na nią oszołomiony.

- Kupiłaś mi ubrania? Skąd znałaś rozmiar?

- Owszem, kupiłam. Żona to robi, więc się przyzwyczaj. A rozmiar? Sprawdziłam w tym, co masz w garderobie.

- Widzisz, amancie? Żony są dobre nie tylko do łóżka.

- Mimi! - zgromiła ją Elizabeth, rumieniąc się gwałtownie. Pochyliła się nad walizką.

- Uhm - powoli rzekł Max. - Zaczyna to do mnie docierać.

Elizabeth zamknęła pełną walizkę. Popatrzyła na Maksa.

- To możemy iść. Chyba że chcesz się przebrać.

- Daj mi dziesięć minut. - Zatrzymał się przy drzwiach, odwrócił się.

- Mimi, jedziesz z nami?

- Nie wiem. Zapraszasz mnie?

- Przecież jesteś rodziną, nie? Zrobisz, jak zechcesz, ale jeśli jedziesz, to zbieraj się.

Zniknął w głębi korytarza. Mimi odprowadziła go wzrokiem, przeniosła na przyjaciółkę zaskoczone spojrzenie.

- Wiesz, naprawdę zaczynam lubić tego twojego chłopca.

W niedzielny wieczór przestępowała z nogi na nogę pod zamkniętymi drzwiami gabinetu. Stała, zbierając się na odwagę, jednak wciąż nie mogła się zdecydować. Już podnosiła rękę, by zastukać, i znowu ogarniały ją wątpliwości. Przyłożyła ucho do drzwi lecz z pokoju nie dochodził żaden dźwięk. Może jednak się wstrzymać? Nie, nie będzie takim tchórzem.

Zapukała i nacisnęła kłamkę. Wsunęła głowę do środka. Max popatrzył znad papierów na biurku.

- Cześć. Co tam? - zapytał.

- Hm... chciałabym omówić z tobą kilka rzeczy. Kiedy będziesz miał chwilę czasu. - Nieśmiało wskazała na papiery. - Widzę, że jesteś zajęty, to może przyjdę później. - Zaczęła zamykać drzwi, ale Max był szybszy.

- Poczekaj. Dla ciebie zawsze mam czas. Wejdz i usiądź.

- Nie, raczej postoję.

- No, zaczynam się bać - zażartował, składając papiery.

Podeszła do biurka, oparła dłonie przed sobą.

- Muszę ci coś powiedzieć. I przedyskutować parę rzeczy.

- Strzelaj - zachęcił z uśmiechem, jeszcze zagłębiony w papierach.

- Jestem w ciąży.  
- Aha - odparł z roztargnieniem. Naraz gwałtownie podniósł głowę. -  
Co?

- Powiedziałam...  
- Wiem, co powiedziałaś. Tylko że... chodzi mi o to... mówiłaś, że  
nie możesz mieć dzieci.  
- Powiedziałam tylko, że tak usłyszałam od lekarzy. Wygląda na to,  
że się pomylili.

Max wpatrywał się w nią w milczeniu. Poczowała się nieswojo.  
- I co ty na to? - zapytał, nie odrywając wzroku od jej oczu.  
- Jestem obłądnie szczęśliwa. Po prostu nie posiadam się z radości -  
odparła żarliwie, bezwiednie przykładając dłoń do płaskiego brzucha. -  
A co ty myślisz o zostaniu ojcem?

Max okrążył biurko, usiadł na blacie i przyciągnął Elizabeth do  
siebie. Stała między jego rozstawionymi nogami. Mimowolnie oparła  
ręce na jego torsie.

- Jak ja się z tym czuję? Na razie jestem zaskoczony. Dopiero to do  
mnie dociera. Ale jeśli ty jesteś szczęśliwa, to ja też.  
- Na pewno? Bo jakoś słabo to widać.  
- Na pewno. Jeszcze nie zdążyłem się otrząsnąć. Prawdę mówiąc, do  
tej pory nie zastanawiałem się nad tym, czy będę ojcem. I jakim.

Przechylił głowę na bok.  
- Na pewno jesteś w ciąży? Jesteśmy małżeństwem dopiero od... -  
odwrócił się, by popatrzeć na kalendarz.

- Od trzech tygodni - uzupełniła. - Owszem, jestem pewna. Zrobiłam trzy testy, za każdym razem wynik jest taki sam.

- Czyli potrzebowałaś odpowiedniego męża.

- Na to wygląda - odparła, rumieniąc się. - Według moich wyliczeń to stało się pod prysznicem w Nowym Jorku albo jakieś kilka tysięcy metrów nad Teksasem.

Max uśmiechnął się z zadowoleniem.

- No nie mów.

Klepnęła go w ramię.

- Daruj sobie tę minę. To na pewno nie jest pierwsze dziecko poczęte w samolocie.

- Dla mnie jest. Za to... - przerwało mu miauknięcie kota. Bar Code wślizgnął się przez niedomknięte drzwi i teraz ocierał się o nogi Elizabeth. Zwierzak chodził za Elizabeth jak cień. Nocą Max wynosił go z sypialni, inaczej przez całą noc spałby w ich łóżku.

- Och ty... - wymruczał ze złością, lecz szybko złagodniał. - O czym chciałaś powiedzieć?

- Właściwie to chciałam o coś prosić.

- Nie ma sprawy. Jak mógłbym odmówić mojej ej żonie?

- Może najpierw powinienes usłyszeć, o co chodzi? A zatem...

- Aż tak źle? No dobrze, wal.

- No więc... jak zapatrujesz się na to, żeby twoja mama zamieszkała z nami?

Zamurowało go.

- No więc?

- Mówisz poważnie? I to ma być prośba? Chcesz żeby moja matka, a twoja teściowa, zamieszkam z nami pod jednym dachem? Na stałe?

- Tak, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Dom jest duży, ten w Houston również. Pokoi na pewno nie zabraknie.

- Nie, nie mam nic przeciwko - odpowiedział, jeszcze oszołomiony tą niespodziewaną propozycją. - Mama nie mieszka ze mną tylko dlatego, że stale jestem w rozjazdach. Czułaby się samotna. Bałem się, że jeśli poczuje się źle, będzie zdana wyłącznie na siebie.

- Rozumiem, ale teraz sytuacja się zmieniła. Tam, gdzie mieszka, na pewno niczego jej nie brakuje, ma znajomych, opiekę i tak dalej, ale tutaj wśród swoich, chyba będzie szczęśliwsza. Jak myślisz? Max?

Patrzył w jej szczerze niebieskozielone oczy i czuł ucisk w piersi. Od samego początku przeczuwał, że Elizabeth jest dobra, jednak dopiero z czasem poznał głębię jej szlachetnej natury. Już uznała jego matkę za członka rodziny i otworzyła dla niej ramiona.

- Jasne, że tu będzie o niebo szczęśliwsza; nie mogę tylko pojąć, że jesteś na to gotowa. Wydawało mi się, że żony i teściowe zawsze drą koty.

- Co za bzdura! Twoja mama jest urocza, bardzo ją polubiłam. Poza tym wychowałam się w rodzinie wielopokoleniowej. Dla mnie to normalne, że wszyscy mieszkają razem.



Tu zwykle mieszkali cztery pokolenia, dlatego prapradziadek zbudował taki ogromny dom. A Iona i Talita świetnie się ze sobą dogadują.

- Chyba żartujesz. Dopiero co, grając w scrabble, kłóciły się ze sobą jak szalone. Bałem się, że skoczą sobie do oczu.

Elizabeth wybuchnęła śmiechem.

-Daj spokój. Nie widzisz, że świetnie się czują w swoim towarzystwie? Takie sprzeczki dobrze im robią. Przepadają za sobą. Iona uczy Talitę szydełkować, ciocia wprowadza ją w robótki na drutach. Niemal się nie rozstają. Jest jeszcze coś: Iona ma już swoje lata. Mieszkając z nami, będzie pod stałą opieką.

- Wiem. - Był poruszony do głębi, jak jeszcze nigdy dotąd. Nie spodziewał się aż takiej wielkoduszności i oddania. Elizabeth chce zabrać Ionę do swego domu, troszczyć się o nią tak, jak o swoją ciotkę. Chciał okazać jej wdzięczność, lecz z wyrażaniem uczuć zawsze miał kłopoty. Teraz też nie umiał znaleźć odpowiednich słów. - Zgoda, jeśli tego chcesz, to proszę bardzo. - Sam się wzdrygnął, słysząc jak to zabrzmiało. W oczach Elizabeth błysnęło rozczarowanie.

- Powiemy im teraz o dziecku?

- Jeśli chcesz.

Uwolniła się z jego ramion.

- W takim razie nie ma na co czekać. Idziesz ze mną?

- Jasne.

Starsze panie i Mimi nadal grały w scrabble.

- Gdy skończycie, Max i ja chcemy wam coś powiedzieć - rzekła Elizabeth.

- Właśnie skończyłyśmy - z dumą oznajmiła Iona. - Wygrałam!

- Bo ci się poszczęściło - burknęła Talita.

- O czym nam chcecie powiedzieć? – zagadnęła Mimi.

Max skrzyżował ramiona, oparł się o futrynę. Elizabeth przysiadła na pufie, ujęła dłonie Iony.

- Iono, omówiliśmy to z Makssem i oboje bardzo chcemy, byś zamieszkała z nami.

- Słucham? - Starsza pani zamrugwała, oswobodziła jedną dłoń i przyłożyła ją sobie do serca. - O Boże, co za niespodzianka! Nigdy bym się tego nie spodziewała. Moja słodka dziewczuszko, zrobiłaś mi wielką przyjemność, ale nie mogę tak się wam narzucać

- Iono, nie mów tak. Bardzo chcemy, byś była z nami. - Elizabeth rzuciła szybkie spojrzenie na ciotkę. - Jestem pewna, że Talita ma takie same zdanie.

- Naturalnie, że tak! - Starsza pani stuknęła laską w podłogę. - Nie rozumiem, dlaczego tak się przekomarzasz. Chyba że zależy ci, by się droczyć.

- No wiesz?

- To raczej nie do mnie pasuje takie określenie i dobrze wiesz...

- No już dobrze, dobrze - przerwała Elizabeth, patrząc na teściową. - To jak będzie? Myślisz, że mogłabyś z nami zamieszkać?

- Oczywiście, i to z największą przyjemnością, jednak nie chcę być dla was kłopotem.

- Iono, nie będziesz żadnym kłopotem.

- Na pewno...

- Kobieto, przestań się ceregielić! - wtrąciła się Talita. - Powiedz: „tak” i po krzyku. Bo zaraz zaczyna się mój ulubiony program.

- Iono, zapewniam cię, że nie będziesz dla nas żadnym kłopotem - powiedziała Elizabeth. - Jest jeszcze coś: liczę, że ty i Talita bardzo mi pomożecie, gdy pojawi się dziecko.

Na mgnienie oka w pokoju zapadła cisza. Raptownie przzerwana.

- Dziecko! - wykrzyknęła Iona.

- Skarbie, czy to znaczy, że jesteś w ciąży? - Mimi rozpromieniła się w uśmiechu, popatrzyła na Maksa. - Spisałeś się, przystojniaku!

Max skłonił się nisko.

- Przyjemność po mojej stronie.

- Nie wątpię - zamruczała Mimi.

- No nie, dziecko! Wielkie nieba, w naszym domu znowu pojawi się dziecinka. - Talita ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła płaczem.

- Ciociu, proszę cię, nie płacz. - Elizabeth objęła ją serdecznie.

- To łyzy szczęścia, dziecko. Już myślałam, że odejdę z tego świata, nie doczekawszy się kolej pokolenia Stantonów.

A teraz... - Wyciągnęła rękę przez stół i uścisnęła dłoń Iony. - Och, Iona! Będziemy mieć dzieciątko, by je kochać i rozpieszczać. Czy to nie cud?

- I to jaki! Ciocia Mimi też wariuje z radości. A dopiero co widziałam coś ślicznego: miniaturowe sobolowe futereczko, a do niego czapeczka i mufka.

- Mimi, no przestań!

- Co się tak oburzasz? Dziewczynka nigdy jest za mała na futro czy brylanty.

- A jeśli to będzie chłopiec?

- Och! - Mimi zamilkła na mgnienie. - To zamówię dla niego malutki smoking. I markowe buciki. A kiedy trochę podrośnie, kupię mu półcieżarówkę na baterie.

Elizabeth przewróciła oczami.

- Jesteś niemożliwa!

- No co, w końcu nie codziennie zostaje się ciocią.

- Wiesz co, Talito? - z ożywieniem rzekła Iona. - Przypomniałam sobie, że mam wzór na śliczny kocyk dla niemowlęcia. Jutro się za niego wezmę.

- Świetny pomysł. A ja zrobię na drutach czapeczki i buciki. Ach, jeszcze coś! Muszę odszukać nasze rodowe ubranko do chrztu. Chyba jest w skrzyni na strychu.

Elizabeth z uśmiechem patrzyła na rozpromienione starsze panie. Serce jej rosło, a w oczach czuła łzy.

Mimi dotknęła jej ramienia, pochyliła się i wyszeptała:

- Uszczęśliwiłaś je, skarbie. Mnie też, żeby była jasność. Moje gratulacje, mamusiu.

Elizabeth nakryła dłonią rękę przyjaciółki, popatrzyła na Mimi przez łzy.

- Dziękuję.

Przeniosła spojrzenie na Maksa. Uśmiechnął się do niej i uniósł kciuk.

Tej nocy był dla niej bardzo czuły. I delikatny jak nigdy. To z powodu dziecka, uświadomiła sobie i serce przepełniła jej jeszcze większa radość.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Była piąta rano, gdy Elizabeth po raz pierwszy poczuła poranne mdłości. Wskoczyła z łóżka i pędem rzuciła się do łazienki. Max pobiegł za nią.

- Co się stało? Źle się czujesz?

Jęknęła i pochyliła się nad muszlą. Wstrząsały nią torsje. Max odgarnął jej włosy i podtrzymał w talii.

- To pewnie wirus. Nie masz gorączki? Może zaszkodziło ci coś, co zjadłaś.

Była zbyt wyczerpana, by odpowiedzieć. Kiedy nieco doszła do siebie, wyprostowała się niepewnie.

- Max, to nie jest wirus, a poranne mdłości. Typowe dla pierwszych miesięcy ciąży.

Wlepił w nią rozszerzone oczy.

- Mówisz poważnie? Przecież musi być na to jakiś sposób. Może zawiozę cię na ostry dyżur?

- Nie ma potrzeby. To minie.

- Za ile? - Popatrzył na zegar. - Za dziesięć minut, pół godziny?

Choć ledwie trzymała się na nogach, nie mogła opanować wesołości.

- Trochę dłużej - zachichotała. - Za jakieś trzy-cztery miesiące.

- Aż tyle? Tak długo?

Pochyliła się nad umywalką, ochlapała twarz zimną wodą, wypłukała usta.

- Każda ciąża jest inna. Niektóre kobiety przechodzą ją gładko, jednak większość ma takie dolegliwości.

Myła zęby, obserwując w lustrze twarz Maksa.

- Nie wierzę, że nie ma na to remedium. Na Boga, ludzie latają na Księżyc, a z czymś takim nie mogliby sobie poradzić? Cud boski, że ludzka rasa jeszcze nie wygięła, skoro ciąża wiąże się z miesiącami cierpienia, a potem poród...

- Pewnie by wyginęła, gdyby to mężczyźni mieli zachodzić w ciążę i wydawać na świat potomstwo - zareplikowała.

Wreszcie wyciągnęła się na łóżku, położyła na czole zimny ręcznik i z westchnieniem zamknęła oczy. Max otulił ją kołdrą, przyniósł z łazienki kubełek na śmieci i postawił go po stronie Elizabeth, by nie musiała zrywać się z łóżka, gdy poczuje nawracające nudności. Rozczulił ją tym.

Położył się obok i delikatnie gładził ją po ramieniu. Nawet nie wiedziała, kiedy usnęła.

Kiedy się obudziła, Maksa nie było, a tuż obok jej głowy spał zwinięty w kuleczkę Bar Code. To stąd brało się to miłe ciepło, uśmiechnęła się w duchu. Max musiał go wpuścić. Popatrzyła na zegarek, i oniemiała. Dochodziło południe! W życiu nie spała tak długo!

Chciała się zerwać, lecz opanowała pokusę. Woląca nie ryzykować. Ostrożnie poszła do łazienki, kociak tuż za nią.

Godzinę później, ubrana w dżinsy, różowy sweter i mokasyny zeszła na dół. Kociak deptał jej po piętach. Zatrzymała się, słysząc dochodzące z pokoju głosy, zerknęła do środka. Przy bużującym kominku Iona i Talita oglądały wzory robótek, Mimi z podwiniętymi nogami siedziała w fotelu i czytała gazetę.

- Patrzcie, kto do nas przyszedł! – wesoło odezwała się Mimi. - Nasza Śpiąca Królewna.

- Witaj, śpiochu - Talita obrzuciła Elizabeth czujnym spojrzeniem.

- Dzień dobry. Przepraszam, że tak późno. Czemu mnie nie obudziłyście?

- Max przykazał, żeby ci nie przeszkadzać Powiedział, że rano strasznie wymiotowałaś, a on nigdy nie koloryzuje - z dumą rzekła Iona.

- Domyślałyśmy się, że jesteś wyczerpana. Chodź, usiądź tutaj. - Błyskawicznie poderwała się z fotela i usiadła obok Tality. - Tu ci będzie wygodnie.

Iona bezustannie starała się każdemu dogodzić taka już była. Wcześniej troszczyła się o męża i syna i na stare



lata pewnie jej tego brakowało.

Mimi zerknęła na przyjaciółkę znad gazety.

- Nie protestuj, bo z nimi nie wygrasz. Wariują z radości. Są takie przejęte, że pewnie nie zmrużyły oka.

Elizabeth nie miała sił protestować. Usiadła, wyciągając nogi na podnóżku. Kot natychmiast umościł się na jej kolanach.

- Ten kociak chodzi za tobą jak cień – zaśmiała się Iona.

- To prawda. - Elizabeth czule potarła zwierek.

- Nie dziw się, że jesteśmy takie podekscytowane - rzekła Talita. - Ostatnim dzieckiem w naszej rodzinie był twój świętej pamięci brat. A teraz nawet się nie obejrzymy, kiedy twoje maleństwo będzie na świecie, dlatego musimy się z Ioną dobrze przygotować. To oczywiste.

- No właśnie - z żarem poparła ją Iona.

- Ho, ho, skarbie, miej się na baczności – zaśmiała się Mimi. - One idą jak burza.

- Do pokoju weszła rozpromieniona Marta. Postawiła tacę na stoliku i błyszczącymi oczami popatrzyła na Elizabeth.

- Moje gratulacje! Będzie pani wspaniałą mamą. Już nie mogę się doczekać, kiedy w domu pojawi się ta kruszyna! - Serdecznie ją uścisnęła. – Świeżo zaparzona kawa - wskazała na tacę. - A dla pani herbata i słone krakersy. Sama nie mam doświadczenia

w tej mierze, lecz słyszałam, że gorąca herbata i krakersy są rewelacyjnym środkiem na poranne mdłości. Trzeba je mieć pod ręką, jeszcze nim się wstanie z łóżka.

- Ja też o tym słyszałam - wtrąciła Talita.

- Tak, tak - zapewniła Iona. - A słyszałaś może...

Obie panie zagłębiły się w rozmowie. Elizabeth upiła herbaty, wymieniła z Mimi porozumiewawcze spojrzenie.

- Czy ktoś się na dzisiaj zapowiedział? - nieoczekiwanie spytała Marta. - Bo jedzie do nas jakiś nieznany samochód.

Elizabeth spięła się, ale szybko zdusiła irracjonalny lęk. Od przyjazdu z Nowego Jorku minęły trzy tygodnie i przez ten czas nie wydarzyło się nic, co mogłoby budzić obawy.

- Kto tu może jechać? - Talita wbiła wzrok w szybę osłoniętą koronkową firanką. - Ciekawe.

- To pewnie Troy - rzekła Elizabeth. - Miał się tu dzisiaj pokazać.

- Pan Troy przyjechał ponad godzinę temu, jego samochód wciąż stoi pod domem. - Talita podeszła do okna. - Och, czy to nie... tak, to Quinton i Camille. Wspaniale!

Elizabeth i Mimi popatrzyły na siebie

- To wnuki mojej siostry - wyjaśniła Ionia Talita.

Marta pośpiesznie pozbierała naczynia i ulotniła się do kuchni. Jej uśmiech zgasł.

- Tylko tego nam było trzeba - mruknęła Mimi do Elizabeth. - Księżniczka Camille. Quinton jest całkiem do rzeczy, ale ta jego rozpaskudzona siostrunia...

- Śmiało, nie ograniczaj się - zachichotała Elizabeth. - Masz świętą rację. Ale Talita jest z nimi bardzo związana. Pójdę ich przywitać, bo inaczej Camille przez tydzień będzie krzywo na mnie patrzeć. - Ruszyła do przedpokoju.

- Witamy, co za niespodzianka! Wchodźcie z tego zimna - zakomenderowała Talita.

- Witaj, ciotuniu. Ale mieliśmy podróż! Zamiast w Houston, wylądowaliśmy w Dallas. Musieliśmy wynająć samochód. Całe szczęście, że Quinton tak dobrze prowadzi, bo droga miejscami była oblodzona -szczebiotała Camille. - Tu chyba jest zimniej niż w Nowym Jorku!

- Cześć, cioteczko! - Quinton uścisnął starszą panią i głośno cmoknął ją w policzek. - Jak się miewa moja ulubienica?

- Hm! Gdybyś częściej dzwonił, tobyś nie musiał pytać.

- Ale mnie ugodziłaś, moja słodka! - Teatralnym gestem złapał się za pierś, jakby wrywał z niej strzałę. - Obiecuję, że się poprawię.

- Cześć, Elizabeth. - Głos Camille stał się znacząco chłodniejszy. Uścisnęła ją zdawkowo, całując powietrze.

- Wybacz - szepnął Quinton, witając się z Elizabeth.

- Próbowałem ją powstrzymać, ale wiesz, jaka jest. Jak sobie coś wbije do głowy, to nie ma mocnych. Przyjechałem, żeby ją hamować.

- A gdzie Leon? - Talita rozejrzała się, szukając męża Camille.

Oczy Camille jak na zawołanie wypełniły się łzami.

- Och, ciociu, z nami już koniec.

- Jak to? Tylko mi nie mów, że znów się rozwodzisz.

- Hm... jeszcze nie. Zaraz po świętach składam pozew.

- Na litość boską, dziecko! Skoro twoje małżeństwo wisi na włosku, to czemu nie jesteś w domu i nie próbujesz go ratować?

Broda Camille zadrżała, łzy popłynęły po policzkach. Niezła z niej aktorka, pomyślała Elizabeth. Jeszcze chwila, a osunie się na ziemię.

- Gdzie w takiej sytuacji znajdę ukojenie jak nie na łonie rodziny?

- Powiem ci, moja panno, gdzie. Powinnaś być teraz w domu, przy mężu. Nie można machnąć ręką na wszystko, bo coś jest nie po twojej myśli.

- Jesteś bez serca - załkała Camille, ocierając oczy chusteczką. - Babcia Mariah mówiła, że taka jesteś.

Pięknie, pomyślała Elizabeth. Camille zawsze umiała nacisnąć właściwą strunę. Wiedziała, jak kogo zmiękczyć.

- Moja siostra miała ptasi mózdzek – z westchnieniem rzekła Talita.

- No już dobrze, chodźmy do salonu.

Camille otarła oczy, zatrzepotała wilgotnymi rzęsami.

- Więc możemy zostać? - spytała cicho drżącym głosem.

- Oczywiście, ty niemądra panno. Ale nim wyjedziecie, musimy się rozmówić, rozumiano?

- Tak, ciotuniu, oczywiście - potulnie odpowiedziała Camille.

- Wezmę wasze płaszcze - zaofiarowała się Elizabeth.

- A gdzie Marta? - obruszyła się Camille, wieszając płaszczy. - To jej robota. Wiesz, Elizabeth, za bardzo spoufalasz się ze służbą. To bardzo nierozważne. Zawsze należy utrzymywać dystans.

- Będę pamiętać. Zapraszam do salonu, poznam was z moją teściową.

- Och, no tak. Przecież jesteś świeżo po ślubie. Prawie wypadło mi to z głowy.

- Nie wierz jej - szepnął Quinton. - Jak tylko usłyszała, że wyszłaś za męża, chciała wszystko rzucić i tu wparować. Ledwie ją powstrzymałem, przekonując, że nie wypada przeszkadzać w trakcie miesiąca miodowego.

Wiedziała, że Quinton nie przesadzał.

- Jeszcze raz dziękuję - odpowiedziała cicho.

Przedstawiła Ionie kuzynkę i kuzyna, wskazała na Mimi.

- Mimi już znacie - rzekła.

- Och, Mimi. - Camille skrzywiła się z niesmakiem. - Nie spodziewałam się, że cię tu spotkamy.

Mimi bynajmniej nie zmieszała się tym niemiłym przyjęciem.

- Cóż - rzekła z uśmiechem. - Zawsze umiem się wprosić.

- Ty to powiedziałaś, nie ja - prychnęła Camille.

- No już, spokój! - Talita uderzyła laską w podłogę. - Ledwie weszliście, a już zaczynacie się sprzeczać. Naprawdę zachowujecie się jak dzieci.

- Masz rację, Talito, przepraszam - wycofała się Mimi.

Talita ostro popatrzyła na zasznurowane usta Camille.

- Co? Powinnam przeprosić?

Ciotka nawet nie mrugnęła.

- No dobrze! Nie powinnam była tego powiedzieć.

- Nie zwracaj uwagi na moją siostrę. - Quinton pochylił się i musnął usta Mimi. - Witaj, ślicznotko? Jak zwykle wyglądasz bosko - dodał kokieteryjnie.

Camille spiorunowała brata wzrokiem, usiadła obok Iony.

Elizabeth zasiadła w swoim fotelu. Bar Code błyskawicznie wskoczył jej na kolana i zwinął się w kłębek.

- No nie, masz kota? Elizabeth, przecież wiesz, że nie znoszę kotów.

- Camille skrzywiła się z obrzydzeniem. - Specjalnie go tu wzięłaś,

żeby mnie zdenerwować, przyznaj się.

- Chyba żartujesz. A niby skąd miałam wiedzieć, że się tu wybieracie?

- Dobrze, ale skoro już przyjechaliśmy, to bądź łaskawa wyrzucić go na dwór, bo tam jest jego miejsce.

- Na dwór? Na to zimno? Wykluczone. To tylko mały kociak. Poza tym to kot domowy.

Camille zwróciła się do Tality.

- Ciociu, każ jej wyrzucić tego zwierzaka. Przecież to jest i twój dom.

- Nie, moja droga. Nie zrobię tego. Ten kotek nikomu nie robi krzywdy.

- Teraz widzę, kto dla ciebie bardziej się liczy.

- Camille, nie bądź śmieszna - mruknęła Talita. - Wszyscy jesteście dla mnie rodziną, każdy z was jest tak samo ważny. Obrażasz mnie, sugerując, że kogoś faworyzuję.

- Przepraszam, ciotuniu. To przez ten rozwód jestem taka rozdygotana i w ogóle... - Znowu przytknęła chusteczkę do oczu.

Starsza pani przyglądała się jej przez dłuższą chwilę.

- No dobrze, wybaczam ci. Skoro wspomniałaś o rozwodzie... Dlaczego chcesz zostawić biednego Leona? Przecież on będzie zdruzgotany.

- Ciotuniu, gdybyś wiedziała, co ja musiałam przejść z tym człowiekiem

- Zaczęła barwnie rozprawiać o jego niezliczonych wadach i żalić się na niesprawiedliwy los.

Litania skarg na czwartego męża zdawała się nie mieć końca.

- A właśnie, gdzie twój mąż? - zainteresowała Camille.

- Wyszedł ze swoim asystentem - wyjaśniła Talita. - Poszli obejrzyć nowe lądowisko dla helikoptera.

- No tak - wtrąciła Elizabeth. - Mają go dziś dostarczyć.

- Mężczyźni i ich zabawki - mruknęła Talita.

- Ma własny helikopter? - Camille uniosła brwi. - To znaczy, że ma niezłą kasę.

- Camille, zachowuj się - zgromiła ją Talita. Elizabeth postanowiła zmienić temat.

- Camille, cieszymy się, że do nas przyjechaliście, ale szkoda, że wcześniej nie daliście znać.

- A to czemu? To moje rodowe gniazdo, tak jak i twoje - prychnęła Camille.

- Mylisz się. Owszem, to jest twoja rodowa siedziba, lecz ani ty, ani Quinton nie macie do niej żadnego tytułu. Dwie trzecie Mimosa Landing oraz ten dom należą do mnie. Pozostała część należy do Tality.

- Chcesz powiedzieć, że nie mogę odwiedzić mojej cioci, kiedy będę mieć taką ochotę?



- Nie. Powiedziałam jedynie, że grzecznie byłoby o tym uprzedzić. Choćby po to, by Marta miała czas przygotować dla was pokoje.

- Ho! - prychnęła Camille. - Służba jest po to, by wykonywać rozkazy. Nie zaszkodzi jej, jak się trochę porusza. Poza tym wiem, że dom zawsze jest wysprzątany jak należy.

W tej samej chwili gospodyni wniosła do salonu tacę z kawą. Uprzejmie przywitała się z gośćmi. Już miała wychodzić, gdy Camille ją zatrzymała.

-Marto, dopilnuj, by Truman czy ktoś z pracowników przyniósł z samochodu nasze bagaże. Moje niech zanieś do niebieskiego pokoju.

- Niestety, ten pokój jest zajęty - wtrąciła się Elizabeth. - Teraz mieszka tam Iona.

- Ale... ale ja zawsze tam się zatrzymywałam -obruszyła się Camille. - Może ona przeniesie się gdzie indziej?

- Jeśli to jakiś problem...

- To żaden problem, Iono - ucięła Elizabeth. - Camille, chyba nie do końca rozumiesz. Iona tu mieszka i teraz to jest jej pokój. Na zawsze. A w domu w Houston ma pokój żółto-niebieski.

- Ale... przecież ja jestem rodziną.

- Iona też. Są wolne cztery gościnne sypialnie, masz więc z czego wybierać. Na pewno któraś ci się spodoba.

- No dobrze. W takim razie wezmę zieloną.

- Przykro mi, ale ta jest zajęta - ze złośliwym uśmiechem

powiedziała Mimi. - Wprawdzie są tam dwa łóżka, więc jeśli chcesz dzielić ją ze mną...

- Jeszcze czego! - Wzdrygnęła się demonstracyjnie. - Wolałabym znieść sobie materac na werandę. No dobrze, zanieście moje bagaże gdziekolwiek parsknęła.

Z przedpokoju dobiegły męskie głosy i po chwili do salonu wszedł Max. Tuż za nim pojawił się Troy. Max podszedł od razu do Elizabeth, przyjrzał się jej badawczo.

- Lepiej się czujesz? - zapytał, przesuwając wzrokiem po jej bladej twarzy.

- Tak, dzięki - wyszeptała. Pachniał pastą do zębów i kawą. Miał policzki zaróżowione od chłodu. Czowała jego znajomy zapach przemieszany z rześkim powietrzem.

Przedstawiła gości. Jej uwadze nie uszło taksujące spojrzenie, jakim Camille obrzuciła Maksa. Gdyby był wolny, Camille z pewnością by się nim zainteresowała.

Marta zaprosiła do stołu. Podczas posiłku Camille jak zwykle grała pierwsze skrzypce. Powtarzała nowojorskie plotki, zwracając się przede wszystkim do Maksa i Troya. I jak zwykle nie żałowała sobie przytyków pod adresem Elizabeth.

Elizabeth puszczała te złośliwości mimo uszu. Już dawno nauczyła się ignorować jej zaczepki. Spływały po niej jak woda po kacze.

- Troy- zalotnie zaszczebotała Camille. - Czy przypadkiem

nie jesteś spokrewniony z Ellerbeesami z Nowego Jorku?

Troy skinął głową, nabrał na łyżkę zupy.

- Wiedziałam! Jesteś bardzo podobny do ojca. Miałam okazję kilka razy zetknąć się z twoimi rodzicami. Martin i Joan, prawda?

- Tak.

- Dziwne, ale od dawna ich nie widziałam. Czyżby się gdzieś przeprowadzili?

- Nie. Ojciec zmarł kilka lat temu. Matka wyszła powtórnie za mąż. Oboje z mężem rzadko się udzielają towarzysko.

- Aha, rozumiem.

Troy nie podejmował rozmowy. Było jasne, że nie ma ochoty zagłębiać się w ten temat, więc Camille wreszcie dała mu spokój. I zajęła się swą ulubioną rozrywką - dogryzaniem Elizabeth.

Potoczyła wzrokiem po jadalni, westchnęła przesadnie.

- Elizabeth, broń Boże nie chcę cię krytykować, jednak czy nie pora urządzić ten dom na nowo? Pozbyć się tych starych tapet i boazerii, unowocześnić go.

- Nie wydaje mi się. Ten dom jest wartością samą w sobie, wszystko jest tu oryginalne, z epoki. Kuchnia i łazienki, choć również wiktoriańskie, zostały zmodernizowane. Nie zamierzam niczego zmieniać.

- Hm, na twoim miejscu zrobiłabym ultranowoczesny wystrój.

- Tym lepiej, że nie masz na to wpływu.

- Zaraz, poczekaj...

- Camille, uspokój się - zbeształa ją Talia. -Przestań się jej czepiać. Elizabeth należy się teraz wyjątkowa opieka.

- Jesteś chora? - Camille obrzuciła ją podejrzliwym spojrzeniem, cofnęła się. - Jeśli to coś zaraźliwego, to szkoda, że nie uprzedziłaś.

Ciocia Talita wybuchnęła śmiechem.

- Camille, zupełnie jakbym słyszała twoją matkę. Też była skupiona wyłącznie na sobie. Elizabeth nie jest chora. Nie w takim sensie, jak myślisz. Jest w odmiennym stanie.

- Co takiego? - Camille zabrakło powietrza. - Jesteś w ciąży? O Boże! W twoim wieku?

Teraz to Elizabeth roześmiała się w głos.

- Drugiego grudnia skończę trzydzieści lat. Jeszcze nie jestem zgrzybiałą staruszką.

- Szczęście, że to nie na mnie trafiło. Nawet nie chcę myśleć, jak bym sobie popsukała figurę.

- Nie słuchaj jej - wtrącił się Quinton. - Bardzo się cieszę. Moje gratulacje. Będziesz na pewno cudowną matką.

- Zamknij się, Quinton - fuknęła Camille. - Nie rozumiesz, co to dla nas znaczy?

Na twarzy jej brata odmalowało się zdziwienie.

- To znaczy, że nasze szanse na odziedziczenie farmy po Elizabeth spadną do zera. Będzie miała potomka.

Quinton skrzywił się.

- Camille, przestań.

- Czemu się tak obruszacie? Taka jest prawda. Talita ma swoje lata, a Elizabeth nie miała rodziny, więc my byśmy po niej dziedziczyli.

- Gdybyście ją przeżyli. - Niski głos Maksa zabrzmiał groźnie. Jeszcze powstrzymał gniew. - To stwierdzenie ktoś mógłby odebrać jako groźbę.

- Och, nie wygłupiaj się - pośpiesznie zapewniła Camille. - Jesteśmy kuzynami. Skaczemy sobie do oczu, ale nigdy nie zrobimy sobie nic złego.

Max popatrzył na nią zwięzonymi oczami.

- Jak długo zamierzacie tu zostać? Elizabeth znów uśmiechnęła się mimowolnie. Jeszcze miesiąc temu takie obcesowe pytanie poczytałaby mu za brak manier, lecz teraz była mu za nie wdzięczna. Sama nie umiała o to zapytać, choć chciałyby znać odpowiedź. Max nie miał takich skrupułów jak ona. Chciał wiedzieć, więc pytał.

Camille znieruchomiała. Nie spodziewała się takiego braku taktu. Quinton pierwszy otrząsnął się z szoku.

- Jeszcze się nad tym nie zastanawialiśmy. Zwykle przyjeżdżamy na jakiś miesiąc czy coś w tym stylu.

- Aha.

- Jeśli to wam nie na rękę...

- Pytałem z ciekawości. Poza tym to dom Elizabeth. Ona decyduje, kogo tu gości. Jednak jako jej i ojciec jej dziecka uprzedzam, że jeśli ktoś ośmieli się ją denerwować, to nawet się

nie obejrzy jak go tu nie będzie.

Camille zacisnęła szczęki, lecz milczała.

- Zgadza się z Makssem - rzekła Talita, patrząc na Camille ostro. -  
A ponieważ on nie rzuca słów na wiatr, lepiej nieco utemperuj swój  
język, moja panno. Jasne?

- No dobrze - odparła potulnie.

- Skoro już to sobie ustaliliśmy, będzie nam miło, jeśli zostanieie  
u nas na święta. - Popatrzyła na Elizabeth. - Prawda, kochanie?

- Słucham? - Elizabeth zamrugwała. - Przepraszam, chyba się  
zamyśliłam. O co pytałaś? - Wciąż nie posiadała się z zachwytem, że Max  
tak bez wahania stanął w jej obronie. Nawet jeśli zrobił to tylko z  
powodu dziecka, to i tak było jej ciepło na sercu.

- Zapraszam Camille i Quintona, by zostali u nas na święta. Co ty na  
to? Byłoby miło mieć całą rodzinę przy jednym stole. W zeszłym roku  
była tylko Elizabeth, Mimi i ja. No i Marta.

- Och... no tak. Tak, oczywiście. Zapraszamy.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

- Powiesz mi, czemu ta twoja kuzynka tak się ciebie czepia? - zagadnął Max, gdy wieczorem szykowali się do spania.

Elizabeth powiesiła długą czarną spódnicę, w której była na kolacji, i odwróciła się do męża.

- Aż tak to widać? - Zaśmiała się z przymusem.

- Nawet mnie to uderzyło, choć nie jestem taki wyczulony na niuanse. O co jej chodzi?

- To długa historia. Naprawdę chcesz ją usłyszeć?

- Jasne.

- Dobrze, ale pamiętaj, że sam tego chciałeś. Wspominałam ci o Mariah, babci Camille i Quintona, prawda?

Rozpinał koszulę, obserwując przebierającą się Elizabeth. Czują na sobie jego wzrok, gdy zdejmowała stanik z czarnej koronki

i zakładała zwiewną koszulę w odcieniu morskiej zieleni. Jeszcze kilka tygodni temu ta sytuacja by ją krępowała, ale teraz już się z nią oswoiła. Dla Maksa ten wieczorny rytuał był czymś całkowicie naturalnym i oczywistym. Powoli i ona się przestawiła.

- Tak. To siostra Tality, jej bliźniaczka.

Wyszli z garderoby. Elizabeth zatrzymała się przy toalecie, by wyszczotkować włosy.

- Podobno od małego miała trudny charakter, była krnąbrna i uparta. Gdy miała osiemnaście lat, uciekła z Owenem Mosebym. Jej ojciec nie mógł jej tego darować. - Popatrzyła na Maksa. – Owen pochodził z szacownej rodziny, ale był narwany i gnuśny. Nie mówiąc już o tym, że w tamtych czasach panny z dobrego domu nie pozwalały sobie na takie rzeczy. To nie było dobrze widziane.

- Sądząc po twojej reakcji, gdy zaproponowałem ślub w Las Vegas, to się nie zmieniło – zareplikował.

Elizabeth posłała mu wyniosłe spojrzenie.

- Mam dalej mówić czy nie?

- Przepraszam. Już słucham - odparł, tłumiąc uśmiech.

- Jej ojciec, choć był na nią wściekły, nie przestał jej kochać i bardzo za nią tęsknił. Wreszcie nie mógł już dłużej wytrzymać i po roku pierwszy wyciągnął do nich rękę. Zaproponował Owenowi posadę, bardzo dobrze płatną, pod warunkiem, że wrócą do domu.

- Wrócili?

Obserwował, jak podchodzi do łóżka, kremując dłonie i ramiona. Gęste



lśniące włosy opadały jej na plecy, jedwabna koszulka na cieniutkich ramiączkach falowała wokół jej kostek. Była luźna i nieprzejrzysta, a jednak na Elizabeth wydała mu się najseksowniejszym strojem, jaki widział. A pod tym względem. miał spore doświadczenie.

Uwielbiał na nią patrzeć. Lubił jej wdzięczne, płynne ruchy, podziwiał sposób, w jaki się poruszała, to urocze kołysanie bioder, lekkie falowanie piersi.

Położyła się do łóżka. Owionął go jej zapach, jaśminu i lilii przemieszany z wonią mydła. Najpiękniejszy zapach, jaki znał.

Elizabeth zapatrzyła się w sufit.

- Owen nie zamierzał zarabiać na życie. Odrzucił ofertę. To przeważało szalę. Talita twierdzi, że od tamtej pory przepaść między Mariah a ojcem się pogłębiła. Do dziś jest przekonana, że to złamało mu serce. Podupadł na zdrowiu, a gdy siedem lat później jego syn, a mój dziadek, zmarł na atak serca, zupełnie się załamał. Odszedł po dziewięciu dniach.

- Hm - Max ułożył się na boku, wsparł głowę na łokciu i podziwiał delikatny profil żony. - Nie chcę dyskredytować twojej rodziny, ale domyślam się, że Mariah i jej mąż natychmiast się objawili.

- Tak było. Przylecieli z Paryża pierwszym samolotem. Byli pewni, że ojciec ją wydziedziczył. Zabrali prawnika, by zaraz podważyć testament. Wyobrażasz sobie ich zaskoczenie, gdy okazało się, że ojciec rozdzielił cały majątek pomiędzy Talitę, Mariah i mojego ojca, Ransoma. Mieli go otrzymać w równych częściach.

- Nawet jedna trzecia rodowej fortuny to ogromny majątek. Dziś jego wartość wzrosła co najmniej trzykrotnie. Czemu więc ona tak ciągle biadoli?

Elizabeth przekręciła się na bok, oparła głowę na poduszce i uśmiechnęła się do Maksa.

- Tak by się stało, gdybyś to ty był na ich miejscu. Oni zażądali, by ich część wypłacić im gotówką.

- Niemożliwe! To najgorsze, co mogli zrobić.

- Wiem. Mój ojciec próbował im to tłumaczyć, ale wtedy był młodym chłopakiem tuż po studiach, miał dopiero dwadzieścia dwa lata. Nie chcieli go słuchać. Uważali go za młokosa, który nie ma pojęcia o finansach.

- Jak to rozegrał?

- Nie miał dużego wyboru. Spieniężył jedną trzecią majątku, z wyjątkiem Mimosa Landing. Dodatkowo musiał się zapożyczyć. Tę pożyczkę spłacał przez długie lata.

- A Mariah i Owen pewnie się dobrze bawili, szastając pieniędzmi i o nic się nie martwiąc.

- Żebyś wiedział. Kilka lat później zginęli. Byli w Szwajcarii na nartach, porwała ich lawina. Colin Moseby, ich jedyny syn, ojciec Quintona i Camille, odziedziczył po nich to, co zostało. Nie miał głowy do interesów, ale był tego świadomy. Chciał zabezpieczyć przyszłość

dzieci i ustanowił fundusz powierniczy na ich rzecz. Dzięki temu co miesiąc otrzymują naprawdę pokaźną sumę. Niestety, to nie wystarcza na taki styl życia, do jakiego od dziecka przywykła Camille.

- Może ma żal do swoich dziadków, może nawet do ojca, to jeszcze jestem w stanie zrozumieć. Ale do ciebie?

- Uważa, że ona i Quinton zostali pokrzywdzeni, bo kwota, jaką kiedyś dostała ich babcia, była dużo niższa, niż dostaliby teraz.

- Co z tego? To normalna kolej rzeczy. Gdyby Mariah i Owen zainwestowali pieniądze ze spadku, mieliby dziś nieporównywalnie więcej.

- Dla wszystkich to jest oczywiste, ale nie dla Camille. Próbowaliśmy jej to wytłumaczyć, lecz do niej nic nie dociera. Jest święcie przekonana do swoich racji. Według niej powinnam wyrównać jej różnicę.

- Chyba żartujesz? Ale ma tupet! Gdyby tak było, każda transakcja mogłaby po latach zostać zakwestionowana. Słyszałem różne bzdury, lecz ta przebija wszystko.

- Camille jest uparta. Liczy, że jeśli będzie mnie dręczyć, to w końcu ulegnę, by więcej nie słuchać jej narzekań. Na razie ma inny sposób zdobywania pieniędzy. Wychodzi bogato za mąż, a potem żąda alimentów. Biedny Leon jest czwartym, którego tak urządziła.

- Trzeba być idiotą, żeby żenić się z taką kobietą.

- Cóż, Camille potrafi owinać sobie mężczyzn wokół palca.

- A Quinton? Jest taki jak siostra?

- On jest w porządku. Wydaje się szarmanckim czarusem, ale jest rozsądny i inteligentny. Dobrze wie, że nie mają żadnego tytułu do roszczeń wobec mnie. - Zamyśliła się. - Prowadzi światowe życie, dobrze się bawi. Jest atrakcyjnym mężczyzną bez zobowiązań, pochodzi z dobrej starej rodziny, stanowi więc świetną partię. Nigdy się nie irytuje, nawet gdy Camille zjeżdża do niego niespodziewanie, bo znów postanowiła się rozwieść.

- Biedny facet.

- Zdążył się już do tego przyzwyczaić - zaśmiała się cicho.

Max odgarnął jej z twarzy kosmyk włosów

- Ulegniesz kiedyś Camille?

Elizabeth zwięzła oczy.

- Nie ma mowy.

Fascynowała go. Subtelna i elegancka, a jednocześnie twarda jak stal.

Uśmiechnął się.

- Jesteś super - wyszeptał, przysuwając się do niej i odnajdując jej usta.

Angelo Delvechio był w Houston mniej niż dwie godziny, a już zdążył znienawidzić to miasto. Wkurzała go ta pogoda. W Teksasie powinno być ciepło i sucho, a jest zimniej niż w Nowym Jorku. W dodatku sto procent wilgotności. Psiakrew!

Jak na złość w tym wynajętym samochodzie nie działa ogrzewanie.

Jak pech, to pech.

Zaklął siarczyście, bo lało jak z cebra. Wycieraczki nie nadążały z wycieraniem szyby. Prawie nie widział przed sobą drogi.

Wyprzedził go kolejny samochód. Angelo był coraz bardziej wściekły. W Nowym Jorku jego czarny sedan nie rzucał się w oczy, więc teraz też wziął czarnego cadillaca. Tyle że tutejsi jeździli czym innym. Ci cholerni kowboje woleli wielkie ciężarówki na wysokich kołach, którymi śmigali jak szaleni. Nawet ci w garniturach i pod krawatem.

Bluzgnął przekleństwami, bo znów minął go wielki pikap.

- Słyszałeś o migaczach, kretynie? – ryknął. - Albo o pasach?

Sam prowadził bardzo ostrożnie. Zwłaszcza gdy pracował. Wolał nie ściągać na siebie uwagi policji.

Jedyny plus tego Teksasu to panienki. Naprawdę są niezłe. Jest na czym zawiesić oko.

Ale nawet one jeżdżą pikapami!

Dobijał go ten ruch i ci rąbnięci kowboje jeżdżący jak szaleńcy. Jakby sami się prosili o śmierć. Marzył, by jak najszybciej zrobić swoje i spadać stąd do Nowego Jorku.

Wreszcie zjechał z ulicy i skręcił pod hotel. Był na miejscu.

Odetchnął z ulgą, wysiadł i oddał kluczyki parkingowemu. Nie zapomniał o napiwku.

Również dla portiera i bagażowego. Dał w sam raz, ani za dużo, ani za mało. Lepiej nie zwracać na siebie uwagi, w razie gdyby policja miała ich wypytywać.

Przerzucił przez ramię torbę. Więcej bagażu nie potrzebował.

- Mam zarezerwowany pokój. Nazywam się John Petrie. - Podał recepcjonistce kartę i prawo jazdy. Jasnowłosa dziewczyna miała głęboki dekolt. Wsunęła kartę do czytnika, oddała mu dokumenty.

- Jak długo pan u nas zostanie?

- Jeszcze nie wiem. Przyjechałem na święta do rodziny, ale może będę musiał wyjechać wcześniej. Jak to w biznesie, coś się może urodzić.

- Proszę, panie Petrie. Pokój 206. Może coś jeszcze?

- Nie. Odwrócił się, naraz znieruchomiał, jakby coś sobie przypomniał. - Czy nie ma dla mnie przesyłek?

- Zaraz sprawdzę.

Wyszła do sąsiedniego pomieszczenia i po chwili wyszła, niosąc pięć niewielkich paczuszek. Największa z nich miała naderwany róg, pod papierem lśniła czerwona folia.

- Mam nadzieję, że nic się nie uszkodziło.

- Nie ma sprawy. To dla mojej bratanicy. Papier w mgnieniu oka będzie w strzępach. Dlatego wysłałem prezenty pocztą.

- Sprytnie! - zaśmiała się. - W razie gdyby pan czegoś potrzebował, proszę dać znać. Miłego pobytu.

W drodze do windy zerknął do hotelowego baru i restauracji. Było dopiero po szóstej, a przy barze już siedziała apetyczna blondyna. Może później zjeździe i się nią zajmie.

Wszedł do pokoju, zamknął starannie drzwi, powiesił rzeczy do szafy. Rozpakował paczki i rzucił je na łóżko.

Popatrzył na nie z uśmiechem i ziewnął.

Nosiło go. Miał ochotę na jakiś numerek. Ta blondyna w barze...

Wziął szybką kąpiel, założył hotelowy szlafrok. Kusila go ta panienka, jednak lepiej nie ryzykować, ktoś ma go zapamiętać. Uśmiechnął się krzywo. Może wynagrodzi to sobie przy robocie.

Jutro, jeśli mu się poszczęści.

Kolację zjadł w pokoju. Potem włączył telewizor i zaczął odwijać paczki z ozdobnego papieru. Po kilku minutach pistolet był złożony. Wyciągnął rękę, wycelował w okno i nacisnął spust. Rozległ się cichy stuk. Angelo uśmiechnął się. Super.

Ukrył pistolet pod poduszką, pozbierał ozdobne folie i upchnął je do torby z ubraniami. Szary papier wcisnął do kosza w łazience. Staranie obejrzał drzwi i okna, wyłączył telewizor i światło, zdjął szlafrok i położył się do łóżka.

Zapatrzył się w cienie na suficie. Jutro obejrzy sobie jej dom. Z informacji i map dostarczonych przez klienta wynikało, że optymalnym miejscem jest ta rezydencja. Farma leży na zadupiu, ale po zjeździe z szosy jedzie się do niej przez puste pole. Od razu zostałby zauważony.

Tak, najlepiej załatwić ją tutaj. Zresztą stąd jest o wiele bliżej do lotniska. Przy odrobinie szczęścia będzie w drodze powrotnej, nim jeszcze ktoś odkryć ciało.

Jutro zrobi wstępne rozpoznanie. Obejrzy sobie dom i okolice, zorientuje się w rozkładzie dnia tej Stanton i jej pracowników.

Przypomniał sobie Elizabeth Stanton i uśmiechnął się w ciemności.

Camille starała się trzymać język na wodzy, jednak jej narzekania i czynione przez nią zamieszanie działały Elizabeth na nerwy. Mimi wyjechała z farmy we wtorek, dzień później Max i Troy polecieeli do Dallas.

W piątek rano Elizabeth też zebrała się do wyjazdu. Miała już szczerze dość męczącej kuzynki. Pożegnała się i szybko ruszyła do samochodu. Wstawiła do auta klatkę z kociakiem. Wołała nie ryzykować, że Camille wyrzuci go na dwór. Po godzinie była już w Houston.

- Zabrałam Bar Code'a, bo z Camille nigdy nic nie wiadomo - wyjaśniła gospodyni. – Nie znosi kotów.

Kiedy usiadły przy kuchennym stole. Elizabeth chciała oznajmić Gladys i Dooleyowi radosną nowinę, lecz gospodyni ją uprzedziła. Z niepokojem poinformowała o telefonie z gabinetu doktora Wrighta potwierdzający dzisiejszą wizytę Elizabeth.



- Cytologia czy mammografia wykazała coś złego? Przecież to ginekolog.

- I jednocześnie położnik. Jestem w ciąży - posiedziała z uśmiechem.

Na twarzach Gladys i Dooleya odmalowało się zaskoczenie, a zaraz potem zastąpiła je radość.

- O mój Boże! - zakrzyknęła Gladys. - Co za szczęście!

Przypadła do Elizabeth i uścisnęła ją gorąco. Pachniała kawą, świeżo pieczonym chlebem i wanilią. Ten zapach Elizabeth pamiętała z dzieciństwa, kiedy w objęciach Gladys szukała pociechy i współczucia z powodu skaleczenia czy rozbitego kolana. Objęła ją serdecznie.

Gladys i Dooley od dawna marzyli o wnukach, ale jeszcze się ich nie doczekali.

- Moje dziecko, strasznie się cieszę! - gospodyni otarła oczy fartuchem. - Co za wspaniała nowina. Dooley, słyszałeś? Znowu będziemy mieć w domu dzidziusia!

- No pewnie, że słyszałem. Przecież nie jestem głuchy - zrzędlawie mruknął Dooley, ale gdy podszedł do Elizabeth, jego twarz promieniała. - Bardzo się cieszę - powiedział, a jego pobrużdżona zmarszczkami twarz rozjaśniła się jeszcze bardziej. Przygarnął Elizabeth po ojcowsku, a ona przytuliła policzek do jego piersi. Pachniał ogrodem.

Dooley popatrzył na żonę z przyganą.

- Od wczoraj, od tego telefonu, Gladys chodzi jak z krzyża zdjęta. Zamecza pytaniami mnie i Mimi, zastanawiając się, co ta wizyta może znaczyć. Nie przyszło nam do głowy, że to coś takiego. – Ujął rękę Elizabeth w swe spracowane dłonie. – To dla nas prawdziwe szczęście. Pamiętam, jak pani mama, świeć Panie nad jej duszą, mówiła nam przy tym stole, że spodziewa się dziecka. Wydaje się, jakby to było dopiero wczoraj. - Umilkł. – Cieszymy się tak, jakby pani była naszą córką. - Zdjął okulary i potarł kciukami oczy, kryjąc łzy. Pociągnął nosem i dodał: - Prawdę mówiąc, zawsze traktowaliśmy panią jak naszą córkę.

- Dzięki, Dooley. Ja też was kocham – wydusiła przez zaciśnięte ze wzruszenia gardło.

- Wszystko dobrze, ale czy nie pora się zbierać? - opamiętała się Gladys. - Bo spóźni się pani na wizytę.

- Nie wiedziałam, że już tak późno. – Elizabeth poderwała się z miejsca. - Nie, Bar Code, teraz musisz zostać. - Podała kociaka Gladys i wybiegła.

- Niech pani zadzwoni do Mimi! – zawołała za nią gospodyni. - Prosiła, żeby zadzwoniła pani zaraz po przyjeździe.

Zadzwoniła do niej z samochodu.

- Cześć, skarbie. I jak, powiedziałaś im?

- Tak. Skaczą ze szczęścia.

- To dobrze, wreszcie nie będę musiała kręcić.

Nie masz pojęcia, jak trudno mi było udawać, że nie wiem, dlaczego wybierasz się do lekarza. Biedna Gladys odchodziła od zmysłów, tak się denerwowała, że coś ci jest. Niewiele brakowało, a bym im wszystko wygadała.

Elizabeth roześmiała się pełną pierśią. Nie pamiętała, kiedy ostatnio tak szczerze i radośnie się śmiała. Czuła się szczęśliwa, niemożliwie szczęśliwa. To szczęście aż ją dławiło. Przyłożyła dłoń do płaskiego brzucha, poruszona do głębi tym cudem.

Na drugim piętrze domu naprzeciwko rezydencji Elizabeth poruszyła się firanka.

- No i kogo my tu widzimy? - wymamrotał do siebie Angelo. - Dokąd się wybieramy, ślicznotko?

Obserwował ją przez lornetkę, gdy dziesięć minut temu podjechała pod dom. Niosła klatkę z kotem. Dobry znak. Zostanie tu na dłużej. Takie kobiety zwykle nie ruszają się bez swoich puchatych ulubieńców, prawda?

Teraz wybiegła z domu, wskoczyła do samochodu i ruszyła długim podjazdem. Zatrzymała się przed ulicą, włączyła kierunkowskaz i odczekała, aż będzie wolna droga.

To mu się spodobało. Lubił takich ostrożnych kierowców.

Odłożył lornetkę. Ma teraz trochę czasu, w sam raz, żeby pójść coś zjeść i wrócić przed jej przyjazdem. Świetnie.

Udało mu się z tym domem. W szpanerskiej okolicy nie wystawiają tablic, że coś jest na sprzedaż ale dla wprawnego oka to żaden problem. Wyparzył charakterystyczną kłódkę, jakich używają agenci nieruchomości. Poradził sobie bez trudu. Podobni jak z garażem, w którym schował samochód, i staroświeckim alarmem. Rozbrojenie go było dziecinie proste. Ci ludzie sami się prosili o włamane.

Rano przeżył chwilę strachu, gdy agent przyprowadził do domu klientów. Jednak Angelo nie bez powodu był najlepszy w branży. Znał się na robocie. Nie pozostawiał najmniejszego śladu, wszystko wyglądało na nietknięte.

Samochodem w garażu się nie przejmował. Mała szansa, by ktoś tam zaglądał, a jeśli nawet, auto za samochód właścicieli. Sam schował się na strychu.

Zszedł na dół i wyszedł przez pogrążoną w półmroku kuchnię. Po chwili wsiadł do samochodu. Westchnął. Zjadłby porządną kolację we włoskiej restauracji, ale nie ma czasu. Musi zadowolić się czymś na szybko i być z powrotem, nim jego przyszła ofiara wróci do domu.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Czy człowiek może być aż taki szczęśliwy? Elizabeth popatrzyła na swoje odbicie w lustrze i uśmiechnęła się. Przysunęła się bliżej i zaczęła wklepywać krem pod oczy. Twarz jej promieniała.

Bar Code plątał się jej pod nogami, pomiaukując żałośnie. Prosił, by pani wzięła go na ręce.

- Przecież widzisz, że jestem zajęta – przemawiała do niego. - Ale jak będziesz grzeczny, to pozwolę ci dzisiaj spać ze mną w łóżku. Pana nie ma, to nic nie powie.

Kociak chyba zrozumiał jej słowa, bo wskoczył na marmurową obudowę wanny i zaczął niecierpliwie przechadzać się w tę i z powrotem, jakby już nie mógł się doczekać pójścia do sypialni.

Rozśmieszył ją tym. Śmiejąc się, zaczęła wybierać kosmetyk spomiędzy słoiczków i buteleczek stojących na łazienkowym blacie,

gdy nagle Bar Code wydał z siebie dziwny odgłos. Zaskoczona popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Co się stało?

Kociak wygiął się w pałąk, najeżył się, wyszczerzył zęby i wyprężył nastroszony ogon. Nadal wydawał te dziwne odgłosy, coś między syczeniem a groźnym pomrukiem, i z napięciem wpatrywał się w po-grażoną w półmroku sypialnię. Jeszcze nigdy nie widziała go w takim stanie. Sierść miał tak zjeżoną, jakby poraził go prąd.

- Kiciu, co...

I nagle zobaczyła. W lustrze spostrzegła jakiś ruch, ledwie cień ruchu. Serce zaczęło walić jej jak oszalałe. W sypialni paliła się tylko nocna lampka, resztę pokoju spowijała ciemność. Może to mi się przywidziało, przekonywała się w duchu. Udawała, że nadal szuka jakiegoś kosmetyku, czujnie wpatrując się w lustro.

Znów coś się poruszyło. Bardzo wolno. O Boże! Z każdą sekundą ten cień się przybliżał. Na ciemnym tle coraz wyraźniej widziała sylwetkę potężnego mężczyzny. Miał sznur owinięty na nadgarstkach.

O mój Boże! To ten zbir z Nowego Jorku! Lęk ją paraliżował. Wiedziała, że musi uciekać. Od łazienki dzieliło go tylko kilka kroków. Myśl! Myśl!

Nadal udając, że niczego nie zauważyła, zaczęła poprawiać włosy. Nagle w mgnieniu oka odskoczyła od lustra, szarpnęła drzwi, zamykając je z hukiem i szybko zasunęła staroświecką zasuwę.

W tej samej sekundzie bandzior rzucił się na nie z pięściami.

Słyszała jego rozwścieczony ryk. Uderzał całym ciałem, próbując wypchnąć drzwi, lecz solidna konstrukcja trzymała. W całym domu były porządne drzwi z grubego drewna, takich nikt nie ruszy.

Próbowała walczyć z paniką, lecz daremnie. Wbiegła do połączonej z łazienką garderoby, kociak tuż za nią.

Nie zapalała światła, bała się, że napastnik domyśli się, gdzie się schowała, jeśli ujrzy jaśniejszą smugę pod drzwiami.

Mężczyzna nie przestawał się dobijać. Kłął przy tym jak szewc. Za każdym dzikim uderzeniem Elizabeth musiała walczyć ze sobą, by nie krzyczeć.

Po omacku znalazła przejście do nieużywanej sypialni Edwarda. Otworzyła ją tak raptownie, że omal wpadła do środka. Przebiegła przez pokój, po cichutku uchyliła drzwi i wyjrzała na korytarz. Łomoty i przekleństwa było tu słycać jeszcze bardziej. Mrok rozjaśniało tylko blade światło kinkietów rozmieszczonych wzdłuż zakreconych schodów.

Elizabeth zagryzła usta. Zaryzykować ucieczkę na dół? Ten bandzior w każdej chwili może wyjść z sypialni. Może lepiej gdzieś się tu schować?

Huk wystrzału przyśpieszył jej decyzję. Wypadła z pokoju i pędem puściła się po schodach. Bosymi stopami ledwie dotykała ziemi.

Na dole instynktownie skręciła, by dostać się do gabinetu. Sięgała do klamki, gdy tuż obok

niej przemknęła kula. Wbiła się w drzwi na wysokość jej oka. Poleciały wióry, jeden z nich uderzył ją w prawy policzek. Nawet tego nie zauważyła.

Obejrzała się z rozpaczą. Mężczyzna mierzył do niej, wychylony przez barierkę. Był już w połowie schodów! Wpadła do gabinetu, błyskawicznie zamknęła drzwi i opuściła zasuwę. Było tu ciemno, ale nie zapalała światła.

Coś dotknęło jej nogi. Podskoczyła jak oparzona, krzyknęła i szybko zasłoniła dłonią usta. Wbiła oczy w ciemność, próbując coś dojrzeć.

Boże, czyżby on nie był sam, miał współnika? Rozległo się cichutkie miauknięcie. Elizabeth opuściła ramiona. Aż do tej chwili nie miała pojęcia, że kociak pobiegł za nią.

Usłyszała ciężkie kroki na schodach i zatrzęsła się jak osika. Bandzior zbliżał się do gabinetu. Elizabeth schwyciła z biurka telefon, dobiegła do tarasowych drzwi i po chwili była w ogrodzie.

Przez mgnienie zastanawiała się, czy nie pobiec do Gladys i Dooleya, lecz szybko odrzuciła ten pomysł. To wprawdzie bliżej niż do Mimi, lecz oni słabo słyszą, noszą aparaty. Teraz pewnie śpią, więc szybko ich nie dobudzi.

Biegła, jednocześnie wybierając numer policji.

- Jakiś człowiek próbuje mnie zabić - wykrztusiła, gdy zgłosiła się dyżurna. - Włamał się do mojego domu.... Strzelał do mnie. Szybko! - Pośpiesznie podała adres i wyłączyła się. Musiała uciekać.

Najkrótszą drogą biegła do przejścia w żywopłocie. Przesadziła



rabaty, niskie bukszpany i strumyk. Czarna jedwabna koszula łomotała za nią jak żagiel na wietrze.

Boże, żeby tylko Mimi nie spała! - modliła się w duchu. Proszę Cię, Panie, niech ona jeszcze nie śpi.

Sucha trawa kłuła w gołe stopy, zimny wiatr smagał ciało. Drżała z zimna i ze strachu.

Kiedy dobiegała do żywopłotu, kolejna kula przemknęła jej tuż obok głowy. Elizabeth krzyknęła i rzuciła się w stronę tarasu Mimi. Spostrzegła, że przyjaciółka stoi przy oknie i patrzy przez odsuniętą zasłonę.

Dzięki Ci, Panie!

Zapomniała, że po śmierci męża Mimi zamontowała w ogrodzie lampy reagujące na ruch. Zaczęły się teraz zapalać jedna po drugiej, wskazując mordercy jej drogę ucieczki.

Kolejna kula gwizdnęła tuż obok niej.

- Mimi! Mimi, ratunku!

Biegła szybciej niż jej prześladowca. Serce waliło jej młotem, brakowało tchu. Przeskoczyła niskie azalie rosnące tuż przy tarasie, wbiegła na górę i załomotała w szybę.

- Mimi, Mimi! Na pomoc!

Mimi otworzyła natychmiast. Na jej twarzy małolato się zdumienie.

- Skarbie, co ty robisz na dworze o tej porze, w dodatku w nocnej koszuli? - Przesunęła po niej wzrokiem. – I w dodatku boso? Przeziębisz się na śmierć.

- On mnie goni! - wydusiła bez tchu. - Włamał się do domu. Chce mnie zabić.

- Kto? Kto? Kto chce cię zabić?

- Ten bandzior z Nowego Jorku. - Odwróciła się w stronę ogrodu. -  
Zobacz, już tu idzie! O Boże, nie powinnam do ciebie przychodzić. Teraz obie zginiemy. Zabije nas.

- Akurat. Uważaj, jak to mu się uda! - wojowniczo zawołała Mimi. Była jak niedźwiedzica broniąca swoje małe. - Wchodź szybko do środka! - Pociągnęła Elizabeth do pokoju.

- Mimi, musimy uciekać! On wyłamie drzwi, to kawał byka. Boże, przepraszam, że tu przyszłam Tylko cię naraziłam.

Znów popatrzyła na dwór. Przerazający zbir spokojnie przemierzał trawnik. Nie śpieszył się. Wiedział, że i tak dopadnie swoją ofiarę, a może był zbyt ciężki, by biec. Strach ścisnął ją za gardło.

- Boże, on zaraz tu będzie.

- Nic się nie martw, damy sobie radę.

Sięgnęła do wielkiej torby, z którą zwykle się nie rozstawała. Nie nosiła jej tylko do wieczorowych strojów.

- Zobacz! - Wyjęła wielki pistolet. – Jak ci się podoba?

Elizabeth aż zaniemówiła z wrażenia.

- Niezły, co? - Trzymając pistolet oburącz, wycelowała w sufit.

- Z długą lufą, na naboje 357 magnum. Najlepszy z najlepszych - dodała z dumą. - No to do dzieła!

Stanęła w otwartych drzwiach, oparła lufę o framugę.

- Hej, tłuściochu!

Bandzior był tak zaskoczony, że aż stanął.

- Do ciebie mówię, łajzo! Słyszysz mnie? Zjeżdżaj z mojej posesji! I to już! - Odbezpieczyła pistolet i nacisnęła spust.

Nocną ciszę rozdarł huk strzału.

Odstrzelona gałąź sosny spadła prosto na głowę zbira. Mężczyzna krzyknął, zaczął gwałtownie wymachiwać rękami, by uwolnić się od kłujących igieł.

- Ojej, spudłowałaś! - jęknęła Elizabeth.

- Skarbie, trafiłam tam, gdzie chciałam. Nie zamierzam zastrzelić tego małpoluda, w każdym razie jeszcze nie teraz. Chciałam go postraszyć. Nie denerwuj się. Ojczulek nauczył mnie strzelać. Trafiam komara w locie.

Tego samego nie można było powiedzieć o napastniku bo ledwie otrząsnął się z szoku, wypalił dwa razy i chybił. Pierwsza kula trafiła w futrynę ponad głową Mimi, druga rozbiła jedną z dwóch niebieskich emaliowanych popielnic stojących przy drzwiach.

W mieszkaniu nad garażem zapaliły się światła.

Strzelanina musiała obudzić Gladys i Dooleya. W kilku domach obok też błysnęły światła.

- O, no nie! - Na widok rozbitej popielnicy Mimi aż się zagotowała. Wyszła na taras, popatrzyła na skorupy. Odwróciła się i wycelowała w napastnika. - Ty bydlaku, zniszczyłeś moją popielnicę! Targaliśmy ją przez trzy lotniska, szarpaliśmy się z celnikami!

W jej stronę znowu poleciała kula.

- No nie, tego już za wiele! - Mimi dostała furii. Podbiegła na brzeg tarasu. - Ty bezczelny łajdaku! Wchodzisz na mój teren, niszczysz moje rzeczy!

Elizabeth podbiegła do niej, zaczęła ciągnąć ją do domu.

- Mimi, on cię zaraz zabije!

- Ta pokraka? On nawet z trzech kroków nie trafi do słonia. - Strząsnęła z siebie dłoń Elizabeth, znowu podeszła na koniec tarasu.

Bandzior dwukrotnie wypalił. Kule przemknęły blisko Mimi.

- Jak sobie chcesz, spaślaku. Dałam ci szansę, mogłeś uratować swój tłusty tyłek. Chcesz się strzelać, śmieciu? Bardzo proszę. Pokażę ci, jak to się robi. - Wymierzyła starannie, odbezpieczyła broń i nacisnęła spust.

Drab zawył, chwycił się za nogę i zaczął uciekać kuśtykając.

Z oddali dobiegł głos policyjnych syren.

- Uciekaj, ty kanalio! - zawołała za nim Mimi.

- Co tu się dzieje? - Dooley wyszedł na schody prowadzące do mieszkania nad garażem. - Ktoś strzelał?

- Dooley, rąbnij go! - zawołała Mimi.

Rozległ się wystrzał, potem drugi. Zapaliły się kolejne światła.

Uciekający bandzior znów zawył z bólu.

Mimi triumfalnie wyrzuciła dłoń w powietrze.

- Super, Dooley! Nie żałuj mu! - Nie odrywała oczu od znikającej w żywopłocie sylwetki. - Słyszałaś, jak kwiczy? Dostał śrutem. To mu się będzie długo goić. I dobrze draniowi! - Mimi roześmiała się i zatańczyła na szpilkach. - Ta jego szpanerska skóra pewnie jest podziurawiona jak sito.

Odwróciła się, bardzo zaskoczona milczeniem przyjaciółki.

- Skarbie, gdzie...? Och, nie!

Elizabeth leżała na plecach, z rany na lewej skroni spływała krew. Na tarasie już ciemniała czerwona kałuża. Krwawiła też rana na prawym barku, czerwone strużki płynęły po nagiej skórze, wsiąkały w czarną koszulę.

- Co się stało? - Gladys już biegła przez trawnik. - Co to za człowiek? Co to za strzelanina?

- O Boże, o Boże... - szeptała Mimi, klęcząc przy Elizabeth. - Kotku, już wszystko dobrze. Nic złego ci się nie stanie. Zobaczysz. Tylko nie odchodź. Słyszysz? Masz tu być. - Odchyliła głowę i zawołała: Dooley! Gladys! Na pomoc! Elizabeth jest ranna.

- Jestem! - wydyszała Gladys. Biegła tak szybko, że jeszcze nie mogła złapać tchu. Przyklękła obok Mimi. - Och, moja dziecina! Moje biedactwo!

Bandzior musiał dopaść samochodu, bo rozległ się odgłos buksujących kół, ale Mimi już to nie obchodziło. Zmartwiała pochyliła się nad przyjaciółką.

Z ciemności wyłonił się Dooley.

- Boże miłosierny - wyszeptał. - Czy ona żyje? Ma puls?

- Tak, ale coraz słabszy - odparła Mimi. - Musimy zahamować krwotok.

Dooley pobiegł po czyste ręczniki i koce.

- Trzymaj się, dziecko - przemawiała Gladys, przykładając ręcznik do rany na ramieniu. Mimi okrywszy Elizabeth kocami, tamowała jej krew na skroni. - Jesteśmy z tobą, zaraz przyjedzie karetka. Wyjdiesz z tego, zobaczysz. Będzie dobrze. Tylko się trzymaj - błagała Gladys.

Po chwili w ich stronę już biegli sanitariusze z noszami. Za nimi szedł Dooley i policjanci. Ubrany po cywilnemu oficer zaczął zadawać pytania, lecz Mimi nawet nie chciała go słuchać. Wpadła do domu, chwyciła futro i torbę. Ratownicy już wnosili Elizabeth do karetki.

Mimi zakryła usta dłonią. Walczyła ze łzami. Elizabeth miała zabandażowaną skroń, opatrunek na ramieniu, była podłączona pod tlen i do kroplówki. Jej twarz była przeraźliwie blada.

- Spokojnie, pani Mimi. - Dooley pokrzepiająco dotknął jej ramienia.

- Niech tylko nam pani teraz nie zemdleje. Pani Elizabeth potrzeba pani wsparcia. Będzie dobrze.

- Jedźmy - wtrąciła Gladys. - Zamknęłam wszystko, kociak jest w domu. - Możemy ruszać.

Mimi się ociągała. Błagalnie popatrzyła na sanitariusza.

- Czy... czy ona wyjdzie z tego?

Mężczyzna popatrzył na nią tak, że aż ją zmroziło.

- Trudno powiedzieć - rzekł. - Ustabilizowaliśmy ją. Teraz lekarze muszą ją ratować.

Po chwili karetka ruszyła, za nią policyjne radiowozy i czerwony samochód Mimi. Policjanci zabezpieczali teren żółtymi taśmami, przy furtkach stali wyrwani ze snu sąsiedzi.

Mimi sięgnęła do torby, zaklęła pod nosem.

- Gdzie ta komórka? Zawsze się gdzieś zapodzieje, jak jej potrzebuję.

- Jest tu, proszę. - Gladys wychyliła się z tylnego siedzenia. - Dooley, nie możesz jechać szybciej?

- Przed nami jest policja na sygnale. Tak samo karetka. Uspokójcie się. Nerwy nic nie pomogą.

Mimi wybrała numer i niecierpliwie czekała.

- Tak? - w słuchawce rozległ się zaspany głos.

- Max, tu Mimi.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

- W jakim jest stanie? - od progu zapytał Max, jak burza wpadając do poczekalni na OIOM-ie.

Ogarnął spojrzeniem zebranych. Byli wszyscy, łącznie z kuzynami Elizabeth. I wszyscy, nawet Camille, mieli czerwone od płaczu oczy. Co gorsze, na ubraniach Gladys i Mimi widniały plamy Krwi Elizabeth.

Strach go sparaliżował. Boże, ona chyba nie... Nie, nie!

- Nie słyszycie, do cholery? - ryknął. – Chcę wiedzieć, gdzie jest moja żona i w jakim jest stanie. Mówcie.

Iona podeszła do syna, uwiesiła się jego ramienia.

- Wciąż żyje, synu, ale...

- Ale co?

- Elizabeth... nadal nie odzyskała przytomności.

- O Boże. - Drżącą ręką przeciągnął po zmierzwionych włosach. -

- Muszę ją zobaczyć.



- Wiem, synku, wiem. Pokażę ci, gdzie ona jest, ale najpierw... -  
Skinęła głową w kierunku Tality. - Strasznie to przyjęła. Wiesz, jak ona ją kocha.

Chciał ujrzeć Elizabeth. Poczuc jej zapach, tchnienie jej oddechu. Ale to, co się stało, dla innych też było katastrofą.

Talita była tak zdenerwowana, że zdała sobie sprawę z obecności Maksa dopiero wtedy, gdy się nad nią pochylił.

- Max! Och, dzięki Bogu, że jesteś! - Zacisnęła kościste, pokryte brązowymi plamami dłonie na jego rękach, jakby spodziewała się po nim cudu.

Podniósł do ust jej dłoń, pocałował ją.

- Trzymasz się jakoś?

Wyblakłe oczy starszej pani znów wypełniły się łzami. Zawsze dumnie wyprostowana, teraz siedziała zgarbiona, jakby uszło z niej życie. W ciągu tych kilku godzin postarzała się o dobrych parę lat. Zmarszczki się pogłębiły, pod oczami pojawiły się ciemne sińce.

Domyślał się, że przyjechała do szpitala wyrwana prosto z łóżka. Pasemka srebrnych włosów wymykały się z naprędce splecionego warkocza i falowały wokół jej twarzy.

- Och, Max! Elizabeth jest ranna. Ten drań trafił ją... - broda jej zadrzała – prosto w głowę.

- Co takiego? – Poczul się, jakby dostał potężny cios w żołądek. Wiedział tylko, że ktoś postrzelił Elizabeth. Nic poza tym. Przeżył szok.

- Max, dlaczego? Dlaczego? Kto mógł jej coś takiego zrobić? Nie

wiem, co będzie, jeśli...

- Nie, nie mów tego. To się nie stanie. To niemożliwe. - Wyprostował się i popatrzył po innych. - Czy lekarze już coś powiedzieli?

Talita otarła oczy. Nie była w stanie mówić Dooley rozejrzał się, chrząknął.

- Tak, nie tak dawno przyszedł do nas lekarz. Powiedział, że są umiarkowanie optymistyczni.

- A co z dzieckiem?

- To samo. Umiarkowany optymizm.

- To za mało. Gdzie ona jest? Muszę ją zobaczyć.

- Po drugiej stronie korytarza, tam gdzie są opuszczone żaluzje. Synku, poczekaj! – Iona złapała go za ramię. - Posłuchaj. Tu jest OIOM, mają ostre reguły. Do Elizabeth może wejść tylko jedna osoba. I tylko na dziesięć minut. Potem dopiero po czterech godzinach.

- Do diabła z ich regułami!

Zdecydowanym krokiem ruszył przed siebie. Wdarł się do wydzielonej szklanymi ścianami salki. Reszta zatrzymała się przed otwartymi drzwiami.

Na widok Maksa pielęgniarka stojąca przy łóżku Elizabeth zrobiła zdumioną minę.

- Przepraszam, ale musi pan stąd wyjść.

Nie słuchał jej. Podszedł do łóżka Elizabeth.

- Proszę pana! Czy pan nie słyszał? – Pielęgniarka próbowała przegonić go do wyjścia. – Musi pan stąd wyjść - powiedziała

surowo. - Dopiero za dwie godziny ktoś z rodziny może ją odwiedzić. W sali może przebywać tylko jedna osoba.

- Więc niech pani wyjdzie. Bo ja na pewno tego nie zrobię. - Max ujął ją za ramię i wypchnął z salki.

Mimi skorzystała z sytuacji i wślizgnęła się do pokoju. Podniosła żaluzje, by inni mogli zerknąć na Elizabeth.

- Elizabeth? - Max pochylił się i delikatnie ujął jej rękę. Lęk ścisnął go za gardło. Elizabeth była przeraźliwie blada. Miała bandażę na prawym ramieniu, zabandażowaną lewą stronę głowy. Musieli jej zgolić część włosów.

Zawsze, gdy się bał, stawał się szorstki. Tak było i teraz.

- Elizabeth? Elizabeth, obudź się! Słyszysz mnie? Tu Max. Obudź się. I to już! - ryknął.

Stojący przy drzwiach wymienili niespokojne spojrzenia.

- Przepraszam, proszę się cofnąć. - Za lekarzem szła pielęgniarka, którą Max przed chwilą wyrzucił.

Nikt się nie poruszył.

- Proszę pana, jestem lekarzem. Muszę pana prosić o opuszczenie pokoju.

- Nie ma mowy. Nigdzie się stąd nie ruszę.

- Jednak...

- Nie. - Nie odrywał oczu od Elizabeth. - To moja żona. Nie odejdę od niej.

- Pan Riordan, tak? Rozumiem, że martwi się pan o żonę, jednak nie może pan tu przebywać. Mamy ścisłe reguły i...

Max zmierzył lekarza takim spojrzeniem, że ten urwał w pół słowa.

- Guzik mnie obchodzą wasze reguły. Nie wyjdę z tego pokoju, póki moja żona nie poczuje się lepiej.

- Wezwać ochronę, doktorze? - spytała pielęgniarka.

Max popatrzył na nią zwięzonymi oczami.

- Zapewniam panią, że żadna siła mnie stąd nie wyrzuci. Ale jak chce pani zamieszania, to proszę, niech pani dzwoni. - Znów odwrócił się do Elizabeth.

Talita, wraz z pozostałymi stojąca w drzwiach, stuknęła laską w podłogę, lecz nikt nie zwrócił na to uwagi. Zdenerwowana, dźgnęła pielęgniarkę w nogę, tuż pod kolanem.

Zaskoczona kobieta wydała cichy okrzyk.

- Co to...? Och! Jak pani może?

- Cicho, nic się pani nie stało - prychnęła Talita. - Doktorze - odezwała się wyniośle.

Max odwrócił się, popatrzył na starszą panią. Odzyskała swą królewską postawę. Dumnie uniosła głowę.

- Wie pan, że w tym szpitalu jest Skrzydło Stantonów?

- Owszem.

- A pani, młoda kobieto? - zwróciła się do rozgniewanej pielęgniarki.

- Tak, wiem.

Talita uśmiechnęła się triumfująco.

- To dobrze. A czy wiecie o tym, że to skrzydło ufundowała rodzina Stantonów? I o tym, że ta pacjentka jest teraz głową rodu Stantonów? - Popatrzyła na pozieleniałą twarz pielęgniarki. - Chyba a tym nie wiedzieliście. No więc, jeśli jej mąż mówi, że chce przy niej zostać, to tak ma być. Jasne?

- Tak, proszę pani.

- Dla pana też, doktorze?

Lekarz popatrzył na surową twarz Tality i zacięte rysy Maksa.

- Zgoda. Pan Riordan może tu zostać.

Max nie zwracał na nich uwagi. Był zdecydowany nie wychodzić z pokoju niezależnie od wyniku dyskusji.

- Kochanie, obudź się - przemawiał do Elizabeth. - Słyszysz, co mówię? Obudź się. Elizabeth, do diabła, nie waz się umierać! - zagrzmiał. - Nie waz się zostawiać mnie samego. Nie chcę żyć bez ciebie. - Czekał na odpowiedź, lecz daremnie. - Cholera, Elizabeth! Kocham cię! - wykrzyczał. - Słyszysz? Kocham cię!

Troy, który przyszedł kilka sekund wcześniej, z wrażenia otworzył usta.

- A niech to diabli! - wyszeptał. - On naprawdę ją kocha.

Iona zgromiła go wzrokiem.

- Oczywiście, że tak. Przecież się z nią ożenił.

- Elizabeth, słuchaj, co do ciebie mówię. Masz mnie słuchać! Kocham cię! Na czole Elizabeth pojawiła się maleńka zmarszczka. Jej głowa leciutko się poruszyła.

- Nie... krzycz - odezwała się ledwie słyszalnym głosem. - Ja.. ja cię słyszę.

- Słyszał pan? - Max popatrzył na lekarza.

- Zobaczymy. - Lekarz podszedł do drugiej strony łóżka. - Pani Riordan, czy pani mnie słyszy?

- Tak... - wyszeptała.

- To świetnie. Naprawdę wspaniale. Jestem doktor Alexander. Znajduje się pani w Methodist Hospital w Houston. Strzelano do pani, jest pani ranna.

- Strzelano....?

- Uhm. Zapewne w tej chwili pani tego nie pamięta, ale za jakiś czas to wszystko wróci. Gdy ból osłabnie. - Lekarz wyjął z kieszeni latareczkę, poświecił Elizabeth w jedno oko, potem w drugie. - Jak się pani czuje? Czy coś panią boli?

- Głowa... i ramię.

- Nie dziwię się. Zabrzmi to niewiarygodnie, ale to dobry znak, że czuje pani ból. Proszę się teraz rozluźnić. Zbadam panią i porozmawiam z pani mężem, dobrze?

Zbadał i osłuchał Elizabeth. Po chwili obaj z Makssem wyszli na korytarz.

- To rodzina - wyjaśniająco rzekł Max, widząc pytającą minę lekarza. - Proszę mówić.

- Pana żona miała dużo szczęścia - zaczął, zniżając głos. - Mogło się skończyć dużo gorzej.

Kula trafiła ją tutaj - pokazał na swojej głowie - tuż nad lewym uchem. Pana żona prawdopodobnie odwróciła się w momencie uderzenia. Może najpierw dostała w ramię i dlatego się obróciła. Tak czy inaczej miała nieprawdopodobne szczęście. Oba strzały zostały i oddane ze znacznej odległości, co też było dla niej i plusem. Kula straciła prędkość i nie przebiła czaszki. Wyszła pięć centymetrów dalej. Dlatego żona skarży się na ból głowy. Druga kula też przeszła bokiem, nie uszkadzając żadnych ważnych arterii i organów. Oczywiście nie obejdzie się bez rehabilitacji, ale to już drobiazg.

- Naprawdę do mnie ktoś strzelał? - słaby głos Elizabeth ściągnął zebranych do jej łóżka. Chciała tworzyć oczy, lecz to okazało się ponad jej siły.

- Tak. Pamiętasz coś?

- Ja... - Zaczęła oddychać szybciej. - Ten człowiek z Nowego Jorku... On... on... O Boże. Uciekać, szybko.... - Chciała się unieść. Zapiszczały czujniki monitorujące jej stan.

- Spokojnie - zgodnym chórem powiedzieli lekarz i Max. - Spokojnie, Elizabeth. Jest pani bezpieczna. Nikt pani tu nie zagrozi. Niech się pani odpręży.

- Max. Chcę, żeby Max tu był.

- Jestem przy tobie, Elizabeth. Jesteś bezpieczna. - Ujął ją za rękę. - Nigdzie stąd nie pójdę.

- Obiecujesz...?

- Obiecuję.

Z westchnieniem opadła na poduszkę. Znowu się spała.

- A dziecko? O Boże, Max, dziecko...

- Dziecku nic nie jest, pani Riordan - zapewnił lekarz. - Zniosło to lepiej niż pani. Proszę się nie denerwować. Tutaj nic pani nie grozi. Kiedy poczuje się pani lepiej, pamięć powróci. A na razie dam pani coś przeciwbólowego.

Odwrócił się i szeptem wydał polecenia pielęgniarce

- Wyjdzie z tego? - zapytał lekarza Max.

- Teraz będziemy ją obserwować przez czterdzieści osiem godzin. Jeśli jej stan się poprawi, jutro przeniesiemy ją do apartamentu dla VIP-ów. - Lekarz puścił oko do Tality. - W Skrzydle Stantonów. Jeśli nie zajdą nieprzewidziane komplikacje, powinna wrócić do domu przed świętami.

- Oby tak było - wyszeptała Talita.

- A co z dzieckiem? - spytała Mimi.

- Jak już mówiłem, dziecko nie ucierpiało. Na szczęście pomoc przybyła w porę. Ratownicy zatamowali krwotok, podali tlen i kroplówkę, byli w drodze, nim jeszcze żona została

- Tak było. - Mimi dumnie wypięła pierś, Elizabeth wyglądała na kruchą figurkę z porcelany, ale ma stalowy charakter. Sama zadzwoniła na policję, uciekając boso i w nocnej koszuli przez skuty mrozem trawnik. Powiedziała, że ktoś się do niej włamał i do niej strzela, podała adres i swoje dane.



- Policja mówiła, że słyszeli strzały, nim jeszcze dojechali na miejsce - uzupełnił Dooley.

- Czuli się, jakby wjechali w strefę działań wojennych.

- Kto tak strzelał? - chmurnie spytał Max.

- Ten bandzior, który gonił panią Elizabeth. Pani Mimi rąbnęła go zdrowo ze swojego pistoletu, a jeszcze dała kilka strzałów na pokaz, żeby go wystraszyć. Ja przyłożyłem mu śrutem z dubeltówki.

- No nieźle. - Max przesunął spojrzeniem po ich twarzach. - Jutro chcę usłyszeć dokładną relację, minuta po minucie. Nie taką, jaką usłyszała policja. Pełną wersję, bez skrótów i niedomówień.

Mimi popatrzyła na niego z miną urażonego niewiniątka.

- Ja miałabym ukrywać coś przed policją?

- Jeśli miałoby pomóc Elizabeth, zrobiłabyś to bez zmruczenia oka.

- Fakt. Ale powiedziałam im szczerą prawdę. Sprawę prowadzi pan Braddock. Ma się z tobą skontaktować.

- Miejmy nadzieję, że pańska żona szybko odzyska siły. I ona, i dziecko powinni wyjść z tego bez szwanku- dokończył lekarz.

- Dzięki Ci, Panie - wyszeptała Talita, przykładając do serca pomarszczoną dłoń.

Elizabeth dostała zastrzyk ze środkami znieczulającymi. Pielęgniarka miała zaglądać do niej co dwadzieścia minut. Lekarz zaproponował, by Max poszedł do domu odpocząć, lecz ten odmówił.

- Jak pan sobie życzy - uśmiechnął się lekarz. - Ale reszta osób musi opuścić salę.

Kiedy zostali sami, Max ujął ręce Elizabeth. Leciutko poruszyła dłonią.

- Max?

Pochylił się, delikatnie odgarnął jej na bok włosy.

- Tak, maleńka. Jestem tutaj. O co chodzi?

- Ja... kocham cię - wyszeptała i odpłynęła w sen.

Max wpatrywał się w nią z zaciśniętym sercem. Dławiło go w piersi tak, że prawie nie mógł oddychać.

Kiedy nazajutrz Elizabeth otworzyła oczy, ujrzała śpiącego Maksa. Siedział na krześle obok jej łóżka, z rękami na materacu. Położył na nich głowę i tak spał.

Przyjrzała się jego twarzy. Długie rzęsy rzucały cień na mocno zarysowane policzki. Uśmiechnęli się do siebie. Te rzęsy bardziej pasowały kobiecie niż temu mocnemu mężczyźnie.

Miał potargane włosy, był nieogolony. Ukośna blizna była bardziej widoczna. Miał podwinięte rękawy koszuli, dwa górne guziki rozpięte. Wyglądał na zmęczonego i spiętego, twarz przecinały głębokie bruzdy.

Chciała poruszyć prawą ręką, lecz ból jej nie pozwolił. Zapatrzyła się na śpiącego męża i powoli zaczęła przypominać sobie wydarzenia wczorajsza wieczoru.

Obrzuciła wzrokiem zasłonięte żaluzjami szyby. Lekarz zapewniał ją, że jest tutaj bezpieczna, ale czy na pewno? Za szybą przesunął się jakiś cień i Elizabeth zmartwiała. Monitor nad jej głową zaczął przeraźliwie piszczeć.

Max podniósł głowę z materaca.

- Co jest? Co się stało?

Do pokoju wbiegły dwie pielęgniarki.

- Co się stało, pani Riordan? Czy coś panią boli?

- Nie. Nie. Tylko wydawało mi się, że widziałam...

- Co widziałaś? - zaniepokoił się Max.

- Że ktoś podchodził do drzwi. Chyba tylko mi się wydawało.

- Nie. - Max otarł dłonią oczy. - Zapewne widziałaś strażników, którzy cię pilnują. Policjanci po służbie. Zatrudniłem ich. - Podszedł do drzwi. - Panowie, możecie wejść?

Przedstawił ich i wyjaśnił żonie, że będzie miała całodobową ochronę. Strażnicy mieli się zmieniać co osiem godzin.

- Przyjrzyj się im uważnie - poprosił. - Zależy mi byś każdego znała z widzenia, wtedy nikt nie będzie mógł się pod nich podszyć.

- Myślisz, że ten bandzior jeszcze tu przyjdzie? - przeraziła się.

- Wątpię, ale lepiej dmuchać na zimne.

Młodzi policjanci, przestępując z nogi na nogę, wymienili niepewne spojrzenia.

- Panie Riordan, moglibyśmy prosić na słowo? - zapytał jeden z nich. Widząc zaniepokojoną minę Elizabeth, dodał: - Chodzi o drobiazg dotyczący grafiku.

Kiedy znaleźli się na korytarzu, policjant rozejrzał się uważnie.

- Może to nic takiego, panie Riordan, ale lepiej żeby pan wiedział - zaczął, zniżając głos. - Koło siódmej rano przyszedł tu jakiś mężczyzna z wielkim bukietem dla pana żony.

- Kto to był? Podał nazwisko?

- Powiedział, że nazywa się Melvin i jest jej wujkiem.

- Moja żona nie ma żadnego wujka.

- Do diabła. Czuję, że z tym gościem jest coś nie tak. Wyglądał na kogoś z mafii. I miał dziwny akcent.

- Dziwny akcent? Włoski? Francuski? Rosyjski?

- Nie, nie to. Mówił jak Jankeś udający Tekszańczyka.

- Jak wyglądał? - spytał.

- Potężnie zbudowany, ze sto czterdzieści kilo. Brunet, ciemne oczy. Uciekał wzrokiem. Jeszcze coś: dziwnie się poruszał. Nie kuśtykał, ale jakby pociągał nogą.

- Miał na sobie kosztowny płaszcz z czarnej skóry - dorzucił drugi policjant. - Z przodu wyglądał super, ale na plecach miał z tuzin malutkich dziurek.

- O cholera! - zaklął Max. - To on. Bandzior,

który już trzy razy próbował zabić Elizabeth. Zostańcie tu - zarządził. - I nikogo nie wpuszczajcie. Nikogo. Pielęgniarki, lekarza, swoich kumpli, policji. Zraz przeniosę stąd żonę gdzie indziej. Dobrze się sprawiliście. - Potrząsnął głową. - Co za drań! Mieć taki tupet, żeby tutaj przyjść! W dodatku z przestreloną nogą.

- Przecież to szaleństwo! Musi pan teraz odczekać.

- Nie mam zamiaru czekać! - Angel prychnął w słuchawkę. - I pan mi w tym pomoże.

- Ja? Wykluczone. Po co w takim razie wynająłem pana? Ja nie mogę być w to wmieszany.

Angel posmarował ranę maścią z antybiotykiem. Ta wścibska baba, po cholere musiała się wtrącać! Gdyby nie ona, byłby już w Nowym Jorku z pokazną sumą w kieszeni.

Pieprzona dziwka. Blondyna na szpilkach i z wielkim pistoletem. Aż dziw, że jej nie odrzuciło, gdy wystrzeliła. Za kogo ona się ma? Ci rąbnięci Teksaszczyki. Banda walniętych maniaków.

- Pogadam z pana szefem - rzekł klient. - To rozsądny człowiek, zrozumie, że musimy odczekać.

Angel znieruchomiał. Zwęził oczy. Jeśli Tony Voltura dowie się, że zawałił trzy, a właściwie cztery razy, wliczając dzisiejsze pójście do szpitala, to zacznie zastanawiać się nad jego przydatnością. Jeśli uzna, że zrobił się za stary do tej roboty, to nie pozostaje nic innego jak spisać testament i przygotować najlepszy garnitur, bo już jest po nim.

- Słuchaj pan, bo nie będę powtarzał – zaczął groźnie. - Jeśli piśnie pan słówko Tony'emu, jeśli w ogóle pan o tym pomyśli, to żegnaj się pan z życiem. Jasne?

- Ja...

- Tak czy nie?

- Tak...

Odczekał kilka sekund. Jego rozmówca umierał ze strachu, Angel wręcz czuł to przez słuchawkę

- No dobrze. Spokojnie. Wszystko mam obmyślane. Oto co zrobimy...

W pięć minut załatwił przeniesienie Elizabeth do apartamentu w Skrzydle Stantonów. Jej dane zostały usunięte z ewidencji. Zdumiewające, jak wiele mogą zdziałać pieniądze nawet w tak biurokratycznej instytucji, pomyślał, idąc do pokoju Elizabeth.

- Ale po co mam się przenosić? – zaprotestowała, gdy usłyszała o przeprowadzce. - Tu jest całkiem dobrze.

Wyłgał się, że w tej salce jest za mało miejsca, by wstawić drugie łóżko.

- Czwarte piętro w Skrzydle Stantonów jest zamknięte, bez zgody pacjenta czy kogoś z rodziny nikt się tam nie dostanie. Stalowych drzwi nikt nie sforsuje. - Max popatrzył po sali. - A gdzie się podziały twoje rzeczy?

- Nic nie miałam. Wybiegłam z domu boso, tylko w koszuli.

Max znieruchomiał, zamilkł. Wstrząsnął się.

- Nawet nie mogę o tym myśleć.

- Usiądź - poprosiła. - Głowa mnie boli, gdy tak patrzę.

Przysiadł na łóżku, wziął ją za rękę.

- Czy masz jakiegoś wujka Melvina?

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Może ze strony matki?

- Nie. O co chodzi? Powiedz.

- Dobrze. - Popatrzył na nią z powagą. - Obiecałem, że będę z tobą szczery. Jakiś potężny ciemnowłosy facet w czarnej skórze przyszedł tu jakieś dwie godziny temu. Był wściekły, że go do ciebie nie wpuszczono.

Poczuła, że krew odpływa jej z twarzy.

- O mój Boże. On mi nie daruje. Będzie próbował, póki mnie nie zabije.

- Złapiemy go. - Przysunął się do niej. - Nie zbliży się do ciebie. Nie bój się.

- Łatwo ci powiedzieć. - Zaśmiała się niewesoło. - Przepraszam. Może tutaj mnie nie dopadnie, ale co będzie, gdy wrócę do domu? Za tydzień, za pół roku? To jakiś psychopata.

- Po pierwsze, nie odejdę od ciebie, póki go nie złapiemy. Poza tym zatrudnię osobistego ochroniarza, który będzie przy tobie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Dopadniemy drania i wydusimy z niego, kto go wynajął.

Przesuwał dłonią po ręce Elizabeth. W porównaniu z jego była drobna i delikatna, aksamitnie gładka i miła.

- Pamiętasz wczorajszą noc? - zapytał cicho.

Opuściła wzrok na jego palce przesuwające się po jej dłoni.

- Tak, pamiętam - wyszeptała.

- Pamiętasz, co powiedziałem?

- Tak - odparła jeszcze ciszej.

- Mówiłem prawdę. Kocham cię. - Przesunął głowę na bok, próbując odczytać coś z twarzy Elizabeth.

- Cieszę się... - wyszeptała.

- To dobrze. Pamiętasz, co ty powiedziałaś?

- Tak.

- I to prawda?

Elizabeth podniosła głowę, popatrzyła mu prosto w oczy.

- Tak. Jesteś pewien?

- Niczego nie byłem bardziej pewien – odparł, nie odrywając od niej wzroku. - Będę cię kochał do mojego ostatniego tchnienia, i jeszcze dłużej, do końca czasu.

- Och, Max... - Dławiło ją w gardle. Oczy wypełniły się łzami szczęścia, dolna warga zadrzała. Bała się, że serce jej pęknie z radości. Przesunęli dłonią po jego twarzy, dotknęła skroni, musnęła jego piękne, męskie usta. - Ja też cię kocham. Całą duszą i sercem. I zawsze będę.



W błękitnych oczach Maksa zapłonął dziwny blask. Pochylił się i delikatnie dotknął ustami jej ust. Oddała pocałunek, drżąc i uszczęśliwiona, marząc, by ta chwila trwała. Nie mogli się sobą nacieszyć, każdy pocałunek przechodził w kolejny.

Wreszcie Elizabeth ujęła twarz Maksa.

- Odkąd wiesz, że mnie kochasz?

- To stało się nie od razu. Może od wyjazdu na farmę, kilka dni po ślubie. Zabrałaś mnie na przechadzkę. Byłaś taka podekscytowana, przepelniona radością. Widziałem, że jesteś tam szczęśliwa, kochasz to miejsce, dziedzictwo twojej rodziny. To mnie w tobie ujęło. Ale to nie wszystko. Nie znam kobiety, która chciałaby zamieszkać ze swoją teściową. Ani takiej, która nie zważając na deszcz czy kosztowną suknię, ratuje w środku nocy wynędzniałego kociaka.

Elizabeth wzruszyła ramionami.

- Sukienka to tylko rzecz. Można ją naprawić czy wymienić. A kotek to żywa istota. Szczęście, że go ocaliłam, bo to Bar Code uratował mi wczoraj życie.

Opowiedziała mu szczegóły wczorajszej historii.

- Ale się spisał! No to od teraz będzie wiódł królewskie życie - zapewnił Max.

Ktoś zastukał do drzwi. Elizabeth pobladła z przerażenia.

- Spokojnie. Jestem tu. - Podeszedł do drzwi i uchylił je.

Przyszła ekipa, by przenieść Elizabeth do apartamentu.

Nowy pokój rzeczywiście robił wrażenie. Przestronne wnętrze można było łatwo podzielić na sypialnię i salonik, jednak Elizabeth nie chciała tego robić ze względu na Talitę i Ionę. W miękkich fotelach będzie im wygodniej, gdy przyjdą ją odwiedzić. Szpitalne urządzenia były dyskretnie ukryte, częściowo za obitymi jedwabiami parawanami. Wnętrze, utrzymane w odcieniach brzoskwini, pastelowej morskiej zieleni i ciepłego kremu, było wyposażone w eleganckie meble, w oknach wisiały kosztowne zasłony.

- Przypominam sobie, że ciocia Talita miała wpływ na wystrój tych pokoi - rzekła Elizabeth, gdy już ułożono ją w szerokim łóżku.

Niedługo później policjant zaanonsował oficera z wydziału śledczego, któremu przydzielone prowadzenia jej sprawę. Elizabeth czuła się na siłach, by odpowiedzieć na jego pytania, poza tym chciała to już mieć za sobą. Pan Braddock, mężczyzna po czterdziestce, zrobił miłe wrażenie. Budził zaufanie. Zeznanie Elizabeth zostało nagrane. Po kolei opowiedziała wydarzenia poprzedniego wieczoru.

- Odwiozłam Mimi Whittington, moją przyjaciółkę, do domu. Byłyśmy na kolacji, chciałyśmy uczcić dobrą nowinę. Mój lekarz potwierdził, że jestem w ciąży.

- Moje gratulacje. - Pan Braddock przesunął wzrokiem po rozpromienionych twarzach Maksa i Elizabeth.

- Gladys i Dooley, gosposia i jej mąż, nasza złota rączka, mają

mieszkanie nad garażem. W domu byłam tylko ja. Tak przynajmniej myślałam. Zamknęłam drzwi, włączyłam alarm i poszłam szykować się do snu.

- Przepraszam, jest pani pewna, że włączyła pani alarm? Czasami można o tym zapomnieć.

- Na pewno go włączyłam. Jestem bardzo obowiązkowa. Uzbrojenie alarmu to dla mnie tak zwyczajna czynność jak mycie zębów czy czesanie.

Dokładnie opowiedziała wszystko, co zdarzyło się później, nie pomijając żadnego szczegółu.

- Kula musiała mnie trafić, gdy już byłam na tarasie Mimi, bo następne, co pamiętam, to mąż nachylający się nade mną w szpitalu. Wrzeszczał, żebym się obudziła. Resztę historii pan usłyszysz od Mimi i Dooleya.

- Już ją znam. Wszystko się zgadza. Przeszukaliśmy też pani dom.

- Bez nakazu? - chmurnie zapytał Max.

- Nie był potrzebny, bo to miejsce przestępstwa. Poza tym pani Talita dała nam pozwolenie.

- No i? - Max zawiesił głos.

- Zamek w łazience nieco ucierpiał. Napastnik próbował go przestrzelić, lecz to solidne drzwi. Nie udało mu się wdrzeć do łazienki. Znaleźliśmy też kulę w drzwiach gabinetu. - Popatrzył na Elizabeth. - Twierdzi pani, że nie zna tego mężczyzny?

- Nie znam. Widziałam go tylko w Nowym Jorku.

- Hm, jeszcze do tego wrócimy. Pytam, bo nigdzie nie znaleźliśmy żadnych śladów włamania. Ta człowiek musiał mieć klucz i znać kod alarmu

Policjant uważnie obserwował twarze rozmówców. Oboje byli zaskoczeni.

- Jest pan tego pewien? - zapytała Elizabeth.

- Zawsze przed pójściem spać włączam alarm.

- Pokręciła głową. - Teraz też tak było, dokładnie to pamiętam.

- Wniosek jest taki, że albo ktoś przekazał mu klucze i kod, albo mamy do czynienia z wyjątkowa profesjonalistą. Może mi pani podać nazwiska osób, które mają klucze i znają kod?

- Hm, poza mną i Maksem jest jeszcze przynajmniej kilka osób. Ciocia Talita, Mimi, Gladys, Dooley, na pewno jeszcze inni. Zamki prawdopodobnie nie były zmieniane od co najmniej pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu lat.

- Dobrze byłoby je wymienić. W obu domach.

- Już są wymieniane. W obu zakładają też najnowocześniejszy z możliwych alarmów - rzekł Max.

Zaskoczona Elizabeth zmierzyła go wiele mówiącym spojrzeniem.

- Czy Gladys i Dooley mogą mieć do pani jakieś pretensje? Jakies zadawnione żale czy animozje? Może uważają, że zarabiają za mało, że ich pani wykorzystuje?

- Na pewno nie! - Elizabeth roześmiała się. - Są z moją rodziną od lat, jeszcze zanim przyszła na świat.

Gladys zajmowała się mną jak matka, opatrywała mi skaleczenia, gdy byłam dziewczynką. Nigdy nie zrobiliby mi krzywdy.

- To Dooley przyładował mu śrutem po plecach - uzupełnił Max.

- Aha. - Policjant zapisał coś sobie w notesie.

- W faksie znalazłem list od pana Gertskiego, z nowojorskiej policji. Skontaktowałem się z nim i stąd wiem o dwóch zamachach na panią. Zresztą sama to pani potwierdziła. Czy to może być ten sam człowiek?

- Tak, jestem tego stuprocentowo pewna.

- A pan, panie Riordan?

- Nie było mnie w domu, więc go nie widziałem, jednak mam takie samo zdanie.

- Hm, ja również. Czy podejrzewacie państwo, kto to może być? Lub dlaczego posuwa się do zbrodni?

- Nie. Nie jestem doskonała, ale na pewno nie mam wrogów, którzy nastawiliby na moje życie.

- Zastanówmy się wspólnie. Kto mógłby mieć choćby najdrobniejszy powód, by źle pani życzyć?

- Hm, może mój były mąż... Chociaż skoro ograbił z majątku i uciekł z moją najgorszą przeciwniczką, to raczej zaspokoił pragnienie zemsty.

- Kto to wie - filozoficznie stwierdził Max. – Za takimi jak Edward nigdy nie trafisz. Wszystko widzą inaczej, a sami, rzecz jasna, nigdy nie poczuwają się do winy.

- Zdarzyło mi się kilku takich spotkań - uśmiechnął się policjant.

- Może Natalie Brussard. Uciekła z moim mężem, żeby mi dopiec. Pewnie sądziła, że będę zdruzgotana i nigdy się nie pozbieram. Jest wściekła, że jej związek z Edwardem się rozpadł, i chyba mnie o to wini. Kiedy wróciła do Houston i zobaczyła, że jestem szczęśliwą mężatką, dostała furii.

- A twoi kuzyni? - podsunął Max.

- Camille i Quinton? - Elizabeth roześmiała się - Max, przestań. Camille jest męcząca i rozżalona, ale na pewno nie zrobiłaby mi nic złego, wynajmując płatnego mordercę? Już na sam jego widok umarłaby ze strachu. Co do Quintona... Jesteśmy ze sobą bardzo życzliwi. Zachowanie Camille krępuje go. Raz wyznał mi w tajemnicy, że ze swojego funduszu powierniczego co rok dostają po pięćset tysięcy dolarów. Do tego mają piękną, doskonale wyposażoną czteropiętrową kamienicę w Nowym Yorku. O kimś takim nie powiesz, że klepie biedę, kręciła głowę. - Quinton jest w porządku. Jest uroczy, bystry. Gdyby chciał, mógłby wiele zdziałać, zrobić wielkie pieniądze.

- To czemu tego nie robi? - zapytał Max.

- Sam szczerze przyznaje, że jest na to zbyt leniwy - rzekła z uśmiechem. - Quintona można wykluczyć. Jest zadowolony z tego, co ma. Żartuje, że życie przedstawiciela uboższej gałęzi potężnej rodziny ma same plusy. Jest wszędzie zapraszany, nawet na najbardziej

ekskluzywne imprezy i przyjęcia. Przynajmniej raz w tygodniu bywa na kolacjach czy kartach jako partner kolejnej samotnej młodej kobiety. Oczywiście pod warunkiem, że jest na miejscu, bo stale gdzieś podróżuje. Albo jest w rejsie, albo na Karaibach, w Toskanii, Grecji czy na weekendzie za miastem. W dodatku te wszystkie wyjazdy ma za darmo.

- Dobije mnie ten tydzień - mruknął Max. Popatrzył uważnie na Elizabeth. - Czy Quinton kiedyś uderzał do ciebie? - zadał pytanie, które nie dawało mu spokoju od przyjazdu Mosebych.

- Quinton? Chyba żartujesz. To mój kuzyn.

- Daleki. Takie pokrewieństwo nie przeszkadza w zawarciu ślubu. W rodzinach królewskich to zdarza się po dziś dzień.

- Ale nie u Stantonów - odparła ze śmiechem.

- Czy ktoś jeszcze się pani nasuwa? – zapytał policjant.

-Może Wyatt Lassiter. I jego ojciec.

Policjant zapisał to w notesie.

- Jeszcze ktoś?

- Hm... - Elizabeth popatrzyła na Maksa, zagryzła dolną wargę. - Jest taka osoba. Troy.

- Troy? Troy Ellerbee? Mój asystent?

- Tak. Troy mnie nie lubi. Sam mi to powiedział.

- Co takiego?

- Nie zauważyłeś, jak się zmienia w mojej obecności? Staje się nieprzyjemny i opryskliwy.

Nie znosi mnie i tylko by się ucieszył, gdybym zniknęła z powierzchni ziemi.

- Może. Ale czy naprawdę sądzisz, że mógłby wynająć płatnego mordercę, żeby się ciebie pozbyć?

Przez długą chwilę wpatrywała się w niego w milczeniu.

- Nie wiem - powiedziała w końcu. – Ale ty chyba też tego nie wiesz.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

- No i jak, Mimi? Może być? - Talita cofnęła się kilka kroków, by z odległości ocenić sięgającą sufitu choinkę.

- Dla mnie super. A dla ciebie, kotku? – spojrzała na odpoczywającą na kanapie Elizabeth.

- Bardzo dobrze - odparła. Cieszyła się, że już jest w domu. I że żyje.

Z inicjatywy Tality ubieranie choinki i dekorowanie Mimosa Landing odłożono do powrotu Elizabeth ze szpitala. Wypuszczono ją dopiero dzisiaj, w Wigilię. Od trzech godzin była na farmie.

Max wszedł do pokoju i od razu podszedł do żony. Usiadł obok niej, położył sobie na kolanach jej nogi okryte kocem. Talita i Iona przekomarzały się z nim zabawnie, a Max udawał, że ich zaczepki bierze na serio.

- Tylko obiecaj mi, że gdy zjawi się tu Troy, nie zostawisz mnie z nim sam na sam - poprosiła Elizabeth.

Nie przyznał się jej, że zaprosił go na święta, bo wolał mieć go na oku.

- Boisz się go, prawda? - Popatrzył na nią - poważnie.

- Boję się wszystkich mężczyzn z wyjątkiem ciebie, Dooleya i Trumana. Mam uraz. Chyba boję się własnego cienia.

Tutaj ci nic nie grozi. Rozluźnij się. Nikt się tu nie dostanie. Dojazd od szosy widać jak na dłoni. Przy każdej bramie są policjanci, mają zdjęcie tego bandziora. Jesteśmy z nimi w kontakcie przez walkie-talkie. Gdyby ktoś chciał się przekraść przez pastwiska, musiałby sforsować ogrodzenia z drutu kolczastego, przedrzeć się przez stada. Truman wywiesił ostrzeżenia przed groźnymi bykami. Każdy wjeżdżający na farmę samochód jest przeszukiwany. Hm, prawie każdy... - ostro popatrzył na Talitę. - Z wyjątkiem auta cioci. Nawet nie chciała o tym słyszeć.

- Też coś! - obruszyła się starsza pani. - Co za pomysł! Miałabym przesmuglować tu mordercę, by załatwił Elizabeth, którą kocham jak własne dziecko? W życiu nie doświadczyłam większej obrazy!

- Ona tak prowadzi, że każdy by się dwa razy zastanowił, zanim wsiadłby do jej samochodu - szepnął do żony Max. - Zdziwiłem się, gdy usłyszałem, że:

pojechała dziś z moją matką do salonu piękności, by wyszykować się na święta. W jej wieku prowadzić auto?

- Przypadkiem nic na ten temat nie piśnij - ostrzega go Elizabeth. - Na szczęście jeździ bocznymi drogami, a i to rzadko.

- Dzisiaj przy bramie lekko stuknęła radiowóz i nawet się nie zatrzymała. Pewnie nawet nie zauważyła. Gdy sobie pomyślę, jak te dwie staruszki jadą i przez cały czas się kłócą...

- Wiem - zachichotała cicho Elizabeth. - Jest z tym problem. Zbieram się, żeby to jakoś rozwiązać, ale...

- Dobry wieczór. - Na progu stał Troy.

Elizabeth zeszywniała. Max ścisnął ją za nogę.

- Już się rozpakowałaś? - zagadnął. - Siadaj.

Elizabeth zsunęła nogi na podłogę.

- Rozgość się, Troy.

Starła się zachować spokój, lecz w środku drżała. Bała się go.

Troy zmienił marynarkę na granatowy kardigan. Miał pełne ręce prezentów. Położył je przy choince i usiadł w rogu kanapy. Pochylił się ku Elizabeth.

- Elizabeth, chciałbym zamienić z tobą słowo na osobności...

- Nie. - Tak gwałtownie odrzuciła głowę, że aż poczuła ból. Dotknęła bandaża. Kątem oka widziała zaniepokojoną twarz Maksa. - To znaczy... są święta. Nie czas na interesy.

- Źle się wyraziłem. Chodzi o sprawy osobiste.

- Aha. W takim razie... może później.

- Jak chcesz pogadać, to ja jestem chętna - skwapliwie skorzystała z okazji Camille. Oko jej błysnęło.

- Nie ma mowy - zastopowała ją Talita. – Wracaj, tu, moja panno. Masz wieszać bombki, sama się zgłosiłaś. Więc choć raz dokończ to, co zaczęłaś. - Potrząsnęła głową. - Właśnie to mnie martwi, że tak łatwo rezygnujesz. Byle drobiazg wystarczy, by cię rozproszyć.

- Ale ciociu...

Talita spiorunowała ją wzrokiem, wskazała laską na pudło z bombkami.

- No już dobrze - potulnie rzekła Camille, schylając się po bombkę i mruczając pod nosem: - Szkoda, że nie poszłam z Quintonem na spacer.

Mimi podeszła do kanapy, zaczęła przekomarzać się z Troyem. Talita zabawnie przygadywała Maksowi, a on udawał, że bierze to na serio, lecz Elizabeth dobrze wiedziała, że to tylko pozory. Max był szczęśliwy, widziała to po jego oczach. Przez ten miesiąc bardzo się zmienił. Poczł się członkiem rodziny, czerpał radość z bycia ze wszystkimi, zamieszkiwania na farmie. Wreszcie odnalazł swoje miejsce na ziemi. I otworzył się na miłość.

- O czym myślisz, że tak się uśmiechasz? - zagadnął ją, zniżając głos. Że gdyby nie ten czający się gdzieś bandzior, byłyby to moje najszczęśliwsze święta w życiu. Jest cała rodzina, jestem po uszy zakochana w mężu i czekam na pierwsze dziecko.

- Pierwsze?

- Tak. Bo chcę mieć więcej niż jedno. Ty nie?

- Z tobą? Jak najbardziej. - Od jego spojrzenia poczuła przyjemne dreszcze na plecach. - To jak to jest z tym zakochaniem po uszy?

Przez kilka minut droczyli się wesoło, póki Marta nie zaczęła wołać na kolację.

- Gdzie jest ten Quinton? - Talita odłożyła bombkę i podeszła do okna. - No, wraca. Ale czemu on tak pędzi? Boże! Stajnia się pali! Widać dym!

Przekrzykując się, wszyscy pobiegli do okien.

- Max, pomóż im! - Elizabeth złapała Maksa za rękę. - Truman sam nie da sobie rady.

- Skarbie, poszedłbym, ale nie mogę cię zostawić.

- Nic mi się nie stanie. Proszę cię, idź! I weź Troya.

Max popatrzył w okno. Dym gęstniał.

- Dobrze, ale ty się stąd nie ruszaj, zgoda?

- Nic mi nie będzie. Leć.

- Idziemy, Troy!

- Ja? Przecież ja nic nie pomogę. Nie znam się na gaszeniu.

- Ja też nie, ale spróbujemy. Chodźmy!

Wybiegli na dwór i puścili się biegiem w stronę stajni. Minęli krzyczącego Quintona.

Przez otwarte drzwi widziała z kanapy stłoczone na werandzie panie. Mimi podbiegła do stojącego tuż przy schodach terenowego auta. Zawahała się. Talita też wrywała się, by pędzić na ratunek, powstrzymywała ją tylko myśl o Elizabeth.

Mimi wsunęła głowę do pokoju.

- Zostaniesz tu sama z Martą na kilka minut?

- Jasne. - Machnęła ręką. - Lećcie. Pomóżcie im.

- Marta, pobędziesz z Elizabeth? – zawołała Mimi, zaglądając do kuchni.

- Oczywiście!

Usłyszała warkot odjeżdżającego samochodu, podeszła do okna. Odciągnęła zasłonę.

- O Boże!

Na szczęście paliła się nie stajnia, a stóg siana tuż za nią. Pewnie zajął się od niedopałka, pomyślała. Płomienie niebezpiecznie zbliżały się do stajni. Na tle zachodzącego słońca w górę wzbijał się gęsty dym.

Stajnia była najstarszym budynkiem na farmie. Na samą myśl, że zaraz spłonie, Elizabeth robiło się słabo.

- Niech pani się dobrze napatrzy. Bo to ostatnia rzecz, jaką pani widzi.

Struchlała na dźwięk tego nieprzyjemnego głosu z nowojorskim akcentem. Odwróciła się raptownie i szybko uchwyciła się parapetu, żeby nie upaść. Pokój zawirował jej przed oczami. Wlepiła wzrok w potężnego zbira w czarnym skórzanym płaszczu.

- Jak pan się tu dostał?

- Bez trudu. Ci prowincjonalni policjanci to banda matołów. Drugie kluczyki też się przydały, nie powiem. Ukryłem się w półciężarówce.

- W samochodzie cioci Tality? Ale... skąd pan wiedział, że nie będą go

sprawdzać?

- Mam swoje przecieki. I tak miałaś dużo szczęścia, ale to już zaczęło być męczące. Pora skończyć. Mam dość miejscowych palantów i wariatek z bronią.

- Dlaczego pan chce mnie zabić?

- Taka robota. Płacą mi za to.

- Kto panu płaci? Dam więcej. Błagam, niech pan mnie oszczędzi. Spodziewam się dziecka.

- Naprawdę? Tym gorzej. Nie chcę nic wiedzieć. - Podniósł pistolet i wycelował. - Niech się pani modli. Szybko.

Rozległ się stłumiony wystrzał.

Elizabeth krzyknęła i skokiem rzuciła się na podłogę za masywnym fotelem. Tuż obok nich rozprysła się lampa.

Kolejne dwa wystrzały.

Trafił w fotel tuż nad jej głową. Znow krzyknęła.

- Boże mój, a co tu tak hałasuje... - na progu pojawiła się Marta. Wycierała filiżankę.

Bandzior odwrócił się i strzelił do niej.

- Marta, na ziemię! Szybko!

Gospoia rzuciła filiżankę i zaczęła histerycznie gestykulować, jednocześnie krzycząc rozpaczliwie.

- Marta! Na ziemię!

- Zamknij się! - wrzasnął bandzior, strzelając znowu.

Marta wydarła się jeszcze głośniej, rzuciła się przed siebie i wybiegła

na werandę.

Elizabeth przyciskała policzek do zimnej podłogi. Serce waliło jej jak młot, brakowało jej powietrza. Rozpaczliwie myślała, co powinna zrobić. Przecież nie może leżeć i czekać, aż on ją zaszlachtuje!

Pod fotelem widziała wypolerowane buty bandziora. Zbliżał się w jej stronę. O Boże!

Naraz tuż obok siebie spostrzegła wielką torbę Mimi. Oddychając ciężko, uwolniła prawą rękę z temblaka i przyciągnęła do siebie torbę.

Kolejny strzał rozdarł ciszę.

- Co tam knujesz? Chcesz mnie walnąć torba - nieprzyjemnie zaśmiał się bandzior. Elizabeth poczuła ciarki na plecach.

Nie zważając na ból, wsunęła obie dłonie do torby i zacisnęła palce na pistolecie. Powoli przewróciła się na plecy i uniosła ręce wraz z torbą. Po chwili ujrzała potężną sylwetkę wyłaniającą się zza fotela. Nacisnęła spust.

Rozległ się potężny huk.

Szarpnęło nią. Gdyby nie torba, pistolet pewnie by wypadł Elizabeth z rąk.

Napastnik jęknął, na chwiejnych nogach zrobił kilka kroków w tył i złapał się za brzuch. Na jego twarzy malowało się zdumienie. Opadł na kanapę

Dwa strzały, które oddał, nim się osunął, roztrzaskały dwustuletni wazon stojący na kominku i wybiły dziurę w suficie.

Elizabeth, walcząc ze łzami i wstrząsana łkaniem, podniosła się na



czworaka i wyciągnęła przed siebie pistolet. Wypaliła.

- Nie strzelaj! Nie strzelaj! Poddaję się. Na litość boską, kobieto, nie strzelaj!

Na zewnątrz rozległy się krzyki. Słyszała Maksa wołającego jej imię. Wspierając się na uszkodzonym od strzału fotelu, podniosła się i chwiejnie podeszła bliżej kanapy. W obu dłoniach, które nadal trzymała w torbie, mocno ścisnęła pistolet. Lufa wychodziła przez rozerwane dno.

Bandzior podniósł pistolet, ale trzymał go z wyraźnym trudem.

- Jesteś... zbyt ufna, ty głupia babo - odezwał się mrozącym krew w żyłach głosem. - To pistolet na dziewięć naboí. Jeszcze jeden mi został.

- Mnie zostało więcej - wycodziła przez zęby. Wstrząsało nią drzenie, łzy płynęły po twarzy, lecz nie dawała się.

- Nie zabijesz mnie. Nie zdobędziesz się na to.

- Chyba żartujesz. Chciałeś zabić mnie i moje nienarodzone dziecko. Bez mrugnięcia okiem odstrzelę ci głowę. Chcę wiedzieć, kto cię wynajął.

- Nie. - Jęknął i złapał się za brzuch. - Jestem ranny. Na litość boską, wezwij karetkę.

- Nie zrobię tego, póki nie powiesz, kto ci zapłacił, żebyś mnie zabił.

- Przecież... ja zaraz umrę.

- Nie mam dla ciebie litości. Możesz tu leżeć i wykrwawić się na śmierć. Nie zadzwonię po pomoc, póki nie usłyszę nazwiska. Lepiej się pośpiesz, bonie zostało ci dużo czasu, sądząc po tej kałuży krwi.

Pistolet wypadł mu z ręki i upadł na podłogę.

Elizabeth kopniakiem odrzuciła go w kąt.

- Dobrze... powiem - wyszeptał. - Pochyl się.

- O nie. Blżej nie podejść. Mów.

Bezgłośnie wyszeptał imię.

Elizabeth szeroko otworzyła oczy.

- Nie, to niemożliwe. Kłamiesz.

- Elizabeth! - z dworu dobiegł ją krzyk Maksa. Po chwili na schodkach zadudniły jego kroki.

Bandzior z trudem potrząsnął głową.

- Nie... nie kłamię. Przysięgam. Błagam. - Żrenice uciekły mu w głąb czaszki.

Nie odrywając od niego wzroku, sięgnęła jedną ręką po telefon i wybrała numer pogotowia. W te samej chwili Max wpadł do środka.

Był czerwony z gniewu, oczy płonęły mu dziko.

- Elizabeth! Bogu dzięki! - Porwał ją w ramiona. - Nic ci nie jest? Zrobił ci coś?

Łkając, przywarła do niego i ukryła twarz w jego piersi. Nogi miała jak z waty.

Max wziął od niej słuchawkę, wezwał karetkę. Objął Elizabeth mocno i nie przestawał gładzić jej po całym ciele, jakby jeszcze nie wierzył, że naprawdę ma ją przy sobie. Po chwili w pokoju zrobiło się tłoczno i gwarno. Troy przez walkie-talkie powiadomił policję.

Quinton podniósł z podłogi pistolet.

- Wezmę tego drania do drugiego pokoju, z dala od pań, i przytrzymam go na muszce, póki nie przyjedzie policja.

- Nie! - Elizabeth wyrwała się z uścisku męża. - Quinton, odłóż broń - zaszlochła, unosząc swój pistolet. - Odłóż go albo strzelam!

- Elizabeth, chyba zwariowałaś? - zdumiała się Camille.

- Nie. To Quinton wynajął tego mordercę, żeby mnie zabił.

- Co takiego?

- Elizabeth, uspokój się - przemówił do niej Quinton. - Przecież mnie znasz. Nie mógłbym tego zrobić. Jesteśmy rodziną. Przyjaźnimy się od dziecka, prawda?

- Za późno, Quinton. Nie zwiedzisz mnie. Nim ten zbir stracił przytomność, powiedział mi, że to ty zleciłeś mu morderstwo.

Quinton popatrzył na nią z urazą.

- Wierzysz jemu czy mnie?

- Jemu.

Na zewnątrz z piskiem zahamował samochód, ktoś załomotał do drzwi.

- Policja! Proszę otworzyć!

Marta podeszła do drzwi, w tej samej chwili Quinton zagroził jej pistoletem.

- Nie ruszaj się z miejsca!

- Quinton! - jęknęła Camille. - Wynająłeś tego bandytę, choć wiedziałeś, że Elizabeth jest w ciąży?

Nie zwracał na siostrę uwagi. Przesunął pistolet na Elizabeth.

- Zostańcie na swoich miejscach. Ja wychodzę.

- Nigdzie nie wyjdiesz. - Elizabeth znowu uniosła torbę z pistoletem.

- Mam jeszcze cztery strzały. Twój bandzior wystrzelał wszystkie naboje.

Na co liczysz?

Po jego twarzy przemknął niepokój, lecz szybko się opamiętał. Uznał jej słowa za blef.

- Nie wierzę ci, nie byłby taki głupi. Zresztą ty do mnie nie strzelisz.

Nawet gdybyś się na to zdobyła, to nie masz siły.

- Otwierać! Otwierać!

Quinton, skoncentrowany na Elizabeth, nie spostrzegł, że Max ukradkiem wsunął dłonie do torby i zacisnął je na palcach Elizabeth trzymających pistolet.

- Jeśli nie ona, to ja na pewno - oświadczył, celując w pierś Quintona.

- A z tej odległości nie spudłuję.

Talita zrobiła krok do przodu, stanęła między Quintonem a Maksem i Elizabeth.

- Quinton, natychmiast odłóż broń.

Przesunął pistolet, mierząc w starszą panią.

- Przepraszam, ciociu Talito, ale już nie jestem małym chłopczykiem.

Nie przestraszysz mnie. Kocham cię, naprawdę. Tak jak Elizabeth. Nie chcę was zastrzelić, jednak zrobię to.

- Nie zrobisz - zareplikowała Camille, stając między ciotką a bratem.

- Nie pozwolę ci zrobić czegoś tak nikczemnego.

- Camille, cofnij się. Co nagle zrobiłaś się taka rodzinna? Nie cierpisz Elizabeth.

- Co ty bredzisz, Quinton? To bzdura. Owszem, zazdrościłam Elizabeth. Jest piękna, mądra, ma klasę. Wszyscy ją lubią. Zazdrościłam jej, że wychowała się tutaj. Ale kocham ją. Jesteśmy rodziną. Czepiałam się jej, żeby trochę popsuć jej humor. - Urwała na mgnienie. - Myśl sobie, co chcesz, ale nie jestem aż taka głupia, by sądzić, że Elizabeth nas wyrolowała. Nasza rodzina dostała, co jej się należało. Mieliśmy niefart, bo nasza babcia okazała się lekkoduchem. Przysięgam, nigdy nie wierzyłam w winę Elizabeth.

- To już nie ma znaczenia. Muszę ją zabić. Jeśli będzie mieć dziecko, to wszystko przejdzie nam koło nosa, bo ono odziedziczy rodowy majątek. Jeśli nie będzie dziecka, Elizabeth i Tality, zgarniemy wszystko. Rozumiesz?

- Czyli ja byłam kolejna na liście? - prychnęła Talita, dumnie prostując głowę.

- Nie. Liczyłem, że przejmę zarząd po Elizabeth, póki będziesz żyła. Przysięgam, nie zamierzałem cię zabijać, ciociu.

- Quinton, wytłumacz mi jedno - wtrąciła się Elizabeth. - Po co ci nagle potrzebne te pieniądze? Przecież nie możesz się skarżyć na biedę, masz niezłe dochody.

- Popadłem w kłopoty finansowe. Jestem winien potężną sumę bardzo nieprzyjemnym,

niebezpiecznym ludziom. Nie dopadli mnie jeszcze, bo przekonałem ich, że jeśli się ciebie pozbędę, odziedziczę fortunę Stantonów.

- Hazard, tak? - domyślnie zapytał Max.

- Tak. - Skinął głową w stronę bandziora. - To egzekutor człowieka, któremu jestem winien tę kasę

- Och, Quinton - jęknęła Camille. - Odłóż broń, pogadajmy. Znajdziemy jakiś sposób, by zdobyć te pieniądze.

- Już na to za późno. A ja nie chcę iść do więzienia.

- Może da się coś zrobić. - Camille błagalnie popatrzyła na Elizabeth.

- Elizabeth, nie wnoś na niego skargi. On jest chory, sama to widzisz. Tylko człowiek chory poszedłby na coś takiego. Słyszałam o świetnym sanatorium, tam mu na pewno pomogą. - Popatrzyła na brata. - Nikt się o niczym nie dowie. Kilku naszych znajomych też przeczekało tam trudne chwile. W dzisiejszych czasach to nikogo nie dziw.

- Camille, podziwiam twoje oddanie bratu, ale ludziom nie zawsze wszystko uchodzi na sucho - z zaskakującą łagodnością odezwała się Talita. - To już nie zależy od Elizabeth. Owszem, plan Quintona nie wypalił, jednak twój brat popełnił poważne przestępstwo, zlecając morderstwo.

- Ale ciociu...

- Przykro mi, dziecko. Szczerze mi żal i ciebie i twojego brata. Trzeba ponosić odpowiedzialność za swoje czyny. Czego dotąd

nigdy nie robiliście. - Urwała. - W dużej mierze to wina mojej siostry i waszego ojca. Rozpuścili was ponad miarę. Wyróśliście w błędnym przekonaniu, że coś wam się należy. Mariah zawsze kryła was przed ojcem, gdy broiliście jako nastolatki. Jednak to dużo poważniejsze przestępstwo niż strzelanie do znaków drogowych czy mazanie po ścianach. Tym razem Quinton posunął się za daleko. I musi ponieść konsekwencje. - Popatrzyła na Camille. - Znajdziemy mu dobrego prawnika, lecz na tym koniec.

- Nic z tego. - Quinton cofnął się, przyłożył lufę do skroni. Miał błędny wzrok. - Nie dam się zamknąć. Za nic! Nie przeżyję w więzieniu ani jednego dnia. Wolę umrzeć.

- Quinton, nie! - Camille zrobiła krok w stronę brata, lecz on powstrzymał ją, wyciągając rękę. Wsunął lufę pistoletu do ust.

Max niepostrzeżenie wyjął z torby pistolet i schował go za siebie.

Quinton cofał się, czujnie przesuwając spojrzeniem po zebranych.

Truman bezszelestnie przesunął się do drzwi, stanął za plecami Quintona. Położył palec na ustach. Zarządca, choć niższy i lżejszy od Quintona, był znacznie od niego silniejszy. W mgnieniu oka wybił mu z ręki pistolet.

Inni mężczyźni natychmiast pośpieszyli mu z pomocą. Marta wpuściła policję i sanitariuszy.

- Max...

Elizabeth zacisnęła palce na osmalonej koszuli Maksa. Nogi się pod nią ugiwały.

- Elizabeth? - Złapał ją, nim osunęła się na podłogę. - Elizabeth, co jest? Czy on cię trafił? - Rozszerzonymi oczami patrzył na powiększającą się plamę krwi na jej swetrze. - O cholera! Otworzyła się rana na ramieniu.

- Mamy karetki - poderwał się sanitariusz. - Pojadę z panem, postaram się zahamować krwotok.

- Lepiej od razu lećmy do Houston – zarządził Max. - Szybko! Jak tu skończycie, spotkajmy się w szpitalu. Troy - rzucił pośpiesznie. – Zawiadam, że ląduję, choćby nie wiem co. Nawet bez zgody. I zajmij się paniami.

- Jasne, szefie. - Troy dotknął ramienia Elizabeth. - Dzielna z pani kobieta, Elizabeth. - Popatrzył na Maksa. - Powodzenia.

Truman już kończył napełniać bak helikoptera. Pomógł wnieść Elizabeth na pokład.

- Panie Riordan - rzekł Truman. - Już ugasiliśmy pożar. To było podpalenie. Widziałem, jak Quinton podłożył ogień. Przybiegłem, żeby o powiedzieć, a on już trzymał wszystkich na muszce.

W oczach Maksa zapłonął morderczy błysk.

- Dzięki, Truman. Wielkie dzięki. Pośpiesznie wsiadł do środka, silnik zawył.

- Pasy zapięte? - zawołał, przekrzykując warkot.

- Tak.



- To proszę zamknąć drzwi i założyć słuchawki - poinstruował pobladłego sanitariusza.

- Gotowe.

Max sięgnął do tyłu, dotknął stopy żony.

- Trzymaj się, najdroższa. Trzymaj się, słyszysz?

Elizabeth poruszyła palcami. Uznał to za dobry znak.

- No to w drogę!

Złoto-niebieski helikopter wzniósł się w powietrze, po chwili jego sylwetka zatoczyła łuk i zniknęła na fioletowym tle nieba nad Houston.

## EPILOG

Max stał przed drzwiami apartamentu dla VIP-ów i przez szybę obserwował Elizabeth. Szczęście go roznosiło. Nigdy ani przez chwilę nie przypuszczał, że człowiek może doświadczać takich uczuć. Nigdy przenigdy nie podejrzewał, że można tak kochać, jak on kochał Elizabeth.

Minęło osiem miesięcy od dnia, kiedy przywiózł tutaj Elizabeth, nie wiedząc, czy jej nie straci, nie wiedząc, czy zdoła bez niej żyć. Osiem miesięcy nieprzerwanej radości i obłądnego szczęścia, gdy rozkwitała, nosząc pod sercem ich dziecko. Wydawało mu się niemożliwe, że mógłby kochać ją jeszcze mocniej, uwielbiać ją jeszcze bardziej.

Jednak wczoraj, gdy przez cały dzień i pół nocy był przy niej i trzymał za rękę, wspierając, gdy wydawała na świat ich dziecinę, jego serce nabrzmiało taką miłością, że omal nie rozpadło się na kawałki.

Z niedowierzaniem potrząsnął głową. Człowiek nigdy do końca nie wie.

- Ale z ciebie szczęściarz, Riordan - wyszeptał do siebie. Ożenił się, by przez żonę wejść w środowisko houstońskiej socjety, a to żona okazała się największym skarbem.

- Co robisz na korytarzu? - usłyszał głos cioci Tality.

Odwrócił się i uśmiechnął na widok towarzyszącej jej świty. Iona, Mimi, Marta, Truman, Gladys, Dooley i Troy. Obładowani pluszakami, balonami, kwiatami, słodyczami i pismami. Siedzieli tu wczoraj do drugiej, potem poszli odpocząć. Teraz nie mogli się doczekać chwili, gdy ujrzą najmłodszego Stantoną.

- Cii - Max przyłożył palec do ust. - Zanim wejdziecie, zobaczcie coś.

Gestem przywołał ich do szyby.

- Czy to nie najpiękniejsza scena, jaką kiedykolwiek widzieliście?

Elizabeth, wsparta o uniesione wezglowie łóżka, z miłością wpatrywała się w śpiące w jej ramionach maleństwo. Dla Maksa była to kwintesencja kobiecości, obraz tak przejmujący i piękny, że aż dławilo go w gardle. Wiedział, że choćby dożył stu lat, nigdy nie zapomni tej sceny.

- Och, mój Boże! Jaka ona jest piękna. - Talita patrzyła na Maksa zamglonym od łez wzrokiem, dotknęła jego policzka. - Dziękuję, że nas tu zawołałaś. To jak Madonna z Dzieciątkiem.

Kobiety ocierały oczy, Dooley i Truman podejrzanie odwracali wzrok.

- Już zamówiłem portrecistę. Chcę to utrwalić na płótnie, nim dziecko podrośnie.

- Spryciarz z ciebie - klepnęła go Talita. - Dobry z ciebie człowiek. Może ci tego jeszcze nie powiedziałam, ale bardzo się cieszymy, że mamy cię w naszej rodzinie.

- Dzięki. To dla mnie wiele znaczy. - Z uśmiechem popatrzył po zebranych. - No to kto potrzytać Molly Elizabeth Stanton-Riordan? Najpiękniejszą dziewczynkę, jaka kiedykolwiek przyszła na świat.

